NR 45 (1969) 10 LISTOPADA 2026

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ

45 LAT

Najważniejszy Marsz
W HISTORII



Fot. T. Gutry

ISSN 0208-8045
INDEKS 379433
CENA 9,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

TYSOL.PL

- CO JEST GRANE W BOGDANCE?
- WSTYD JAKO ANTYTEZA WSTYDU

PRENUMERATA 2027

ZMIANY DOTYCZĄCE PRENYMERATY „TYGODNIKA SOLIDARNOŚĆ”

Zapraszamy do **zamawiania prenumeraty** „Tygodnika Solidarność”. Można to zrobić poprzez kolporterów, takich jak: **Kolporter sp. z o.o.**, **Garmond Press SA**, poprzez **Pocztę Polską**, a także w **redakcji „Tygodnika”**.

Prenumerata redakcyjna wysyłana jest za pośrednictwem Poczty Polskiej na wskazany adres (**koszt wysyłki ponosi wydawca**).

„Tygodnik Solidarność” jest w stałej sprzedaży w salonikach prasowych sieci Empik.

Cena okładkowa „Tygodnika Solidarność” w 2027 roku wyniesie **9,90 zł.**

Cena jednego egzemplarza „Tygodnika Solidarność” w prenumeracie wraz z wysyłką w 2027 roku wynosi tylko **9,90 zł**

CENNIK PRENUMERATY KRAJOWEJ W WERSJI PAPIEROWEJ ORAZ ELEKTRONICZNEJ NA 2027 ROK

I KWARTAŁ	**128,70 zł***	(NUMERY 1–13)
II KWARTAŁ	**128,70 zł**	(NUMERY 14–26)
I PÓŁROCZE	**257,40 zł**	(NUMERY 1–26)
III KWARTAŁ	**128,70 zł**	(NUMERY 27–39)
IV KWARTAŁ	**118,80 zł**	(NUMERY 40–51/52)
II PÓŁROCZE	**247,50 zł**	(NUMERY 26–51/52)
ROK	**504,90 zł**	(NUMERY 1–51/52)

* wszystkie ceny podane są w kwocie brutto

eprasa.pl 3bd0b6e5e8



Rafał Woś
REDAKTOR NACZELNY

Marsz Niepodległości w Warszawie od lat jest instytucją. Ale w tym roku ma realne szanse, by stać się legendą.

W 1992 roku w finałach NBA chicagowskie Byki rozniosły w proch drużynę Portland Trail Blazers. Największy gracz w historii amerykańskiej koszykówki Michael Jordan grał wtedy – zdaniem wielu – swoje mecze życia. W pierwszym spotkaniu rzucił 39 punktów. W drugim niewiarygodne 50. W kolejnych jeszcze 46, 32 i 33. Obrazki MJ-a rzucającego (i trafiającego) z każdej, nawet najbardziej niewiarygodnej pozycji na zawsze weszły do historii sportu. I są tam do dziś.

Pamiętam, jak po latach widziałem jakiś wywiad, w którym Jordan wspominał tamte mecze. Mówił (odtwarzam z pamięci) mniej więcej tak: „Wydawało mi się, że obręcz kosza w jakiś magiczny sposób się po prostu powiększyła do monstrualnych rozmiarów. Nie było takiej możliwości, żebym do niej nie trafił".

Tamte słowa Jordana poruszają mnie do dziś. A to dlatego, że wydają mi się szczerze prawdziwe. Jordan nie bujał z tą wielką obręczą. Są w życiu takie chwile, gdy człowiek staje wobec najtrudniejszego zadania i nagle wszystko... doskonale się układa. Do tego stopnia, że samo zadanie – jeszcze kilka chwil wcześniej majaczące gdzieś w oddali za mgłą niemożliwości – jest teraz (i często tylko na tę jedną chwilę) dziecinnie proste. Jak gdyby wszystko, co do tej pory robiliśmy, wszystkie zdobywane dotąd kompetencje gromadzone były właśnie po to, by można ich było użyć tu i teraz. Nie za rok, nie kiedyś i nie być może. Teraz i tu. Z łatwością. Jak gdyby od niechcenia. W sposób oczywisty.

Czy tegoroczny 11 listopada będzie takim właśnie momentem? Czy będziemy po latach wspominali, że wszystkie dotychczasowe Marsze Niepodległości były jedynie przygotowaniem pod TEN MARSZ roku 2026?

Jak dotąd zdarzenia układają się w ciekawy scenariusz. Październikowy zamach stanu przeprowadzony przez rząd Donalda Tuska zaktywizował środowiska patriotyczne na niespotykaną od dawna skalę. Zjednoczył także polityczną opozycję przez wiele miesięcy zajętą raczej celebrowaniem dzielących ją różnic. Nocny powrót prezydenta Karola Nawrockiego i jego brawurowe wejście do budynku przy Alei Szucha pokazały, że choć rząd ma w ręku aparat przymusu państwowego, to jego siła oraz sprawczość mają jednak faktyczne granice.

Do tego jeszcze nadchodzi 11 listopada. Data dla Polaków święta. A za sprawą Marszu Niepodległości od lat także moment na przypominanie rządzącemu establishmentowi, że naród cały czas patrzy, czy „niepodległość" nie zmieniła się w pusty, martwy slogan. W tym roku to sprawdzenie powinno być wyjątkowo dogłębne. Aby to się udało, ten Marsz musi być rekordowo liczny i głośny. Także z tego powodu, że będzie bezpośrednią wiadomością wysłaną do rządzących. Chodzi o pokazanie im, że nie mogą wszystkiego.

Ten Marsz musi być rekordowo liczny i głośny. Także z tego powodu, że będzie bezpośrednią wiadomością wysłaną do rządzących. Chodzi o pokazanie im, że nie mogą wszystkiego.

Nawet jeśli wydaje im się, że mogą. Zwłaszcza jeżeli tak im się wydaje.

MASZYNA DO RYSOWANIA **KARNKOWSKI**



eprasa.pl 3bd0b6e5e8

10.11.2026
WYDANIE Nr
45

W TYM TYGODNIU:

TEMAT TYGODNIA

Marsz Niepodległości



8 **Nie oddamy Polski. Rozmowa z P. Dudą**

12 **Marsz, który może zatrzymać Tuska**

15 **Sześć lat walki o sprawiedliwość**

16 **Z Marszem Niepodległości przez lata**

20 **Dmowski nasz, nie nasz**

45-LECIE „TYGODNIKA SOLIDARNOŚĆ”

Gdyby Adam był Polakiem... 24

KRAJ

Polexit czy reforma Unii 28

Czekając na nowy świat... 32

Niepodległa Polska miała być państwem „odrodzonym”, a nie nowym. Rozmowa z prof. K. Klocem 38

ZAGRANICA

Gry wokół Nord Streamu 46

KULTURA

Wielkie pieniądze w kosmicznej dziurze 50

SPOŁECZEŃSTWO

Wstyd jako antyteza wstydu 56

HISTORIA

Lwów – zawsze wierne polskie miasto 60

ZWIĄZEK

Co w związku 64

Co jest grane w „Bogdance”? 66

Spór o statut. Droga Solidarności do rejestracji 68

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ
Czasopismo NSZZ „Solidarność”

Adres redakcji: ul. Prosta 30, 00-838 Warszawa
E-mail: redakcja@tygodniksolidarnosc.com
Tel./fax: 22 882 27 96

Wybór tekstów z każdego numeru „TS” na stronie: www.tysol.pl

Prezes Zarządu: Michał Ossowski

Członek Zarządu: Wojciech Kwidziński

Redaktor naczelny: Rafał Woś
r.wos@tygodniksolidarnosc.com

Zastępca redaktora naczelnego:
Cezary Krysztopa

Sekretarze redakcji:
Beata Rojek, Aleksandra Paulus,
tel. 22 882 27 80

Dziennikarze: tel. 22 882 27 96; 22 882 08 21
Bartosz Boruciak, Krzysztof Karnkowski, Marcin Krzeszowiec, Barbara Michałowska, Ludwik Pęzioł, Jakub Pacan, Teresa Wójcik, Agnieszka Żurek

Felieton i komentarz: Marek Jan Chodakiewicz, Karol Gac, Sławomir Jastrzębowski, Zdzisław Krasnodębski, Cezary Krysztopa, Monika Małkowska, Magdalena Okraska, Remigiusz Okraska, Tadeusz Płużański, Piotr Skwieciński, Rafał Woś, Jan Wróbel

Stali współpracownicy: Barbara Andrijanić, Marcin Darmas, Paweł Gabryś-Kurowski, Andrzej Gajcy, Piotr Grzybowski, Ewa Górska, Jarosław Jakubowski, Wojciech Kulecki, Piotr Łopuszański, Marek Nowak, Tomasz Oleksiewicz, Sebastian Pytel, Sebastian Reńca, Łukasz Sakowski, Patryk Stanik, Mariusz Staniszewski, Wojciech Stanisławski, Hanna Szymerska, Mateusz Wyrwich, Igor Zalewski, Stanisław Żaryn

Łamanie: Andrzej Chojnacki, Małgorzata Lewicka-Koniak

Foto: Tomasz Gutry, Marcin Żegliński

Rysunki i grafika: Maciej Michalski, Barbara Sadowska, Marek Sobczyk, Jerzy Wasiukiewicz, Zygmunt Zaradkiewicz

Tysol.pl: Aleksandra Jakubiak, Marlena Nowakowska, Kacper Pawowicz, Jerzy Szulwic, Anna Tyszer, Mariusz Tyszer, Robert Wąsik, Anna Zgierska

Artykułów niezamówionych redakcja nie zwraca i zastrzega sobie prawo skrótów oraz zmian tytułów nadesłanych materiałów.

Dział marketingu:
Konrad Wernicki
k.wernicki@tygodniksolidarnosc.com

Wydawca: Fundacja Promocji Solidarności, ul. Wały Piastowskie 24, pok. 327, 80-855 Gdańsk
nr konta: mBank S.A.
44 1140 1065 0000 7461 0100 1001

Telefon: 58 337 60 44

FELIETONY:

OKRASKA 7

GAC 31

SKWIECIŃSKI 49

POLECAMY:

KARUZELA Z BLOGERAMI 37

ŚWIAT WEDŁUG WRÓBLA 43

ŚWIAT WEDŁUG KRASNODĘBSKIEGO 44

CZYTAM, CHADZAM, DORADZAM, ODRADZAM 54

GŁOS REGIONU 72

PRAWO 73

eprasa.pl 3bd0b6e5e8



WŁĄCZ SIĘ W AKCJĘ REFERENDALNĄ SOLIDARNOŚCI

- ✓ POBIERZ KARTĘ, SKANUJĄC KOD QR
- ✓ PODPISZ SIĘ
- ✓ ZBIERZ PODPISY WŚRÓD BLISKICH I ZNAJOMYCH
- ✓ WYŚLIJ WYPEŁNIONĄ KARTĘ Z PODPISAMI NA ADRES:

KOMISJA KRAJOWA NSZZ „SOLIDARNOŚĆ”
UL. PROSTA 30, 00-838 WARSZAWA

NSZZ SOLIDARNOŚĆ

Fundacja Promocji Solidarności

eprasa.pl 3bd0b6e5e8

Udzielam poparcia wnioskowi o poddanie pod referendum ogólnokrajowe sprawy o szczególnym znaczeniu dla państwa i obywateli dotyczącej ograniczenia przez Polskę obecnych przepisów strategii „Zielonego Ładu" i bieżącej polityki klimatycznej UE

zawierającemu następującą propozycję pytania w przedmiotowej sprawie:

Czy jest Pani/Pan

za zobowiązaniem Prezydenta RP, Parlamentu RP, Rządu RP do odrzucenia przez Polskę polityki klimatycznej UE w obecnym kształcie, zawartej w europejskim „Zielonym Ładzie"

Odpowiedzi "Tak" lub "Nie".

Lp.	Imię (imiona) i nazwisko	Adres zamieszkania (miejscowość, ulica, nr domu, nr lokalu)	Nr ewidencyjny PESEL	Podpis
١	٢	٣	٤	٥

Wypełnioną kartę można wysłać na adres redakcji „Tygodnika Solidarność": ul. Prosta 30, 00-838 Warszawa.

eprasa.pl 3bd0b6e5e8

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ



Remigiusz Okraska

Ciosy w najsłabszych

Nadchodzą „cięcia budżetowe”. Ten zwrot w III RP budzi grozę.

Zawsze oznaczają one to samo. Uderzenie w niezamożnych – w nasze prawa i we wsparcie słabszych. Cięcia nigdy nie dotyczyły silnych i ich przywilejów.

To stały repertuar rządów liberałów. Zawsze wtedy „nie ma” pieniędzy, zawsze „trzeba oszczędzać”, zawsze „budżet się nie spina”. I zawsze jedynym wyjściem z tej syntezy nieudolności, głupoty i złodziejstwa jest uderzanie w słabych. Tak jak teraz.

Pamiętacie protesty osób z niepełnosprawnościami i ich opiekunów za poprzednich rządów? No to spójrzmy, co im szykuje Tusk. Projekt przyszłorocznego budżetu zakłada wielkie uderzenie w tę grupę.

Dotacja z budżetu państwa dla PFRON ma zmaleć rok do roku o... 75%! Kwotowo to niemal pół miliarda mniej. Z kolei Fundusz Solidarnościowy zmaleje o 24%, czyli 487 milionów. W tym o 224 mln spadną wydatki na asystencję osobistą – personalną pomoc chorym i niesamodzielnym. Na opiekę wytchnieniową – pozwalającą opiekunom odpocząć od pracy de facto całodobowej – o 75%, czyli 218 mln.

Kolejne pole cięć to wsparcie osób bezrobotnych. Rok temu rząd drastycznie zmniejszył środki na pomoc w wychodzeniu z bezrobocia: na staże, prace interwencyjne, dofinansowanie szkoleń i nowych miejsc pracy itp. Wsparcie w 2026 r. zmalało teoretycznie o 40%, ale po uwzględnieniu dodatkowych czynników aż o 67% wobec poprzedniego roku. Tak wykazał raport Związku Powiatów Polskich. Najwięcej straciły Powiatowe Urzędy Pracy w okolicach z... największym bezrobociem.

W 2027 r. ma być podobnie. Budżet na wsparcie bezrobotnych nie wzrośnie (choć wzrosły jego koszty), a być może nawet zmaleje. Choć pieniądze są – bo rosną wpływy do Funduszu Pracy. A bezrobotnych przybywa. Jest ich już ok. 910 tys., choć gdy Donald Tusk przejmował władzę, było o 130 tys. mniej.

Czy to koniec cięć? Polska Federacja Związkowa Pracowników Socjalnych i Pomocy Społecznej ustaliła, że w 2027 r. mają zostać wstrzymane środki z budżetu państwa dla samorządów na wypłaty dodatku terenowego dla pracowników socjalnych. Dodatek jest zapisany w umowach o pracę. Niewypłacenie oznaczałoby masowe łamanie prawa przez publiczne podmioty. Jeśli ma do tego nie dojść, potrzebne kwoty – idące w miliony – muszą znaleźć samorządy. Te same, o których budżety bardzo troszczyli się Tusk i koalicjanci, gdy byli w opozycji.

Branżowe media informują, że plan finansowy Narodowego Funduszu Zdrowia pokazuje malejące nakłady na opiekę dentystyczną. Choć były niskie już na początku roku, to korekta wydatków z września 2026 r. jeszcze je obniżyła.

Udział wydatków na stomatologię w budżecie NFZ wynosi dziś zaledwie 2%. To zauważalnie mniej niż wcześniej. Maleją też wydatki kwotowe: w 2025 r. wyniosły 4,4 mld złotych, a w 2026 r. tylko 4,27 mld. Koszty usług – materiałów, robocizny – wzrosły, więc spadek nakładów jest realnie jeszcze większy. W Polsce Uśmiechniętej będziemy się więc uśmiechać bezzębnymi ustami.

Będzie to w dodatku uśmiech przez łzy. Łzy setek tysięcy osób już słabych, którym jeszcze bardziej dowalą cięcia budżetowe.

eprasa.pl 3bd0b6e5e8

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ

Temat Tygodnia

NIE ODDAMY Polski

– Chciałbym, żeby tegoroczny Marsz Niepodległości był przede wszystkim wielką manifestacją polskiego patriotyzmu i odpowiedzialności za Ojczyznę. [...] Obrona niepodległości, suwerenności i konstytucyjnych praw obywateli nie jest własnością żadnej partii politycznej. To są sprawy fundamentalne dla każdego Polaka, niezależnie od tego, na kogo głosuje i jakie ma poglądy – mówi **Piotr Duda**, przewodniczący Komisji Krajowej NSZZ „Solidarność”, w rozmowie z **Rafałem Wosiem**.

– Panie Przewodniczący, przed nami 11 listopada i kolejny Marsz Niepodległości. W tym roku jednak atmosfera jest szczególna. Solidarność od kilku tygodni angażuje się w protesty przed Trybunałem Konstytucyjnym. Podczas jednego z ostatnich wystąpień powiedział Pan, że Marsz Niepodległości rozpoczyna się już teraz. Co miał Pan na myśli?

– Przede wszystkim to, że niepodległość nie jest czymś, co możemy sobie przypominać wyłącznie raz w roku, 11 listopada. To nie tylko biało-czerwone flagi, uroczystości państwowe i wspólne śpiewanie hymnu. Niepodległość musi mieć również konkretny wymiar. Musi oznaczać suwerenność państwa, przestrzeganie konstytucji, szacunek dla obywateli, niezależność instytucji państwowych, a także ochronę polskich pracowników i ich miejsc pracy.

Dlatego powiedziałem przed Trybunałem Konstytucyjnym, że dla nas Marsz Niepodległości zaczął się w momencie, kiedy rząd Donalda Tuska postanowił siłowo przejąć TK. Nie możemy stać z boku i patrzeć, jak niszczone są fundamenty państwa prawa. Bo jeśli ich zabraknie, co tak naprawdę będziemy świętować?

Solidarność od początku swojego istnienia łączyła walkę o prawa pracownicze z walką o wolność i suwerenność naszej Ojczyzny. Tak było w 1980 roku i tak jest również dzisiaj. Jeżeli widzimy zagrożenie dla podstawowych wartości, nie możemy milczeć.

– Nie boi się Pan, że Solidarność zostanie posądzona o uwikłanie się w polityczny konflikt?

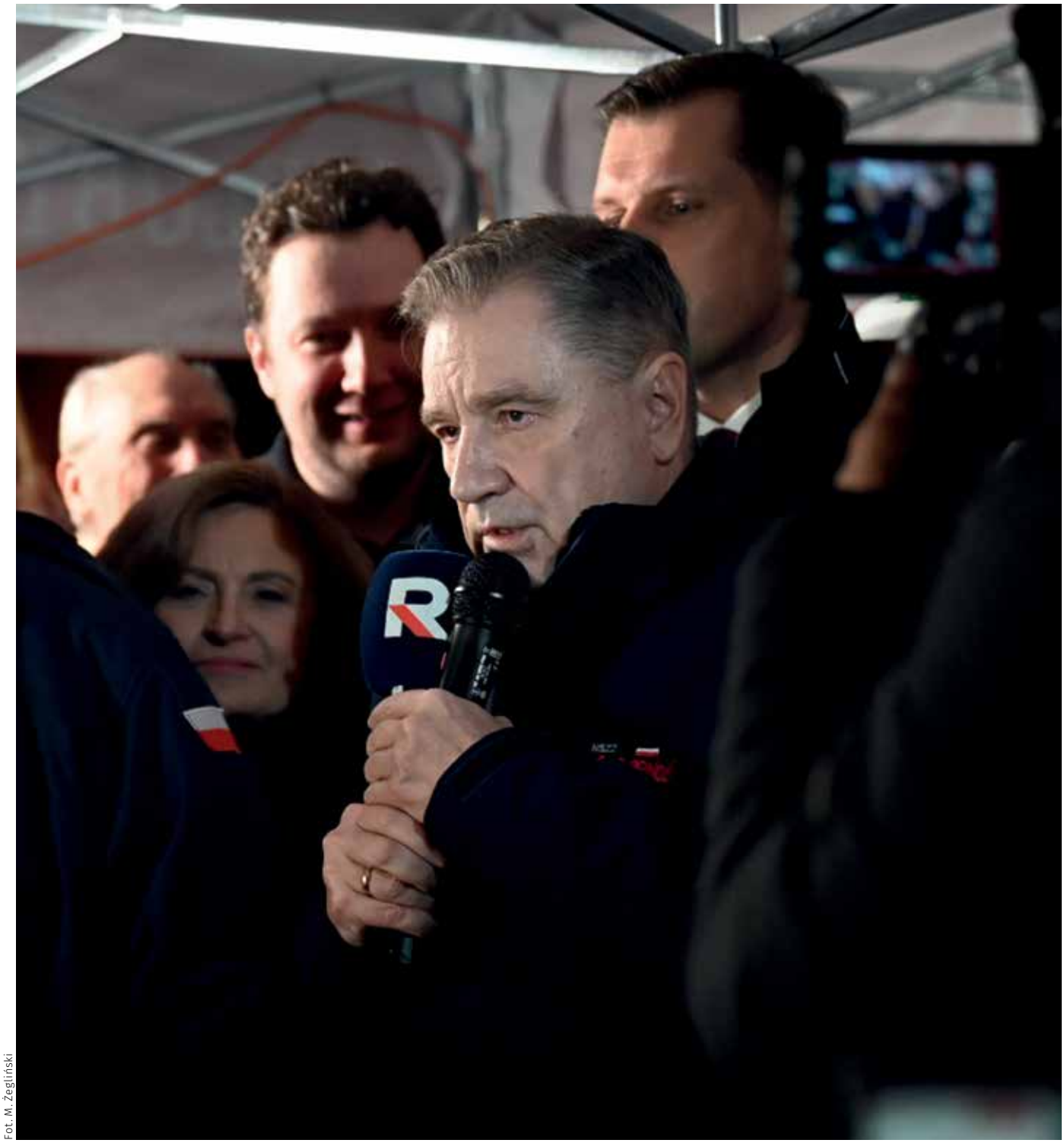
– Nie boję się takich zarzutów, bo słyszę je od wielu lat. Kiedy protestowaliśmy przeciwko podwyższeniu wieku emerytalnego, również mówiono, że uprawiamy politykę. Kiedy sprzeciwialiśmy się niekorzystnym zmianom w prawie pracy, też próbowano nas przedstawiać jako uczestników partyjnego sporu. Kiedy domagamy się referendum w sprawie unijnej polityki klimatycznej, ponownie słyszymy, że związek zawodowy nie powinien zajmować się takimi sprawami, bo to kwestia polityczna.

To czym mamy się zajmować? Uważamy, że działania podejmowane wobec Trybunału budzą bardzo poważne zastrzeżenia i wymagają zdecydowanej reakcji społecznej. Dlatego tu jesteśmy.

Obrona niepodległości, suwerenności i konstytucyjnych praw obywateli nie jest własnością żadnej partii politycznej. To są sprawy fundamentalne dla każdego Polaka, niezależnie od tego, na kogo głosuje i jakie ma poglądy.

Solidarność jest niezależnym, samorządnym związkiem zawodowym. Nie jesteśmy przybudówką żadnej partii i nie zamierzamy nią być. Ale

eprasa.pl 3bd0b6e5e8



Fot. M. Zegliński

niezależność nie oznacza obojętności. Jeżeli rząd podejmuje decyzje, które uderzają w pracowników, lub jeśli dostrzegamy zagrożenia dla demokratycznego porządku państwa, zawsze będziemy protestować.

Dlatego chciałbym, żeby tegoroczny Marsz Niepodległości był przede wszystkim wielką manifestacją polskiego patriotyzmu i odpowiedzialności za Ojczyznę. Żeby pokazał, że Polacy potrafią być razem, nawet jeżeli różnią się w wielu sprawach. Żeby przypomniał rządzącym, że Polska należy do obywateli.

– Wróćmy do wydarzeń przed Trybunałem Konstytucyjnym.

eprasa.pl 3bd0b6e5e8

Solidarność oficjalnie włączyła się w protesty w obronie tej instytucji. Dlaczego uznał Pan, że związek zawodowy powinien tak zdecydowanie zaangażować się w tę sprawę?

– Właśnie dlatego, że w tej sytuacji chodzi przede wszystkim o sposób funkcjonowania państwa i granice władzy. Trybunał Konstytucyjny jest instytucją, która ma stać na straży zgodności prawa z konstytucją. Jeżeli pojawia się ryzyko podporządkowania takiej instytucji bieżącym interesom politycznym, nie możemy przejść obok tego obojętnie.

Solidarność ma szczególny powód, żeby interesować się funkcjonowaniem Trybunału. Przecież konstytucja chroni nie tylko wolności obywatelskie, ale również prawa pracownicze, prawo do zrzeszania się w związkach zawodowych, prawo do rokowań zbiorowych czy prawo do strajku. To fundament naszej codziennej działalności.

Wystarczy przypomnieć spór o wiek emerytalny. Kiedy walczyliśmy przeciwko podwyższeniu wieku emerytalnego, korzystaliśmy z różnych instrumentów demokratycznego państwa prawa, w tym z tzw. skargi konstytucyjnej.

Trybunał Konstytucyjny odegrał także zasadniczą rolę w czasie, gdy wprowadzano wolny dzień od pracy w Święto Trzech Króli. Dzięki orzeczeniu Trybunału wydanemu w 2012 roku udało się uniknąć likwidacji możliwości odbioru dnia wolnego, gdy święto przypada w dzień wolny od pracy, do czego dążył rząd PO.

Dlatego dobrze wiemy, że nie możemy dopuścić do sytuacji, w której jakakolwiek władza uzna, że instytucje kontrolne mają działać wyłącznie wtedy, kiedy wydają wygodne dla niej orzeczenia.

W TRYBUNALE KONSTYTUCYJNYM POWSTAŁA ORGANIZACJA ZAKŁADOWA NSZZ „SOLIDARNOŚĆ” – WŁAŚNIE PO TO, BY INTERESY PRACOWNIKÓW BYŁY W ODPOWIEDNI SPOSÓB ZABEZPIECZONE.

Bardzo niepokoi mnie również sytuacja zwykłych pracowników Trybunału. Przecież oni nie są stroną politycznego konfliktu. To ludzie, którzy wykonują swoją pracę, mają rodziny, zobowiązania i prawo do poczucia bezpieczeństwa. Nie mogą stawać się zakładnikami sporów pomiędzy najważniejszymi instytucjami państwa.

Dlatego w Trybunale Konstytucyjnym powstała organizacja zakładowa NSZZ „Solidarność” – właśnie po to, by interesy pracowników były w odpowiedni sposób zabezpieczone.

– Podczas ostatnich wystąpień przed Trybunałem używał Pan bardzo mocnych słów pod adresem rządu Donalda Tuska. Mówił Pan o dniu próby, o konieczności walki i o tym, że Solidarność nie ustąpi. Czy nie obawia się Pan dalszej eskalacji napięcia?

– Nie jestem zwolennikiem przemocy i nigdy nie będę. Solidarność ma wielką tradycję pokojowego protestu. Naszą siłą zawsze byli ludzie, ich determinacja, solidarność i zdolność do wspólnego działania.

Ale jednocześnie nie można oczekiwać, że będziemy używać wyłącznie dyplomatycznych sformułowań, kiedy uważamy, że sytuacja jest bardzo poważna. Ludzie mają prawo do emocji. Mają prawo być zdenerwowani, kiedy widzą działania władzy, które w ich przekonaniu naruszają podstawowe zasady państwa prawa.

Kiedy mówię o walce, mam na myśli walkę społeczną, obywatelską, związkową i prawną. To są narzędzia demokratycznego społeczeństwa. Naszym celem nie jest chaos, tylko obrona zasad, które uważamy za fundamentalne.

– Zapowiedział Pan, że Solidarność pozostanie przed Trybunałem aż do zwycięstwa. Czyli do kiedy?

– Zwycięstwem będzie sytuacja, w której Trybunał Konstytucyjny będzie mógł funkcjonować jako niezależna instytucja, a jego status i zasady działania nie będą przedmiotem nieustannej walki politycznej.

Chcemy poszanowania konstytucyjnych procedur, rzeczywistej niezależności instytucji i zakończenia działań, które w naszej ocenie zmierzają do podporządkowania Trybunału władzy wykonawczej.

Ale jest jeszcze coś. Chcemy, żeby obywatele odzyskali przekonanie, że prawo obowiązuje wszystkich jednakowo, a konstytucja nie jest dokumentem, który można interpretować dowolnie, zależnie od tego, kto akurat sprawuje władzę.

Solidarność ma doświadczenie w prowadzeniu długotrwałych protestów. Wiemy, że nie wszystkie sprawy udaje się rozstrzygnąć od razu. Czasami potrzeba tygodni, miesięcy, a nawet lat konsekwentnej pracy. Ale zwykle w końcu udaje nam się osiągnąć zamierzony cel.

eprasa.pl 3bd0b6e5e8

– Czy według Pana odpowiednim rozwiązaniem będzie tzw. reset konstytucyjny?

– Jeżeli mamy mówić o prawdziwym resecie konstytucyjnym, to trzeba jasno powiedzieć, że wymaga on zmiany konstytucji, a nie kolejnych doraźnych porozumień.

Solidarność ma w tej sprawie własny dorobek. Już w 1994 roku przedstawiliśmy obywatelski projekt konstytucji, pod którym podpisało się blisko milion Polaków.

W naszym projekcie przewidzieliśmy Trybunał Konstytucyjny jako instytucję, która rzeczywiście stoi na straży konstytucji, a także rozwiązania dotyczące odpowiedzialności najwyższych władz państwowych. Dziś warto wrócić do tej propozycji, w założeniu której konstytucja ma służyć obywatelom, a nie zabezpieczać interesy aktualnie rządzących.

– Mówi Pan, że zwykle udaje się Wam osiągać swoje cele. Teraz jedną z takich długofalowych inicjatyw, jakie podejmuje Solidarność, jest walka z tzw. Zielonym Ładem.

– Bez silnej gospodarki nie ma silnego państwa. Możemy mieć najpiękniejsze deklaracje o suwerenności, ale jeżeli będziemy uzależnieni od importu energii, technologii i podstawowych produktów przemysłowych, nasza niezależność będzie ograniczona.

Solidarność od niemal 20 lat ostrzega przed społecznymi i gospodarczymi konsekwencjami unijnej polityki klimatycznej, której skutki Polacy już odczuwają, a będą odczuwać je coraz mocniej. Zielony Ład oznacza przede wszystkim ogromne koszty, które ponoszą zwykli pracownicy i ich rodziny, a także zahamowanie rozwoju gospodarczego i brak konkurencyjności naszych przedsiębiorstw.

Dlatego domagamy się referendum w sprawie unijnej polityki klimatycznej. Uważamy, że obywatele powinni mieć możliwość wypowiedzenia się w sprawie decyzji, które mogą wpływać na ceny energii, koszty życia i przyszłość wszystkich nas.

Podczas Marszu niemal stu naszych wolontariuszy będzie zbierało podpisy pod obywatelskim wnioskiem o referendum w sprawie Zielonego Ładu. Mamy uzbierane już prawie 500 tys. podpisów i niebawem złożymy je w Sejmie. Wtedy zobaczymy, czy posłowie rzeczywiście są głosem swoich wyborców, czy podobnie jak dwukrotnie zrobili to senatorzy w przypadku prezydenckiego wniosku o referendum klimatyczne, postanowią udać, że tego głosu nie słyszą.

– Podczas wystąpień przed Trybunałem apelował Pan również o jedność prawicy i środowisk patriotycznych. Czy rzeczywiście wierzy Pan, że w tak podzielonym społeczeństwie można zbudować szeroką wspólnotę wokół najważniejszych spraw państwa?

– Nie tylko wierzę, ale uważam, że nie mamy innego wyjścia. Wielokrotnie mówiłem, że politycy muszą odłożyć na bok osobiste ambicje i partyjne spory. Dla mnie nie jest najważniejsze, kto będzie mógł później powiedzieć, że odniósł sukces. Najważniejsze jest to, czy uda się osiągnąć cel ważny dla Polski i Polaków. Zresztą efekty widzieliśmy 30 października przed Trybunałem Konstytucyjnym, kiedy rzeczywiście czołowi politycy z prawej strony sceny politycznej wspólnie wystąpili przeciwko haniebnym działaniom Donalda Tuska. Mam nadzieję, że ten sojusz uda się utrzymać. Nie musimy zgadzać się we wszystkim. Możemy różnić się w ocenie historii, gospodarki czy konkretnych polityków. Ale powinniśmy umieć porozumieć się w kwestii bezpieczeństwa państwa, ochrony praw obywatelskich i przyszłości następnych pokoleń.

Chciałbym, żeby Marsz Niepodległości był właśnie takim wydarzeniem. Żeby uczestnicy wrócili z niego z przekonaniem, że odpowiedzialność za Polskę to nasza wspólna sprawa.

Dlatego apeluję do każdego, komu leży na sercu dobro naszej Ojczyzny: nie bądźcie obojętni. Nie pozwólcie sobie wmówić, że jako zwykli obywatele nie macie wpływu na przyszłość swojego kraju.

Solidarność powstała właśnie dlatego, że ludzie uwierzyli w siłę wspólnego działania. Górnicy, hutnicy, stoczniowcy, nauczyciele, pracownicy służby zdrowia i wielu innych środowisk pokazali, że potrafią upominać się nie tylko o własne interesy, ale również o dobro całego społeczeństwa. Dzisiaj także potrzebujemy takiej postawy. Potrzebujemy ludzi odpowiedzialnych, odważnych i gotowych do pokojowego korzystania ze swoich praw obywatelskich.

PODCZAS MARSZU NIEMAL STU NASZYCH WOLONTARIUSZY BĘDZIE ZBIERAŁO PODPISY POD OBYWATELSKIM WNIOSKIEM O REFERENDUM W SPRAWIE ZIELONEGO ŁADU.

eprasa.pl 3bd0b6e5e8



Marsz, który może zatrzymać Tuska

Do tej pory głównym celem Marszu Niepodległości było podtrzymywanie temperatury uczuć narodowych. W tym roku kontekst polityczny wyraźnie **podbija stawkę**. Liczebność i determinacja uczestników mogą wpłynąć na rozstrzygnięcie kwestii kluczowych dla polskiego ustroju, a co za tym idzie – dla naszej suwerenności.

Ludwik Pęzioł

Donald Tusk nie zdecydował się na zamach stanu dopiero teraz. Ten zamach trwa od początku jego kadencji, tyle że realizowany jest na raty. Dotychczasowe odsłony ingerencji w ustrój – takie jak nielegalne powołanie prokuratora krajowego czy obchodzenie aktów prawnych wyższej rangi za pomocą rozporządzeń – przyciągały jednak uwagę głównie najbardziej zainteresowanych. Przestępcza próba przejęcia Trybunału Konstytucyjnego to jak dotąd najwyższa rata tego zamachu, dlatego wywołała rezonans daleko wykraczający poza środowiska związane z Prawem i Sprawiedliwością. Związki zawodowe, organizacje narodowe, konserwatywne NGO-sy oraz przedstawiciele i sympatycy innych partii słusznie rozpoznali, że gra nie toczy się już tylko o „stołki". Chodzi o uzurpowanie sobie władzy, do sprawowania której Tusk nie otrzymał mandatu społecznego. Co więcej – władzy, którą zamierza przekazać ośrodkom zewnętrznym.

Trybunał jako zapalnik

Plan przejęcia Trybunału był prosty. Uderzamy tuż przed Wszystkimi Świętymi, gdy część ludzi wyjeżdża, a część – zwłaszcza że wszystko wydarzyło się w piątek – woli zakończyć ciężki tydzień w przyjemniejszy sposób, niż sterczeć na chłodzie w poczuciu zagrożenia. Grono protestujących miało ograniczyć się do niewielkiej grupki stałych bywalców demonstracji, których można łatwo zlekceważyć. Jedynym ryzykiem mogło być przeniesienie się nastrojów spod

eprasa.pl 3bd0b6e5e8



Fot. T. Gutry

Trybunału na Marsz Niepodległości. Nie oceniono go jednak zbyt wysoko. W końcu pozostałe środowiska prawicy, w tym narodowe, zwykle ograniczały się do haseł o „resecie konstytucyjnym", traktując spór o Trybunał jako kolejną „partyjną naparzankę" KO z PiS-em. Niestety dla Tuska tym razem wykazały się znacznie większą świadomością niebezpieczeństwa, jakie rodzi nowa odsłona zamachu, i dołączyły do protestów.

Nie stało się to po raz pierwszy. Podczas drugiej tury wyborów prezydenckich w 2025 roku różne środowiska prawicowe na chwilę zawiesiły topór wojenny, ponieważ na horyzoncie pojawiło się widmo „domknięcia systemu". Ostatni bezpiecznik świata konserwatywnego i narodowego – prawicowy prezydent – mógł zostać zastąpiony przez kosmopolitycznego figuranta w stu procentach „postępowego" i gotowego firmować proces tak zwanej pogłębionej integracji europejskiej (to elegancka nazwa na oddanie niepodległości w ręce wspomnianych zewnętrznych ośrodków).

Przełamanie wzajemnej niechęci, jaką darzą się podzielone środowiska prawicy w obliczu próby podporządkowania Trybunału Konstytucyjnego, jest w gruncie rzeczy powtórzeniem tamtej sytuacji. Trybunał obsadzony dyspozycyjnymi sędziami Donalda Tuska stanie się przecież doskonałym instrumentem realizacji scenariuszy antyniepodległościowych: „wymontowania" patriotycznego prezydenta i oficjalnego uznania zwierzchności prawa unijnego nad krajowym. Jeśli dodamy do tego, że przejęcie kontroli nad Trybunałem jest niezbędne do delegalizacji nielubianych partii politycznych, sprzeciw wobec zamachu staje się wręcz nakazem instynktu samozachowawczego.

Marsze szybkiego reagowania

Donald Tusk nie przewidział, że skłócone środowiska patriotyczne staną ramię w ramię. Tym samym otworzył przed sobą nowe zagrożenie: wzmożoną mobilizację przed zbliżającym się Marszem Niepodległości. A ten jest groźny dla władzy z dwóch powodów.

Pierwszym, choć mniej istotnym, jest strach. Tusk, choć potrafi być bezwzględny, nie jest szkolonym w Związku Radzieckim komunistycznym generałem, gotowym łamać społeczny opór przy użyciu czołgów. Poza tym, choć jego pretorianie raczej nie zdezerterują, nie może już liczyć na heroizm koniunkturalnych sojuszników, partyjnych „dołów", zaprzyjaźnionych NGO-sów czy podległych służb. Te środowiska, czując na karku oddech słusznie zagniewanego tłumu, mogą zacząć szykować sobie drogę ewakuacji. Mogą również popaść w podszyty lękiem marazm i niesubordynację. A to byłby początek procesu dekompozycji władzy.

NAJWIĘKSZYM ZAGROŻENIEM DLA PREMIERA JEST MOŻLIWOŚĆ POWTÓRZENIA SUKCESU MARSZU NIEPODLEGŁOŚCI TUŻ PRZED WYBORAMI.

Drugim, być może znacznie istotniejszym zagrożeniem dla premiera jest możliwość powtórzenia sukcesu Marszu Niepodległości tuż przed wyborami. W tym przypadku Donald Tusk mógłby paść ofiarą taktyki, którą sam zastosował w 2023 roku. Przypomnijmy: 4 czerwca zorganizował marsz w rocznicę pierwszych częściowo wolnych wyborów, a cztery miesiące później powtórzył ten manewr, apelując o udział w Marszu Miliona Serc. Jego frekwencyjny sukces niewątpliwie przyczynił się do mobilizacji wyborców i miał wpływ na wymianę ekipy rządzącej. Oba przedsięwzięcia wytworzyły atmosferę, w której „naród" rusza,

eprasa.pl 3bd0b6e5e8

by odsunąć od władzy rodzącą się dyktaturę i pozbyć się ciążącego „zła". Dziś się już o tym nie wspomina, ale sukces pierwszego marszu Tuska był kluczem do powodzenia drugiego. Ludzie zobaczyli, że jest ich wielu, zdobyli doświadczenie organizacyjne, a często zantagonizowane środowiska zaczęły działać wspólnie. Rozległość maszerującego frontu okazała się dla wielu „społecznym dowodem" na to, że zmiana władzy jest konieczna.

Podobnie może być z Marszem Niepodległości. Niewykluczone, że zapoczątkuje on cykl marszów, który wytworzy podobną atmosferę, tyle że po stronie patriotycznej. Dobra współpraca różnych podmiotów – środowisk narodowych, związkowych, medialnych, opozycyjnych i innych – może umożliwić organizowanie kolejnych „marszów szybkiego reagowania". Krótkie, kilkumiesięczne odstępy między nimi powinny sprawić, że antyrządowa atmosfera będzie się zagęszczać, a przedwyborcza energia znajdzie się po stronie opozycji. Opozycji, która niezależnie od poglądów na gospodarkę czy sytuację międzynarodową odnajdzie wspólny mianownik: niepodległość. Wartość, której rząd lewicowych liberałów nie traktuje jako nadrzędnej.

By to się mogło ziścić, niezbędne jest jednak okresowe odświeżenie narodowej emocji, a do tego potrzebujemy repetycji: Marsz Niepodległości – marsz w okresie letnim – marsz tuż przed wyborami.

Marsz o niepodległość

Hasło tegorocznego Marszu Niepodległości „Polak w Polsce gospodarzem", choć jest wielowymiarowe, najmocniej kojarzyło się dotąd z oporem wobec masowej migracji i sprzeciwem wobec „szarogęszenia się" mniejszości narodowych już obecnych w naszym kraju. Zamach na Trybunał Konstytucyjny jest z tym tematem znacznie bardziej związany, niż mogłoby się wydawać. Po pierwsze, nie ma większych wątpliwości, że rząd Tuska wykorzysta zagarnięte przemocą instytucje do żyrowania dotychczasowej polityki migracyjnej, również do podważenia sprzeciwu prezydenta. Co więcej, skoro głównym punktem odniesienia dla obecnego premiera jest dobro Unii Europejskiej, w sytuacji politycznego zapotrzebowania zapewne bez większych oporów zgodzi się na relokację migrantów.

Na pierwszy plan wysuną się również inne aspekty hasła marszu. Jeszcze niedawno projekty federalizacji Unii Europejskiej można było zbywać jako „marzenia ściętej głowy". Dziś wizja Zjednoczonej Europy, funkcjonującej niemal jak imperium rywalizujące z USA oraz Chinami, stała się właściwie domyślnym poglądem przeciętnego lewicowego liberała. Z kolei sama chęć zachowania przez Polskę politycznej autonomii bywa w jego słowniku określana mianem „strasznego nacjonalizmu". To liberałowie przesunęli się na unijnym spektrum tak daleko, że zajęli pozycje antyniepodległościowego radykalizmu. Pokazuje to, jak poważne jest zagrożenie, jeśli nie dojdzie do zmiany władzy. Trzeba więc powiedzieć wprost i bez cienia przesady: tegoroczny Marsz Niepodległości będzie również marszem o niepodległość.

RZĄD TUSKA WYKORZYSTA ZAGARNIĘTE PRZEMOCĄ INSTYTUCJE DO ŻYROWANIA DOTYCHCZASOWEJ POLITYKI MIGRACYJNEJ, NAWET WBREW PREZYDENTOWI.

RYSUJĘ, CO MYŚLĘ **WASIUKIEWICZ**



eprasa.pl 3bd0b6e5e8



Fot. Edyta Korupczyńska

Sześć lat walki o SPRAWIEDLIWOŚĆ

11 listopada 2020 roku podczas Marszu Niepodległości w Warszawie Tomasz Gutry, fotograf „Tygodnika Solidarność", został postrzelony. Trafiono go w twarz gumowym pociskiem wystrzelonym z policyjnej broni gładkolufowej. Sprawa stała się przedmiotem postępowania prokuratorskiego, a następnie procesu cywilnego przeciwko Skarbowi Państwa.

Barbara Michałowska

Przypomnijmy, do zdarzenia doszło w rejonie ronda gen. Charles'a de Gaulle'a w Warszawie, gdzie podczas zabezpieczania Marszu Niepodległości policja użyła broni gładkolufowej. Pan Tomek wykonywał zdjęcia dokumentujące działania funkcjonariuszy oraz przebieg wydarzenia.

Według jego relacji strzał został oddany z odległości kilku, maksymalnie dziesięciu metrów. Pan Tomek podkreślał, że nie uczestniczył w starciach, nie prowokował policjantów i miał przy sobie widoczny aparat fotograficzny. Gumowy pocisk trafił go w policzek i utkwił w ranie. Poszkodowany został przewieziony do szpitala przy ulicy Szaserów w Warszawie, gdzie przeszedł zabieg usunięcia pocisku oraz rekonstrukcji policzka.

Postrzelenie fotoreportera wywołało reakcję redakcji „Tygodnika Solidarność", portalu Tysol.pl oraz władz NSZZ „Solidarność". Przewodniczący Związku Piotr Duda domagał się wyjaśnienia okoliczności zdarzenia i ustalenia odpowiedzialności funkcjonariuszy.

W listopadzie 2020 roku Prokuratura Okręgowa w Warszawie wszczęła śledztwo dotyczące między innymi podejrzenia przekroczenia uprawnień przez policjantów zabezpieczających Marsz Niepodległości. Postępowanie obejmowało użycie broni gładkolufowej w rejonie ronda de Gaulle'a i możliwe działanie na szkodę interesu publicznego oraz dwóch pokrzywdzonych.

W sierpniu 2021 roku prokuratura umorzyła śledztwo. Tomasz Gutry złożył zażalenie na tę decyzję, jednak Sąd Rejonowy dla Warszawy-Śródmieścia go nie uwzględnił. W związku z tym fotoreporter zdecydował się dochodzić swoich roszczeń na drodze cywilnej. Pozew skierował przeciwko Skarbowi Państwa – Komendantowi Komendy Miejskiej Policji w Katowicach. Funkcjonariusze tej jednostki zabezpieczali bowiem rejon, w którym doszło do postrzelenia.

Pierwsza rozprawa cywilna odbyła się 17 czerwca 2026 roku przed Sądem Okręgowym w Warszawie. Sąd przesłuchał kilkunastu świadków, w tym uczestników wydarzeń, dziennikarzy oraz policjantów obecnych na miejscu w listopadzie 2020 roku. Pytania dotyczyły przebiegu interwencji, okoliczności użycia broni gładkolufowej oraz samego momentu oddawania strzałów.

Pełnomocnik Tomasza Gutrego, adwokat Michał Ossowski, wskazał, że zamierza wykazać, iż policjanci nadużyli swoich uprawnień, stosując środki przymusu bezpośredniego niezgodnie z obowiązującymi przepisami.

Druga rozprawa odbyła się 7 października 2026 roku. Tym razem zeznania składał sam Tomasz Gutry. Przedstawił sądowi informacje o kosztach leczenia oraz stratach wynikających z niemożności wykonywania pracy zawodowej po postrzeleniu. Pan Tomek do dziś nie odzyskał pełnej sprawności.

eprasa.pl 3bd0b6e5e8

Z Marszem Niepodległości przez lata

Od 15 lat co roku zastanawiamy się, czy Marsz Niepodległości przejdzie spokojnie, czy wręcz przeciwnie – jeśli nawet uczestnicy nie będą prowokowani przez policję, to przynajmniej organizatorzy napotkają **opór urzędników** warszawskiego ratusza lub wojewody. Za PO było to normą, za PiS było łatwiej, lecz i wtedy warszawski ratusz pozostawał w rękach przeciwników marszu. Marszu, w którym nie uczestniczą przecież tylko anioły i który jest specyficznym świętem – radość i duma mieszają się tu z protestem i gniewem.

Krzysztof Karnkowski

Marsz Niepodległości w znanej nam dziś formule pierwszy raz przeszedł ulicami Warszawy w 2010 roku, jednak jego początków szukać należy, zagłębiając się w historię III RP, a nawet PRL.

Listopad podziemny

Przed II wojną światową 11 listopada świętowano oficjalnie jedynie dwa razy, w 1937 i 1938 roku. Próbując jeszcze zachowywać pozory wobec Polaków, komuniści zorganizowali obchody również w 1944 roku, ale już rok później w oficjalnym kalendarzu królował 22 lipca. Odtąd 11 listopada stał się świętem niepożądanym, wypieranym z przestrzeni publicznej i oficjalnej pamięci historycznej. Jego tradycję podtrzymywały przede wszystkim środowiska kombatanckie, niepodległościowe i Kościół katolicki, organizując nabożeństwa i skromne uroczystości patriotyczne. Dopiero odrodzenie zorganizowanej opozycji w drugiej połowie lat 70. pozwoliło przenieść obchody na ulice. W 1978 roku, w 60. rocznicę odzyskania niepodległości, około dwóch tysięcy osób przeszło w Warszawie spod Bazyliki Archikatedralnej św. Jana Chrzciciela pod Grób Nieznanego Żołnierza. Wśród organizatorów znaleźli się działacze ROPCiO. Skala obchodów zaskoczyła komunistów, zupełnie na taki błąd w systemie nieprzygotowanych. Rok później manifestacja była jeszcze liczniejsza, lecz tym razem władze odpowiedziały represjami i aresztowaniami. Powstanie Solidarności przyniosło krótkotrwałą zmianę: w latach 1980–1981 uliczne obchody przybrały masowy charakter, gromadząc w całym kraju dziesiątki tysięcy uczestników. Stan wojenny oznaczał powrót do policyjnych blokad, zatrzymań i rozpędzania demonstracji przez ZOMO. Jeszcze w 1988 roku, gdy władze PRL niespodziewanie zaczęły same odwoływać się do tradycji niepodległościowej i postaci Józefa Piłsudskiego, milicja rozpędzała niezależne manifestacje,

> SKALA OBCHODÓW ZASKOCZYŁA KOMUNISTÓW, ZUPEŁNIE NA TAKI BŁĄD W SYSTEMIE NIEPRZYGOTOWANYCH.

eprasa.pl 3bd0b6e5e8



Proj. autor

choć równocześnie zaczęto organizować okolicznościowe akademie szkolne. W tym samym roku po raz pierwszy część tygodników to święto w listopadzie, a nie w lipcu, poświęciło swoje okładki. Ostatecznie 15 lutego 1989 roku, podczas obrad Okrągłego Stołu, Sejm PRL przywrócił 11 listopada rangę święta państwowego.

Znów w kalendarzu

Pierwsze oficjalne obchody przywróconego święta, 11 listopada 1989 roku, miały typowy dla rozdwojenia jaźni III RP charakter. Pod Grobem Nieznanego Żołnierza spotkali się prezydent Wojciech Jaruzelski, premier Tadeusz Mazowiecki i marszałek Senatu Andrzej Stelmachowski. Wieczorem Mazowiecki wygłosił telewizyjne orędzie, porównując wyzwania stojące przed Polakami w 1918 i 1989 roku. Rok później, podczas uroczystości na Placu Piłsudskiego, odsłonięto przywrócone przedwojenne tablice Grobu Nieznanego Żołnierza. Święto odzyskiwało państwowy charakter, a jego obchody przestawały być manifestacją sprzeciwu wobec władzy. Tak przynajmniej się zdawało, ponieważ podskórnie zaczynał już kipieć gniew środowisk radykalnych, marginalizowanych i demonizowanych przez główny nurt polskiej polityki i publicystyki. Szczególnie aktywne były organizacje odwołujące się do tradycji przedwojennej endecji i narodowego radykalizmu. Początkowo ich uliczne listopadowe demonstracje odbywały się przede wszystkim poza Warszawą, między innymi w Krakowie, Wrocławiu i Toruniu. Ważną rolę odgrywała Polska Wspólnota Narodowa Bolesława Tejkowskiego, przez pewien czas ciesząca się sporymi wpływami pośród nacjonalistycznie zorientowanych skinheadów. Był to czas dużej popularności subkultury skinowskiej, atrakcyjnej dla wielu tym bardziej, im bardziej była ona kreowana przez media jako zagrożenie.

eprasa.pl 3bd0b6e5e8

Dzień gniewu, dzień dymu

W Warszawie pierwsze większe pochody organizowane przez Narodowe Odrodzenie Polski pojawiły się w połowie lat 90. Według ówczesnych relacji w 1996 roku około pół tysiąca uczestników, w znacznej części skinheadów, przemaszerowało pod Grób Nieznanego Żołnierza. Dwa dni wcześniej demonstrowali anarchiści i antyfaszyści. Po obu manifestacjach harcownicy z obu grup wyłapywali na mieście konkurentów-maruderów. Podobne demonstracje organizowano w latach 1998 i 1999, a ich stałym elementem stawały się obecność przeciwników politycznych, próby konfrontacji i interwencje policji. Były to nadal wydarzenia środowiskowe czy nawet subkulturowe (wpisujące się w trwający wówczas i zbierający krwawe żniwo konflikt punków i skinów). Gdy na manifestacje punkowe zaczęli przychodzić politycy, był to ich koniec – zastąpiły je organizowane tego samego dnia co przemarsze narodowców kontry. Prawicowe marsze przyciągały rosnące, lecz wciąż liczone raczej w setkach niż tysiącach grono. Dopiero na początku nowego stulecia zaczęły zmieniać się zarówno organizacje, jak i demografia demonstrantów. W 2001 roku odnotowano nielegalny przemarsz NOP, dwa lata później własne warszawskie obchody zorganizowała Młodzież Wszechpolska. W 2005 roku doszło do ogólnopolskiej konsolidacji odradzającego się Obozu Narodowo-Radykalnego. Jednocześnie coraz ważniejszym punktem odniesienia dla uczestników demonstracji stawała się postać Romana Dmowskiego. Symboliczne znaczenie miało odsłonięcie jego pomnika przy Placu Na Rozdrożu 10 listopada 2006 roku, z udziałem między innymi Macieja Giertycha, Wojciecha Wierzejskiego, Jacka Sasina i ks. Henryka Jankowskiego. Następnego dnia ulicami Warszawy przeszedł kolejny kilkusetosobowy pochód narodowców. W kolejnych latach manifestacje odbywały się już regularnie, choć nadal pozostawały przedsięwzięciami stosunkowo niewielkich środowisk. W 2007 roku marsz ONR zgromadził około trzystu uczestników, rok później około czterystu. Marsze znów, jak w latach 90., zakłócane były przez grupy lewicowe.

ZACZYNAŁ KIPIEĆ GNIEW ŚRODOWISK RADYKALNYCH, MARGINALIZOWANYCH I DEMONIZOWANYCH PRZEZ GŁÓWNY NURT.

Marsz, który znamy

Wszystko zmieniło się w 2010 roku. Społeczne emocje po katastrofie smoleńskiej, zmiany w strukturze organizacyjnej i... mocna krytyka ze strony nielubianych przez prawicę mediów i środowisk gwałtownie podniosły rangę wydarzenia, które zaczęło zyskiwać funkcjonującą do dziś formułę. Po raz pierwszy Młodzież Wszechpolska i Obóz Narodowo-Radykalny zorganizowały wspólną demonstrację pod nazwą Marsz Niepodległości. Poparli ją przedstawiciele innych środowisk prawicowych, w tym Janusz Korwin-Mikke, Paweł Kukiz, Rafał Ziemkiewicz czy Jan Pospieszalski. Przeciwnicy narodowców zrzeszeni w Porozumieniu 11 Listopada przygotowali natomiast blokadę, która zmusiła policję do zmiany trasy pochodu. Na warszawskim Powiślu demonstranci próbowali zatrzymać maszerujących, siadając na jezdni, a część z nich przebrała się w pasiaki wzorowane na strojach więźniów niemieckich obozów koncentracyjnych. To zapowiedziane wcześniej zestawienie maszerujących z nazistami wzbudziło dużo emocji i sprawiło, że wiele wahających się osób na marsz poszło – nie z sympatii do organizatorów, a przeciwko środowisku „Gazety Wyborczej". Dochodziło do przepychanek i interwencji policji, jednak pochód ostatecznie dotarł pod Pomnik Romana Dmowskiego. Uczestniczyło w nim, według różnych szacunków, od pięciu do dziesięciu tysięcy osób, a więc wielokrotnie więcej niż w poprzednich latach.

ŚRODOWISKA NARODOWE PODJĘŁY PRÓBĘ POLITYCZNEGO WYKORZYSTANIA ROSNĄCEJ POPULARNOŚCI WYDARZENIA.

Rok później było ich już kilkanaście, być może około dwudziestu tysięcy. Rozszerzyło się zaplecze organizacyjne wydarzenia, powsta-

eprasa.pl 3bd0b6e5e8

ło również Stowarzyszenie Marsz Niepodległości. Do uczestników dołączyły środowiska kombatanckie, kluby „Gazety Polskiej", kibice piłkarscy, konserwatyści i rodziny z dziećmi. Przeciwnicy marszu zorganizowali tym razem „Kolorową Niepodległą", wspieraną między innymi przez „Krytykę Polityczną" i przedstawicieli środowisk artystycznych. W kontrmanifestacji uczestniczyli również niemieccy antyfaszyści, których przyjazd wywołał oburzenie na prawicy i znów, jak „artystyczna" blokada rok wcześniej, przekonał wielu wahających się do uczestnictwa. Policja zatrzymała 92 obywateli Niemiec. Na ulicach Warszawy doszło do gwałtownych starć, w których uczestniczyły różne grupy demonstrantów i chuliganów, podejrzewano znaczący udział prowokatorów. Podpalono samochody telewizyjne, w tym wóz TVN, demolowano elementy infrastruktury miejskiej, a funkcjonariusze używali armatek wodnych i gazu. Łącznie zatrzymano około 210 osób. Pomimo zamieszek liczba uczestników marszu wyraźnie wzrosła. W 2012 roku, pod hasłem „Odzyskajmy Polskę", maszerowało już od 25 do 50 tysięcy osób. Ponownie doszło do starć z policją, której kordony atakowano racami, kamieniami i petardami. Organizatorzy powołali własną Straż Marszu odpowiedzialną za utrzymanie porządku. W tym samym czasie środowiska narodowe podjęły próbę politycznego wykorzystania rosnącej popularności wydarzenia, ogłaszając powstanie Ruchu Narodowego. Jego rozpoznawalnymi liderami stali się Robert Winnicki i Krzysztof Bosak. Kolejna edycja, w 2013 roku, zgromadziła około 50 tysięcy uczestników, ale zapisała się w pamięci przede wszystkim z powodu podpalenia tęczy na Placu Zbawiciela oraz zamieszek pod ambasadą Rosji, przed którą podpalono policyjną budkę. To ostatnie okazało się prowokacją, do czego jeden z polityków PO przyznał się w ujawnionym w aferze taśmowej nagraniu. W 2014 roku, kiedy marsz po raz pierwszy przeszedł trasą przez Most Poniatowskiego na błonia Stadionu Narodowego, ponownie doszło do ciężkich starć. Policja używała armatek wodnych i broni gładkolufowej, kilkudziesięciu funkcjonariuszy zostało rannych, a do jednostek policji doprowadzono ponad 270 osób. Organizatorzy mówili nawet o stu tysiącach uczestników, policja szacowała ich liczbę na mniej więcej trzydzieści tysięcy.

BRAK UTARCZEK Z POLICJĄ SPOTĘGOWAŁ PYTANIA O WCZEŚNIEJSZE DOMNIEMANE PROWOKACJE.

Można spokojnie

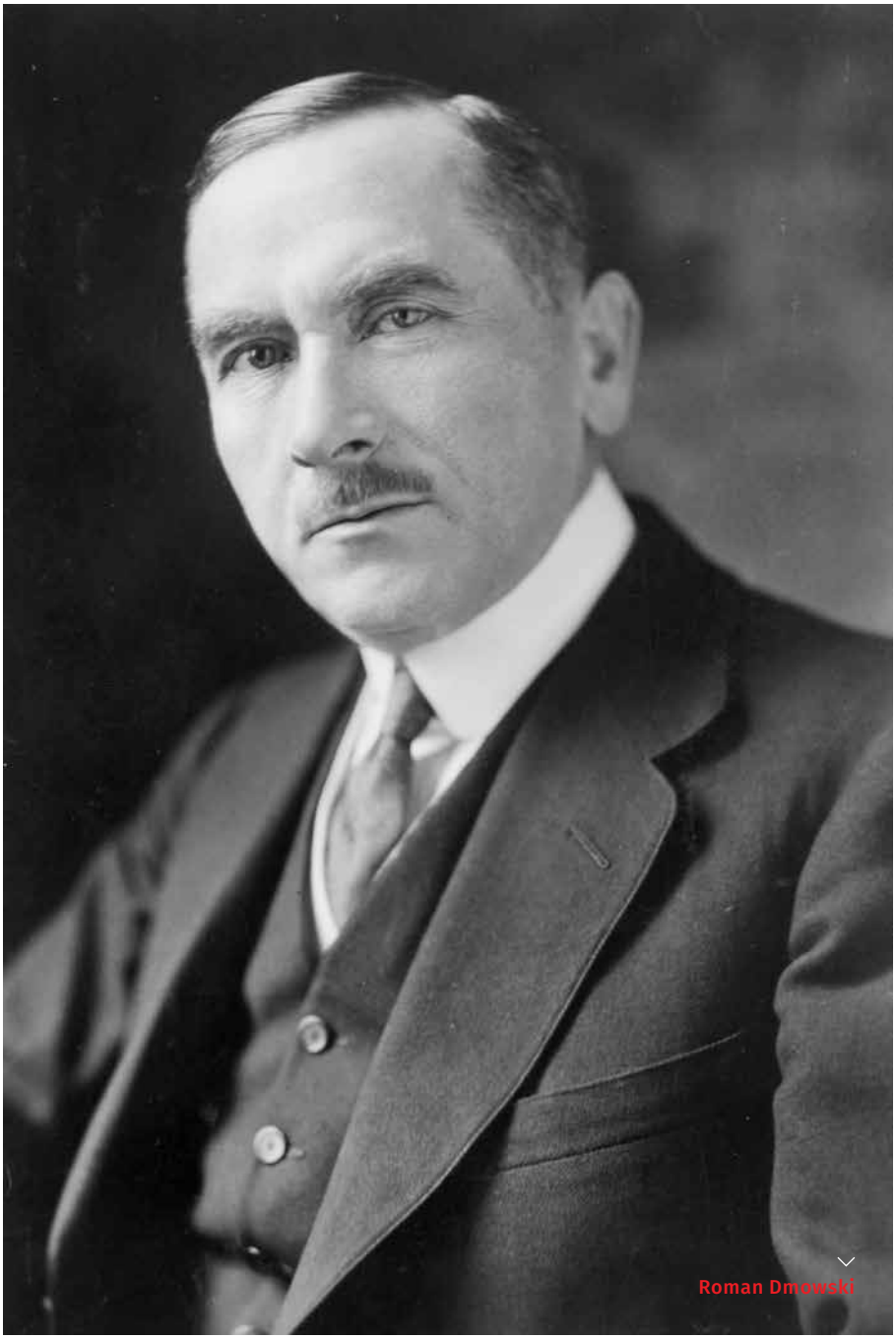
Od 2015 roku Marsz Niepodległości przebiegał już na ogół znacznie spokojniej, wciąż łącząc różne polityczne środowiska i temperamenty. Nie zniknęły kontrowersje wokół haseł, symboliki czy używania pirotechniki, rozdmuchiwane przez polskie i zachodnie media. Brak utarczek z policją spotęgował natomiast pytania o wcześniejsze domniemane prowokacje. Powracające oskarżenia o faszyzm czy rasizm używane były do uderzenia w rządzących czy szerzej, panujący w naszym kraju polityczny klimat. Do uczestników dołączali przedstawiciele najwyższych władz państwowych. Prezydent Andrzej Duda kierował do maszerujących oficjalne listy, w 2017 roku zaś wydarzenie uzyskało status zgromadzenia cyklicznego. Nie oznaczało to końca konfliktów z warszawskim samorządem. Ich kulminacja nastąpiła w 2018 roku, kiedy Hanna Gronkiewicz-Waltz próbowała zakazać wyjątkowo ważnego, zważywszy na datę, marszu, lecz jej decyzję uchylił sąd. Ostatecznie w setną rocznicę odzyskania niepodległości odbył się wspólny przemarsz środowisk narodowych i uczestników uroczystości państwowych, z udziałem prezydenta i premiera, gromadząc według policji rekordowe 250 tysięcy osób. Wyjątkiem od coraz spokojniejszego przebiegu obchodów był pandemiczny rok 2020, w którym doszło do użycia broni gładkolufowej. Jej ofiarą padł między innymi nasz fotoreporter Tomasz Gutry. W kolejnych latach powróciły przede wszystkim spory administracyjne, zwłaszcza o status zgromadzenia cyklicznego, ale mimo przeszkód marsz odbywał się regularnie. W 2025 roku wziął w nim udział urzędujący już prezydent Karol Nawrocki, a wydarzenie ponownie zgromadziło dziesiątki tysięcy uczestników. Od powrotu PO do władzy doszło do szeregu prowokacji i policyjnych najść na biura organizatorów, lecz jak dotąd nie przełożyło się to na eskalację napięcia podczas samego marszu. W tym roku przejdzie on jednak w warunkach wyjątkowo mocno rozgrzanych po zamachu na TK i próbach deprecjonowania prezydenta Nawrockiego społecznych nastrojach. Policja obecnie jest wykorzystywana do politycznych demonstracji siły, stając się ostatnim argumentem władzy.

eprasa.pl 3bd0b6e5e8

Dmowski nasz, nie nasz

Popularna publicystyczna teza mówi, że Polską **rządzą trumny** Piłsudskiego i Dmowskiego. To prawda, choć w III RP Dmowski został wystawiony poza margines głównej debaty publicznej. Wykorzystała to Rosja.

Jakub Pacan



Roman Dmowski

Fot. Wikipedia

Podczas finału jednego z Marszów Niepodległości, bodaj w 2018 roku, a więc w setną rocznicę odzyskania przez Polskę niepodległości, już na błoniach Stadionu Narodowego, czyli w samej końcówce zgromadzenia, przedstawiciel Obozu Narodowo-Radykalnego powiedział: „Proszę Państwa, wspomnijmy jeszcze jednego z ojców założycieli odrodzonej Polski, Romana Dmowskiego, który często jest niesłusznie pomijany w naszej historii".

Jak wasz, to nie nasz

Tamta sytuacja jak w pigułce pokazuje problemy, z jakimi mierzy się dziedzictwo Romana Dmowskiego w III RP. Upomniał się o nie przedstawiciel tej siły politycznej na polskiej prawicy, z którą reszta umiarkowanej, ba, „normalnej" prawicy nie chce mieć nic wspólnego. Skoro Dmowski jest „wasz" – radykałów, rusofilów, szowinistów, antysemitów – to nie może być „nasz". Bo my jesteśmy prawicą zeuropeizowaną i nawet, jeśli po cichu cenimy Dmowskiego i w pewnych sprawach przyznajemy mu rację, to odwoływanie się do niego publicznie niebezpiecznie przybliża nas do was, a to już wygląda jak jawne oznaki niestrawności przy jedzeniu. Nie uchodzi.

Dość wspomnieć, że w wolnej Polsce Instytut Dziedzictwa Myśli Narodowej im. Romana Dmowskiego został powołany dopiero w 2020 roku, ale by zmniejszyć kontrowersje, dodano Dmowskiemu innego z ojców założycieli Niepodległej, Ignacego Jana Paderewskiego, postać też wielką. Wywołało to falę oburzenia po lewej stronie, a instytucja i tak zakończyła

eprasa.pl 3bd0b6e5e8

działalność w 2024 roku. W zestawieniu do tradycji piłsudczykowskiej, którą można w przestrzeni publicznej afirmować, spuścizna Dmowskiego jest anemiczna i cieniusia.

Roman Dmowski w III RP nie miał lekko. Trochę sam sobie na to zasłużył swoim antysemityzmem. Ten antysemityzm zresztą był jedynym wątkiem jego potężnej analizy politycznej, który się nie sprawdził. Poruszając „kwestię żydowską", pisał w książce „Świat powojenny i Polska", że wielkość tego narodu się kończy, a Palestyna „zawiodła jako teren do szerszej kolonizacji". Wynikać to miało m.in. z braku daru przewidywania Żydów na przyszłość, mimo dobrego nosa do bieżącej koniunktury. Dziś widać, że były to słowa chybione. W obecnych warunkach maleńki Izrael może podpalać Bliski Wschód i walczyć z potężnym Iranem, posługując się Stanami Zjednoczonymi.

Jednak była to tylko jedna z wielu analiz, reszta z idei tego klasyka polskiej myśli politycznej to prawdziwe skarby i bodaj najlepsza szkoła realizmu politycznego minionego stulecia. I trzeba zauważyć, że była to na tyle wielka i ważna postać, że nawet w „Gazecie Wyborczej", w sążnistej publicystyce, i „Magazynie Świątecznym" pojawiały się o nim ciekawe analityczne teksty bez spłycania przemyśleń o Dmowskim jako antysemicie.

Skoro padły te zastrzeżenia, a były one konieczne, bo dzisiaj marginalizuje się Dmowskiego i unieważnia właśnie słowem „antysemita" czy nawet „faszysta", czas przejść do pytań, jak wiele tracimy, nie czerpiąc z jego dorobku, i kto nam Dmowskiego tak paskudnie zawłaszczył, że omijamy go w dyskusjach nad syntezą dziejów Polski szerokim łukiem?

Realizm do bólu

Najpierw kilka słów o tym, co tracimy, a które z jego przemyśleń potrzebne są nam dzisiaj. Polska racja stanu czy interes narodowy posunięty aż do egoizmu narodowego i pewna doza darwinizmu w stosunkach międzypaństwowych to coś, czego polska praktyka polityczna potrzebuje z dziedzictwa Dmowskiego jak kania dżdżu, a czego liberalno-lewicowa klasa polityczna się wstydzi i czym się brzydzi. Przestrzeń międzynarodową Dmowski rozumiał jako arenę walki drapieżników, bezwzględne rozgrywki o interesy. Sąsiedztwo Rosji i Niemiec oraz niedawno krwawo zakończony koncert mocarstw nie pozostawiały mu złudzeń.

„My, Polacy, którzyśmy codziennie słyszeli zwrócone w naszym kierunku «Ausrotten», na różne tony wypowiadane przez wszystkie właściwie obozy Niemiec, najwięcej mieliśmy sposobności do poznania ducha owej epoki. Musieliśmy też dojść do zrozumienia, że odpowiadanie na to hasło niemieckie deklaracjami miłości chrześcijańskiej lub masońskiego humanitaryzmu prowadzi do samobójstwa narodu, że nie świadczy ono o wyższości narodu, ale jest płaszczykiem pokrywającym jego znikczemnienie" – pisał w 1926 roku w „Kurierze Poznańskim" w tekście, „Nacjonalizm i faszyzm. IV nowe zadania nacjonalizmu". Polityka zagraniczna III RP, która odwróciła się od tego sposobu myślenia, obnaża swoje słabości, często wręcz rażące w sposób dramatyczny. Płaszczenie się już nie tylko przed Niemcami, ale nawet przed Ukrainą i Litwą, nie przynosi Polsce korzyści ani szacunku, lecz pogardę. Słabego w przestrzeni międzynarodowej się lekceważy i się nim gardzi. Ta zasada szczególnie obowiązuje na Wschodzie.

Jego egoizm narodowy jest nam potrzebny obecnie, kiedy centralizacja państwa europejskiego wchodzi w moment decydujący i wywołuje konwulsje w narodach niechcących się temu podporządkować. Próba siłowego przejęcia Trybunału Konstytucyjnego jest tego jaskrawym przykładem. TK ma być przejęty po to, by wrzucić do wspólnej europejsko-niemieckiej puli to, co ma jeszcze jakieś znamiona narodowej autonomii, chodzi o polskie sądownictwo, bank centralny, zapasy złota i delegalizację partii zbyt narodowych jak na europejskie standardy.

SKORO DMOWSKI JEST „WASZ" – RADYKAŁÓW, RUSOFILÓW, SZOWINISTÓW, ANTYSEMITÓW – TO NIE MOŻE BYĆ „NASZ". BO MY JESTEŚMY PRAWICĄ ZEUROPEIZOWANĄ.

Wróg to wróg

Dmowski zostawił w swoim testamencie lekcję, którą III RP zlekceważyła i płaci za to ogromną cenę, mianowicie nie miał żadnych złudzeń co do jak najgorszych intencji Niemiec, Rosji, ale i Ukrainy wobec Polski. Znając doświadczenia zaborów, pisał, że Niemcy dążą do całkowitej asymilacji Polaków na ziemiach zabranych, a jeśli to się nie

eprasa.pl 3bd0b6e5e8

uda, to „do zupełnej eksterminacji żywiołu polskiego". Po doświadczeniach II wojny światowej owa asymilacja przepuszczana jest przez filtr „wartości europejskich", ale dalej prze do przodu pod niemieckim protektoratem. „Niemcy zdolne będą wywierać najsilniejszy wpływ na losy narodu polskiego i na dalszy rozwój kwestii polskiej" – pisał w 1908 roku w „Niemcy, Rosja i kwestia polska". Gdyby ktoś napisał te słowa wczoraj, też miałby rację. „Cała Europa Środkowa i Wschodnia jest dziś polem wytężonej niemieckiej pracy dla przyszłości oraz energicznej akcji politycznej prowadzonej często metodami znanymi tylko polityce niemieckiej; jest sferą szybkiego wzrostu niemieckiego wpływu, polem pokojowego ze strony Niemiec podboju" – pisał dalej.

Realizm Dmowskiego jest precyzyjny, czasem makiaweliczny, wręcz razi co poniektórych pięknoduchów, ale jest prawdziwy i ostateczny. Może dlatego niektórym tak trudno go przyjąć.

Na pewno wielu pięknoduchom trudno przyjąć słowa Dmowskiego sprzed prawie stu lat o Ukrainie. W tekście „Kwestia ukraińska" pisał w 1930 roku: „Nie ma siły ludzkiej, zdolnej przeszkodzić temu, ażeby oderwana od Rosji i przekształcona na niezawisłe państwo Ukraina stała się zbiegowiskiem aferzystów całego świata, którym dziś bardzo ciasno jest we własnych krajach [...] Te wszystkie żywioły przy udziale sprytniejszych, bardziej biegłych w interesach Ukraińców, wytworzyłyby przewodnią warstwę, elitę kraju. Byłaby to wszakże szczególna elita, bo chyba żaden kraj nie mógłby poszczycić się tak bogatą kolekcją międzynarodowych kanalii. Ukraina stałaby się wrzodem na ciele Europy; ludzie zaś marzący o wytworzeniu kulturalnego, zdrowego i silnego narodu ukraińskiego, dojrzewającego we własnym państwie, przekonaliby się, że zamiast własnego państwa, mają międzynarodowe przedsiębiorstwo, a zamiast zdrowego rozwoju, szybki postęp rozkładu i zgnilizny". Na wyrost? Pewnie tak, choć Ukraińcy nie mają dzisiaj własnego państwa, tylko „międzynarodowe przedsiębiorstwo" zarządzane przez oligarchów i korporacje. Kash Patel, dyrektor FBI, zarzucał Wołodymyrowi Zełenskiemu kłamstwo i korupcję gigantycznych rozmiarów na Ukrainie. – Poprosiłbym Kongres o zbadanie, na co poszły te pieniądze. Amerykanie powinni otrzymać odpowiedź na to pytanie. [...] To nie jest tak, że wysłaliśmy [do Ukrainy – przyp. red.] miliard dolarów, choć nie jest to też mała kwota. Wysłaliśmy sto razy więcej – mówił Patel. Głośno było o współpracowniku Zełenskiego Timurze Mindichu, który zdefraudował 100 milionów dolarów i uciekł do Izraela, chciał też za miliard dolarów nabyć połowę akcji spółki Fire Point, producenta dronów i pocisków manewrujących. Takich ucieczek z pieniędzmi było o wiele więcej. Według najnowszego Indeksu Percepcji Korupcji (CPI) przygotowanego przez Transparency International za rok 2025 Ukraina uzyskała 36 punktów na 100 możliwych i zajęła 104. miejsce w globalnym rankingu obejmującym 182 kraje, a korupcja rok do roku tam rośnie. Według „The New York Times" w 2024 roku zdefraudowano aż 1,2 mld dolarów w samym zakupie sprzętu wojskowego. Mimo trwającej pełnoskalowej wojny Ukraina nadal pozostaje jednym z globalnych centrów surogacji.

I w końcu Rosja – główny zarzut obok antysemityzmu stawiający Dmowskiego poza nawias debaty politycznej. Nie był rusofilem, jego egoizm narodowy i trzeźwość myślenia wykluczały także Rosję z kręgu myślenia „miłości chrześcijańskiej" i braterstwa z tym krajem, choćby po linii braterstwa Słowian. „Za błędne uznawał Dmowski postrzeganie Rosji jako bastionu konserwatyzmu [...]. W jego ocenie elity rosyjskie oraz kolejni władcy na ogół nie mieli zmysłu konserwatywnego w europejskim znaczeniu tego słowa, jeśli za wyznacznik konserwatyzmu przyjąć poszanowanie tradycyjnych instytucji oraz troskę o «te cenne fundamenty bytu społecznego, na których wytworzenie wieki się składają»" – pisze prof. Krzysztof Kosiński w książce „Bunt duszy polskiej. O twórczości politycznej i literackiej Romana Dmowskiego (z lat 1893–1934)".

EGOIZM NARODOWY DMOWSKIEGO JEST NAM POTRZEBNY OBECNIE, KIEDY CENTRALIZACJA PAŃSTWA EUROPEJSKIEGO WCHODZI W MOMENT DECYDUJĄCY I WYWOŁUJE KONWULSJE W NARODACH NIECHCĄCYCH SIĘ TEMU PODPORZĄDKOWAĆ.

eprasa.pl 3bd0b6e5e8

W Rosji widział wroga niezawisłości polskiej, pisał, że po rozbiorach „w Krajach Zabranych [...] Rosja postawiła sobie za cel zniszczenie kultury polskiej". Jednak mniejsze obawy o wynarodowienie miał w zaborze rosyjskim niż w pruskim: „Wyższość kultury była tu i jest po stronie zwyciężonych, a nie zwycięzców, nadto Rosja nie posiada materiału ludzkiego odpowiedniego do kolonizacji na Zachodzie, w bardziej skomplikowanych i bardziej kulturalnych warunkach niż rosyjskie" – pisał w „Niemcy, Rosja i kwestia Polska". Teza Dmowskiego o przewadze kulturowej i cywilizacyjnej Polaków nad Rosjanami nie oznacza rusofilstwa. On tylko twierdził, że z tej przewagi Polacy mogą ugrać więcej dla siebie. Pisał, że w swoim wielkim imperium carska biurokracja ceniła polskich specjalistów. „Miejscowi też Rosjanie, nawet rusyfikatorzy najzawziętsi tego kraju [zaboru rosyjskiego – przyp. red.], przyznają nieraz, że jedyną drogą do poruszenia go z zastoju kulturalnego i martwoty byłoby zupełne równouprawnienie Polaków, a jeżeli nie doradzają rządowi wejścia na tę drogę, to dlatego, że wolą kraj widzieć zacofanym, niż patrzeć w nim na rozwój polskiej kultury" – twierdził w książce.

Manipulacje Dmowskim

To raczej niechęć środowisk liberalnych wobec Dmowskiego, tchórzostwo prawicy i siła manipulacji Rosji spowodowały, że został w III RP odrzucony przez polityczny mainstream i przygarnięty przez środowiska prorosyjskie, antyukraińskie i antyeuropejskie. To też duży wyrzut sumienia dla środowisk prawicy głównego nurtu, że nie zaopiekowała się tą wielką postacią. Przewrotnie można nawet powiedzieć, że to Rosjanie, przy bierności strony polskiej, wykorzystali Dmowskiego do swoich celów.

> W ROSJI DMOWSKI WIDZIAŁ WROGA NIEZAWISŁOŚCI POLSKIEJ, PISAŁ, ŻE PO ROZBIORACH „W KRAJACH ZABRANYCH [...] ROSJA POSTAWIŁA SOBIE ZA CEL ZNISZCZENIE KULTURY POLSKIEJ".

Niezależnie od grupy odwołującej się do Dmowskiego prawie zawsze pojawia się ten sam motyw: zdrowa tradycyjna moralność, która uchowała się jeszcze w Rosji, vs zgniły Zachód, globaliści, syjoniści i LGBT. Dmowski ma tutaj funkcję uprawomocniania tezy, że skoro mamy wyższe zasoby kulturowe wobec Rosji, to nie ma się co bać, tylko budować z nią normalne stosunki polityczne, bo za nimi pójdą stosunki gospodarcze i stanie przed nami otworem rynek 143 mln konsumentów. Nic z przestróg Dmowskiego odnośnie do Rosji w tym myśleniu nie ma. Mówi się o wspólnocie słowiańskich ludów i kompletnie nie pamięta o potężnej agenturze w każdym z tych słowiańskich bratnich krajów.

> PRZEWROTNIE MOŻNA NAWET POWIEDZIEĆ, ŻE TO ROSJANIE, PRZY BIERNOŚCI STRONY POLSKIEJ, WYKORZYSTALI DMOWSKIEGO DO SWOICH CELÓW.

Ta narracja prezentowana jest w Ruchu kamrackim Wojciecha Olszańskiego i Marcina Osadowskiego, środowisko „Myśli Polskiej", na kanale YouTube „Wbrew cenzurze" Mateusza Piskorskiego, przez Związek Słowiański, Konfederację Korony Polskiej, Obóz Wielkiej Polski, Fundację Narodową im. Romana Dmowskiego, środowiska rodzimowierców i pogańskie. Nie ma się co rozpisywać na temat tych grup, warto może wspomnieć, że ich narracje wychodzą naprzeciw celów rosyjskich służb wobec Polski. ABW w raporcie z lat 2024–2025 wskazała, że te cele koncentrują się na podważaniu zaufania społecznego do państwa polskiego i jego instytucji, budowaniu prorosyjskiej narracji, podsycaniu nastrojów antysystemowych, antyeuropejskich i antynatowskich, polaryzacji i zastraszaniu społeczeństwa, wykorzystywaniu historycznych antagonizmów narodowościowych. Ale czy Dmowskiemu właśnie na tym by zależało?

Szkoda, że prawicowe elity III RP odwróciły się od tego ojca założyciela Niepodległej. Nie ujmuje to jego dorobkowi, za to zubaża zasoby intelektualne prawej strony.

eprasa.pl 3bd0b6e5e8

45-LECIE „TYGODNIKA SOLIDARNOŚĆ”

„Gazeta Wyborcza” od początku swojej działalności chętnie przedstawiała polskość jako balast, a narodową tradycję, patriotyzm i przywiązanie do historii jako źródła społecznych problemów. Krystian Brodacki przyjrzał się temu zjawisku w swoim artykule w **nr. 48 (637) „TS” z 1 grudnia 2000 roku**, wyławiając z łamów dziennika Adama Michnika charakterystyczne wypowiedzi jego autorów. Pokazał, jak budowano obraz Polaków jako narodu zacofanego, zakompleksionego i wymagającego kulturowej przemiany. Tekst przypominamy z okazji 45-lecia naszego pisma.

Gdyby Adam był Polakiem...

Krystian Brodacki

Adam Michnik i jego dworzanie z „Gazety Wyborczej” nigdy nie zbaczają z jedynie słusznej drogi przerabiania Polaków na nie-Polaków.

Konstanty Ildefons Gałczyński dawno temu, za głębokiego PRL-u, napisał był w cyklu „Teatrzyk Zielona Gęś” wielce zabawny obrazek sceniczny pod powyższym tytułem. Zawiera on charakterystykę Polaka, który w roli pierwszego człowieka sprawia Panu Bogu ogromne kłopoty: „cierpiał bez żadnej racji na brak koordynacji, serce mu wlazło w głowę, a głowa wlazła w nogi, a gdy szedł dokądkolwiek, zawsze stanął w pół drogi”. I dalej: „Obraz rozsadzał ramę, cóż, polski temperament”. Gdy ma nastąpić stworzenie Ewy, Adam-Polak woła: „Za żadne góry srebra nie dam se wyjąć żebra”, no ale „daremne żale, próżny trud, bezsilne przedsięwzięcia, zbytecznych żeber żaden cud nie zbawi od wyjęcia”, zatem Ewa pojawia się, wszelako to nie koniec kłopotów: wspólnie z Adamem zmuszają Węża do spożycia feralnego jabłka i tym samym polski temperament toruje ludzkości nowe drogi, niezgodne z Biblią...

Myli się, jak sądzę, ten, kto w tym dziełku dopatruje się okrutnej kpiny z polskiej rogatej duszy: w pozornie błahej „Zielonej Gęsi” Gałczyński przemycił tezę, że Polaka nie da się wtłoczyć w żadne schematy, że będzie walczył o swą niezależność nawet w sytuacjach beznadziejnych, a gdy mu pogoda sprzyja, potrafi zaskoczyć wszystkich swą niekonwencjonalnością. I tyle wstępu.

Adam Michnik w swym organie zajmuje się nader często Polakiem i polskością, jeżeli nie sam, to piórami swych dworzan, którzy – jak się o tym zaraz przekonamy – nigdy nie zbaczają z jedynie słusznej drogi, wytyczonej przez taką oto myśl złotą: narodowość polską cechują zaściankowość i ciemnota, ksenofobia i głupota, nietolerancja i rasizm, z antysemityzmem na czele. Dlatego ze wszystkich sił swoich walczyć trzeba z polskim stylem życia, z polską tradycją, z polską religijnością, z polskim romantyzmem. Mówiąc krótko: trzeba przerobić Polaka na nie-Polaka, bo tylko wtedy będzie można się z nim dogadać, iżby był powolny decyzjom wyższym i dał sobie wyjąć nie tylko jedno żebro, ale choćby i wszystkie.

„Pierekowki”

Kształtowanie nowego Polaka odbywa się na łamach „GW” systematycznie i na różne sposoby. Etapem wstępnym i najprymitywniejszym jest gra tytułów: możesz nawet nie czytać tekstu, wystarczy, że zapadnie ci w pamięci tytuł, jak np. „Chory kraj w Europie”, „Religijni, zacofani”, „Polak Polakowi wilkiem”, „Szkice z polskiego piekła” itd. Kiedy w 1999 Polacy zdobyli główne nagrody w konkursie dla młodych naukowców, organizowanym przez Unię Europejską, wiadomość o tym sukcesie „Gazeta” umieściła na dalekiej, 14. stronie, ale gdy Andrzej Gołota sromotnie przegrał z Bowe’em, na czołówce wywalono ogromny tytuł: „JESTEM GŁUPI”!

eprasa.pl 3bd0b6e5e8



OPINIE

Adam Michnik i jego dworzanie z *Gazety Wyborczej* nigdy nie zbaczają z jedynie słusznej drogi przerabiania Polaków na nie-Polaków.

Gdyby Adam był Polakiem...

Clinton dziękuje za album

Polak Polakowi wilkiem

Szkice zpolskiego piekła

Rasizm nasz codzienny

Religijni, zacofani

Chory kraj w Europie

JESTEM GŁUPI

Walcząc z wampirami

12 13

Sposób drugi polega na grze pod- i nadtytułów: z tekstu wybiera się pewne fragmenty i wybija większymi czcionkami: „tu można znaleźć tablicę upamiętniającą **trzy zarazy**: tyfus, Tatarzy i **Polacy**" (w artykule dla turystów o ławrze pod Moskwą); „My, Polacy, mamy mordy i ryje" (z wywiadu z reżyserem Januszem Zaorskim); „Polak potrafi – nieprawdaż – wszystko zmarnować" (Michnik o Kisielewskim); „Ma we krwi klęskę rozbiorów i nieudolnych powstań oraz kruchość **teatralnej egzystencji** naszego kraju" (o polskim pisarzu, zdaniem Adama Zagajewskiego); „Obrony naszych rzekomo naruszonych interesów narodowych podejmują się dziś elementy skrajne, ale ja nie życzę sobie, aby pałkarze bronili mnie przed Zachodem" (Andrzej Wajda); „[...] prześlizgnął się nad wzrostem antysemityzmu, który przybiera w Polsce niepokojące rozmiary" (Jerzy Giedroyc o kardynale Glempie).

Sposób trzeci jest bardziej wyrafinowany: do jakiegokolwiek tekstu wprowadza się zdanko lub zdanka, które mają mimochodem przypomnieć i utrwalić obraz tych okropnych Polaków w tej okropnej Polsce. „Jak objaśnić tę naszą **uciążliwą, dojmującą polskość?**", martwi się Jacek Szczerba, sprawozdając z planu filmu „Przedwiośnie". „Dlaczego pojęcia Polak/Polska kojarzą się tak mocno z grzechem?", zastanawia się Tadeusz Sobolewski, recenzując „Tydzień z życia mężczyzny" Stuhra. „**Jesteśmy** społeczeństwem wandali", konstatuje autorytatywnie Andrzej Zaręba, na podstawie faktu, że ktoś coś zdewastował. „Miłosz stwierdza po prostu: « Iwaszkiewicz jest wielką postacią i nikt zajmujący się literaturą polską nie potrafi jej pominąć ». Nikt? **Prawdziwy Polak potrafi!**", dowcipkuje Helena Zaworska. „O nie, dla tzw. normalnego Polaka to dużo za dużo", puentuje swe dywagacje na temat Andre Gide'a, który „[...] pożądał tylko chłopców, ale miał żonę, przyjaciółkę, jej córkę i dziecko, które mu ta córka urodziła [...]". A w szkicu o Sławomirze Mrożku Zaworska zachwyca się, że „uczynił nas Absurdem Narodów".

Uciążliwa polskość

Polska, czyli grzech, „prawdziwy Polak", „absurd narodów". Nic dziwnego, że nawet „[...] polska śmierć

eprasa.pl 3bd0b6e5e8

bywa często śmiercią byle jaką. Ktoś zapił się na śmierć, utopił w przerębli podczas kłusowania, dostał nożem w kuchennej sprzeczce […]”, prawi prof. Roch Sulima, ale… „[…] my mamy tendencję, że nawet jeśli ktoś miał byle jaki żywot, ubieramy go w kostium powstańczy, sybiraka, kombatanta […]”. My, my, my! „Nam w ogóle, jeśli się coś udaje, to przez przypadek”, zapewnia Jerzy Surdykowski, „Przyrodzonym stanem Polaków jest nieszczęście i niemożność”. „Jakiż polski ten skandal”, biada Michał Cichy w związku z tym, że czytanie non stop „Pana Tadeusza” w Radiu Bis zostało przerwane z przyczyn organizacyjnych. „Nasze powietrze już takie, że Polak albo brzydko nieromantyczny, albo pięknie nietrzeźwy”, wyżywa się w innym tekście tenże autor. „Po obu stronach (barykady ideowej – KB) manifestowano w imię absurdalnych wyobrażeń. Ot, **tradycyjne polskie święto** nawiedzonych aparatów” – tak Marek Beylin zakończył swój opis obchodów 1 i 3 maja w 1998 r.

Niemożność, skandale, absurdy. A gdy ktoś z tym polskim absurdem chce się zmierzyć, to Ciemnogród rusza do boju. Ale „Gazeta” czuwa. Oto Roman Pawłowski, broniąc czci osławionej inscenizacji „Strasznego dworu” w Teatrze Narodowym, tak zagrzmiał: „Żuławski pokazuje, gdzie jest **miejsce Polaków** z **ich** hurrapatriotyzmem, z ich szabelkami i mazurem, z całym tym narodowym odurzeniem przeszłością i bohaterstwem”. W innym miejscu raduje się, że „[…] polską historią nie musimy zanudzać się na śmierć, lecz wprost przeciwnie, możemy z niej śmiać się do łez. Tylko śmiech może **nas** od historii uwolnić”. Zależnie od potrzeby, Polacy występują w „GW” jako „oni” albo jako „my”. „Oni” są odurzeni przeszłością, ale „my” możemy się z niej śmiać do łez. Niestety: „Jesteśmy smutnym narodem – mądrzy się aktor Julian Machulski. – W żartach jesteśmy krwiożerczy i bezlitośni. Nie ma w nas ciepła, jakie mają Czesi”.

Tak, tak, gdzie nie dotknąć, śmierdzi. A jak się już Polaki śmieją… „Gwałtowny, odważny, ze śmiałymi scenami homoseksualnymi włącznie, na które polska publiczność reaguje nerwowym śmieszkiem” – pisze Szczerba o filmie „Całkowite zaćmienie” Agnieszki Holland. O, prowincjusze! Światowiec Szczerba na festiwalu w Cannes oglądał film „Combat de fauves” i nic nie zrozumiał, poza jednym: w tym filmie „**największą kretynką jest Polka-katoliczka**”, czego nie omieszkał przekazać w swej recenzji.

„Nie od dziś wiadomo, że Polska to taki kraj, gdzie rzeczy i zjawiska kiczowate przyjmują się znakomicie. Zdarza się wprawdzie, iż sami – vide disco polo – wymyślimy coś mało wartościowego, ale najczęściej **nawet na to nas nie stać**”, pastwi się nad „nami” autor podpisany „SL” (Sebastian Lepiarz?), pisząc o zespole Just 5. Z Polonią też nie lepiej; Robert Leszczyński przesłuchał płyty wydane przez Polaków w Nowym Jorku i zatrzęsły nim dreszcze obrzydzenia: „Już same okładki wzbudziły trwogę, która zmieniała się w panikę po włączeniu odtwarzacza. Marne głosy i melodie, fałsze i wreszcie tragiczne teksty”.

Jak widać, w każdej dziedzinie jest tragicznie.

Dołowanie szczytowe na najwyższym poziomie odbywa się w wielkich artykułach pisanych przez autorytety „Gazety”. Drogowskazy ustawia sam redaktor naczelny, a czyni to sprytnie, tą samą metodą, jakiej użyła autorka filmu „Jan Paweł II – Papież Tysiąclecia” (patrz komentarz Andrzeja Gelberga, „TS”, nr 43/2000): w tym samym tekście miesza się tezy słuszne z fałszywymi, uwagi trafne z opacznymi, cukier z błotem. A czytelnik? Wchłania pospołu jedno i drugie.

DOŁOWANIE SZCZYTOWE
NA NAJWYŻSZYM POZIOMIE ODBYWA SIĘ W WIELKICH ARTYKUŁACH PISANYCH PRZEZ AUTORYTETY „GAZETY”. DROGOWSKAZY USTAWIA SAM REDAKTOR NACZELNY, A CZYNI TO SPRYTNIE,

Przykładem koronnym może być artykuł Michnika na nowy rok 2000 pt. „**Szkice z polskiego piekła**”, osnuty na kanwie książki Mariana Brandysa „Generał Arbuz”, o Józefie Zajączku i dramacie rozbiorów, Insurekcji, targowicy i następstw. Oto najważniejsze złote myśli: „Plątanina wzniosłości i podłości, mieszanina bohaterstwa i nikczemności, ironia skrywająca patriotyzm i patriotyczny sztandar skrywający sprzedajność i zdradę – oto nasze dzieje”. Mamy tu wykład czystego relatywizmu, który pozwala wątpić nawet w to, czy „targowiczanie różnych wcieleń – od Szczęsnego Potockiego przez Feliksa Dzierżyńskiego, po Wandę Wasilewską”, rzeczywiście byli zdrajcami. „Każdej zdradzie należy przyjrzeć się starannie: jaką logiką kierowała się samowiedza zdrajcy? Cóż to znaczy: zdradzić?”, sieje niepewność Michnik. Kluczem

eprasa.pl 3bd0b6e5e8

do całego elaboratu jest taki oto fragment: „Przez lata całe **żyliśmy** w milczącym upokorzeniu między służalstwem, cynizmem a zakłamaniem. Dlatego właśnie dziś **chcemy** wierzyć, że wszyscy byliśmy dzielnymi konspiratorami i heroicznymi powstańcami. Dlatego też namiętnie **szukamy** winnych, zaprzańców i kolaborantów, zdrajców, agentów obcych sił". Trudno o większe zakłamanie!

„CZY CZUJESZ SIĘ DUMNY, ŻE JESTEŚ POLAKIEM?", ZAPYTAŁO 9 LISTOPADA RADIO TOK FM I – KU ZDUMIENIU PROWADZĄCEGO – ZNAKOMITA WIĘKSZOŚĆ SŁUCHACZY ODPOWIEDZIAŁA: TAK, JESTEM DUMNY!

Dołowanie Polaków, Polski, polskości odbywa się przy każdej okazji: gdy w Gnieźnie dojdzie do spotkania prezydentów, Paweł Wroński zdezawuuje Bolesława Chrobrego i pierwszych Piastów („byli najzręczniejszymi w tym rejonie łowcami niewolników"); Andrzej Walicki będzie dowodził, że pojęcie „Polak-katolik" to owoc porażek ruchów niepodległościowych, a więc negatywne novum w historii Polski (jakby nie było obrony Częstochowy!). Prof. Maria Trawińska uzna, iż „poświęcenie swego życia" dla drugiej osoby, „**ów polski «familiocentryzm»** i «dzieciocentryzm», to niemal patologia". Prof. Jerzy Szacki pisze o „naszym zacofaniu" jako o czymś oczywistym, a dowodów dostarczy Marta Bratkowska: w Polsce „przyznawanie się do homoseksualnych orientacji jest wciąż wstydliwe", toteż u nas nie prowadzi się „badań gejowskiego rynku", a polskie zacofane firmy nie chcą się reklamować w pismach dla homoseksualistów. Jakże inaczej jest na oświeconym Zachodzie!

„Gazeta" z upodobaniem publikuje tzw. sondę czytelników, która, dziwnym trafem, per saldo zawsze wypada po myśli pana Adama. „Po raz kolejny wstyd mi, że jestem Polakiem" – oto jeden z najpoprawniejszych politycznie głosów czytelniczych, nieważne, czy autentyczny, czy sfingowany.

Pod prąd

Podane tu cytaty pochodzą z lat 1997–2000. Kampania trwa. Jest już jednak niemało oznak otrząśnięcia się z letargu i odradzania wolnego od michnikowych mądrości polskiego ducha. W dzień Święta Niepodległości do katedry na Wawelu przybyły w tym roku nieprzebrane tłumy, jakich nie widziano tu od dawna. „Czy czujesz się dumny, że jesteś Polakiem?", zapytało 9 listopada radio Tok FM i – ku zdumieniu prowadzącego – znakomita większość słuchaczy odpowiedziała: **Tak, jestem dumny!** Bo mamy własną piękną historię, tradycję i kulturę, bo mamy wielkich ludzi, jak Traugutt czy Karol Wojtyła, bo Polska słynęła z tolerancji, bo jesteśmy lepiej wykształceni niż ludzie Zachodu, bo mimo najgorszych przeciwności potrafiliśmy odzyskać niepodległość. Jeden ze słuchaczy powiedział: „Od 10 lat w większości mediów – taki jest trend generalny! – słyszę, jak wmawia się Polakom, że są Ciemnogrodem, debilami, antysemitami, zaściankiem – i powinniśmy się wstydzić. A ja na przekór Michnikowi i innym tego typu ludziom jestem dumny z tego, że jestem Polakiem, bo mam wiedzę, która to wszystko obala. Jak młodzi ludzie mają być dumni ze swej polskości, skoro na temat Polaków sączy im się «wiedzę» gorszą niż nawet za komuny?".

A jednak – są!



eprasa.pl 3bd0b6e5e8



Fot. M. Żegliński

Komisja Europejska, stając się **otwarcie stroną konfliktu** politycznego w Polsce, nakręca antyunijne nastroje. Poparcie, jakiego udzieliła Donaldowi Tuskowi po siłowym przejęciu Trybunału Konstytucyjnego, spowoduje, że relacje Warszawa–Bruksela znajdą się w centrum politycznego sporu i będą jednym z głównych motywów nadchodzącej kampanii wyborczej.

Mariusz Staniszewski

POLEXIT

czy reforma Unii

Siłowe obalenie kierownictwa Trybunału Konstytucyjnego było wstrząsem dla całej opozycji i milionów Polaków. Okazało się, że nie ma w naszym kraju granic nieprzekraczalnych. Dziś możemy być pewni, że aby utrzymać się przy władzy, rządząca ekipa jest gotowa do dokonywania najgorszych zbrodni.

eprasa.pl 3bd0b6e5e8

Jeśli Donald Tusk nie zawahał się przed usunięciem niewygodnych, legalnie wybranych sędziów najważniejszego sądu w kraju, to nie cofnie się już przed niczym. Do przejęcia są jeszcze Sąd Najwyższy i Narodowy Bank Polski. Gdy te bastiony niezależności padną, Tusk i jego ekipa staną się bezkarni.

Grozy tej sytuacji dodaje fakt, że napaści na TK premier dokonał przy cichej aprobacie Komisji Europejskiej. Donald Tusk oczywiście liczył na bezpośrednie wsparcie przewodniczącej Komisji Europejskiej Ursuli von der Leyen, a odezwał się jedynie Michael McGrath, komisarz ds. demokracji, sprawiedliwości, praworządności i ochrony konsumentów. Na dodatek przyznał jedynie, że polski Trybunał Konstytucyjny powinien działać zgodnie z orzecznictwem unijnych sądów i wskazaniami Komisji Weneckiej. Nie wyraził natomiast wsparcia dla siłowego przejęcia TK.

Wielu zagranicznych obserwatorów dostrzegło ten niuans i uznało to za delikatne dystansowanie się od metod polskiego premiera. Nawet jeśli jest w tym ziarnko prawdy, to jak na dłoni widoczna jest różnica traktowania rządu konserwatywnego, który otwarcie sprzeciwiał się ingerencji Brukseli w wewnętrzne sprawy Rzeczpospolitej oraz całkowicie podległego KE gabinetu Donalda Tuska. Rządy Beaty Szydło i Mateusza Morawieckiego nigdy nie dopuściły się nawet cząstki tego, co wyrabia obecny premier, a spotykały się z frontalną krytyką, blokowaniem funduszy, a nawet próbą zawieszenia w prawach członka UE. Gdy Tusk sięga po tępą siłę, Komisja Europejska nie wyraża nawet zaniepokojenia.

Tak jawne zaangażowanie po jednej stronie sporu politycznego pokazuje, że obecne relacje Warszawa–Bruksela stały się toksyczne. Wprost zagrażają bezpieczeństwu państwa i jego suwerenności.

Czas na rozpoczęcie negocjacji

Zanim doszło do ataku na TK, podczas kongresu PiS w Krakowie Jarosław Kaczyński mówił o konieczności ograniczenia władzy Komisji Europejskiej oraz wywierania na nią presji w celu zmiany traktatów.

Aby było to możliwe, konieczne będzie – zdaniem prezesa PiS – współdziałanie partii prawicowych, które w najbliższym czasie mają duże szanse na wygranie wyborów we Francji, Hiszpanii i Niemczech (choć w przypadku AfD prezes PiS przyznał, że współpraca może być trudna). Dodatkowo chętna do reformy UE może być premier Włoch Giorgia Meloni, która ma szanse utrzymać władzę. Do tej układanki brakuje tylko Polski, która obecnie rządzona jest przez koalicję całkowicie uległą wobec Komisji Europejskiej.

Kaczyński zarysował bardzo ostry scenariusz działań, który zakładał nawet porozumienie rządów konserwatywnych w sprawie wspólnego wyjścia ze Wspólnoty i tą drogą wywierania presji na Brukselę, by przeprowadzić gruntowną reformę ograniczającą władzę UE.

Najbardziej w pamięć zapadną jednak słowa prezesa PiS, który mówiąc o tym ryzykownym rozwiązaniu, stwierdził, że być może trzeba będzie rozpocząć takie negocjacje. Uznał to oczywiście za element nacisku, ale jego przeciwnicy okrzyknęli to wzywaniem do polexitu. Choć to zwykła manipulacja, to jednak słowa padły i weszły do politycznego obiegu.

Zyski i straty

W demokratycznym i suwerennym państwie sama dyskusja o pozostaniu lub opuszczeniu Unii Europejskiej lub jakiejkolwiek innej organizacji międzynarodowej nie musi być niczym szczególnym. Polska nie powinna być przecież członkiem żadnej wspólnoty z powodów sentymentalnych, ale po to, by realizować własne interesy narodowe. Dopóki UE jest do tego dobrą drogą, dopóty obecność w niej powinna być oczywista. Gdy jednak powoduje destrukcję, upadek przemysłu, odbieranie suwerenności, systemowe łamanie prawa i ogranicza wolność, konieczne jest rozważenie wariantów zmiany. Albo zmieni się sama UE, albo należy szukać alternatywnych rozwiązań.

W Polsce jednak rozmowa o szkodliwości unijnych regulacji nie powoduje u rządzących refleksji i chęci bronienia interesów narodowych, ale jest pretekstem do zarzutów o zamiar wyprowadzenia kraju z UE czy sprzyjanie Władimirowi Putinowi. W ten sposób uległy wobec Brukseli rząd sprowadza poważną analizę zysków i strat – która powinna odbywać się na bieżąco – do prymitywnej, politycznej młócki, której celem jest jedynie podniesienie emocji i zarysowanie ostrych linii podziału.

Jarosław Kaczyński, przemawiając w Krakowie, doskonale

> DO PRZEJĘCIA SĄ JESZCZE SĄD NAJWYŻSZY I NARODOWY BANK POLSKI. GDY TE BASTIONY NIEZALEŻNOŚCI PADNĄ, TUSK I JEGO EKIPA STANĄ SIĘ BEZKARNI.

eprasa.pl 3bd0b6e5e8

o tym wiedział, nie może być więc zaskoczony, że tuskowa propaganda sięgnęła po jego słowa, by rzucać kolejne oskarżenia. W rzeczywistości taki atak nie wyrządza mu wielkich krzywd, gdyż uwiarygadnia go w oczach radykalnych, sceptycznych wobec UE wyborców obu konfederacji. Im bardziej premier, „Gazeta Wyborcza", Onet i cały ten lewicowo-liberalny chór banalistów admirujących Tuska i niczym pudła rezonansowe powtarzających jego prymitywne bon moty będą zarzucać prezesowi PiS antyunijność, tym silniejsza będzie jego pozycja na prawicy.

W tej strategii jest jednak luka, a może nawet całkiem pokaźna wyrwa. Ponad siedemdziesiąt procent Polaków opowiada się za obecnością naszego kraju w UE. Nawet jeśli dostrzega błędy Brukseli, widzi jej arogancję i skutki fatalnej polityki, to nie chce słyszeć o opuszczeniu Wspólnoty.

Wzmacniając się więc na prawicy, Kaczyński bez walki oddaje centrum. Mógłby je co prawda zająć Mateusz Morawiecki ze swoim stowarzyszeniem, ale dziś wydaje się na to za słaby.

Reforma zamiast wyjścia

Donald Tusk i jego propagandyści przed wyborami będą z pewnością budować oś sporu między lewicą i prawicą właśnie na stosunku do UE. Dzięki temu na dalszy plan można zepchnąć siłowe przejęcie TK, katastrofę finansów publicznych, kryzys w służbie zdrowia, idiotyczną reformę edukacji czy miliardy wydawane na utrzymywanie mediów publicznych w likwidacji.

Gdy w grę wchodzi groźba wyprowadzenia Polski z UE, wybór staje się zero-jedynkowy. Nie ma niuansów ani szarości. Dla rządzącej obecnie koalicji to wyjątkowo wygodny model prowadzenia kampanii wyborczej, gdyż wiadomo, kto w tym pojedynku jest dobry i piękny, a kto zły i brzydki.

Ekipa Tuska będzie miała zadanie szczególnie ułatwione, gdyż w szerokim obozie prawicy coraz bardziej znaczące miejsce zajmuje formacja Grzegorza Brauna, która na wojowniczym stosunku do Brukseli zbudowała swoją rozpoznawalność i siłę. Jakikolwiek sojusz z Konfederacją Korony Polskiej jest więc akceptowaniem nazywania UE eurokołchozem oraz polexitowych dążeń tej partii.

Prawdziwy problem leży dziś jednak w zupełnie innym miejscu. Przyczyną choroby, która drąży Unię Europejską, jest jej obecny kształt. Umocowanie Komisji Europejskiej, sądów i innych organów realizujących politykę unijną w naturalny sposób powoduje ich dążenia do poszerzania swoich uprawnień. Dzisiejsza UE jest jak Lewiatan Thomasa Hobbesa, który musi zagarniać coraz więcej władzy i nie potrafi się w tym procesie zatrzymać. Unia zmierza nie tylko do stworzenia superpaństwa, ale pragnie także zastąpić istniejącą religię swoją własną – klimatyczną, która determinuje politykę KE.

Domaganie się reformy Unii jest oczywiście znacznie mniej wyraziste niż grożenie jej rozmontowaniem, a na dodatek wymaga znacznie więcej wysiłku od polityków, którzy pragną takie hasła wziąć na sztandary. Jest jednak jedyną realną drogą, by nie dać się zepchnąć do narożnika, w którym znajdują się polityczni ekstremiści.

> FORMACJA GRZEGORZA BRAUNA NA WOJOWNICZYM STOSUNKU DO BRUKSELI ZBUDOWAŁA SWOJĄ ROZPOZNAWALNOŚĆ I SIŁĘ.

Polacy chcą zmian

Najbardziej niewygodne dla rządzących są właśnie konkrety. Ceny energii, wzrost kosztów budowy mieszkań i domów, absurdalne przepisy dotyczące samochodów, wygaszanie europejskiego przemysłu, likwidowane miejsca pracy – to wszystko jest efektem szaleńczej unijnej polityki. Donald Tusk jest tak samo winny jej realizacji jak Ursula von der Leyen, gdyż zręby Zielonego Ładu i całej polityki klimatyczno-energetycznej powstawały, gdy pełnił on funkcję przewodniczącego Rady Europejskiej. Nie tylko nie dbał wówczas o interes Polski, ale wręcz rugał rząd RP za stawianie oporu wobec wprowadzenia tych przepisów w życie.

Jeśli prawicy uda się przekształcić absurdalną dziś dyskusję o polexicie w poważny polityczny program reformy UE, to w narożniku znajdzie się Tusk. Nie będzie mógł w żaden sposób skrytykować szaleństw Brukseli, gdyż doskonale wie, że tamtejszy establishment trzyma go mocno za... szyję. Ze strachu nie podważy więc celów klimatycznych, sensu wprowadzenia ETS2 czy dodatkowego podatku dla firm produkujących sprzęt AGD.

W każdej chwili ten czy ów komisarz może sobie przecież przypomnieć o łamaniu praworządności w Polsce i siłowym przejmowaniu Trybunału Konstytucyjnego. Takiego komunikatu z Brukseli wyborcy Koalicji Obywatelskiej by raczej nie wytrzymali.

eprasa.pl 3bd0b6e5e8

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ



Karol Gac

Specjalna operacja konstytucyjna

Bez podstawy prawnej, ale za to przy użyciu siły i funkcjonariuszy policji – w ten sposób rząd przejął Trybunał Konstytucyjny, aby go – jak twierdzi – „usprawnić" i „odpolitycznić", a sytuację „unormować". Bliscy władzy prawnicy łapią się za głowę, opozycja mówi zaś wprost o zamachu stanu. Pytanie, czy ujdzie to Donaldowi Tuskowi na sucho?

Zaledwie tydzień temu przestrzegałem, że „nie należy lekceważyć ani z góry odrzucać żadnego scenariusza i to nawet takiego, który wydaje się nieprawdopodobny albo nie mieści się w naszej wyobraźni". Trzy lata rządów Donalda Tuska pokazały bowiem, że żadne granice nie istnieją. Kolejny raz mogliśmy się o tym przekonać w piątek, 30 października, gdy władza – wbrew powątpiewaniu niektórych – postanowiła wcielić w życie „wariant siłowy" w sprawie Trybunału Konstytucyjnego. W efekcie wysłała do budynku policję, wprowadziła tam swoich ludzi, a legalnych sędziów, z prezesem Bogdanem Święczkowskim na czele, zwyczajnie nie wpuszcza.

Władza, zgodnie z tym, co pisałem, nie dba już nawet za bardzo o pozory. Nie ma odpowiedniej podstawy prawnej? Nie szkodzi, znajdziemy ją w najbardziej karkołomnej interpretacji przepisów. Nie ma kworum? Spokojnie, policzymy tak, aby było dobrze. Zawsze można się też powołać na „stan wyższej konieczności konstytucyjnej" i dumnie ogłosić sukces praworządności. Przy takich warunkach gry żaden plan nie jest nawet potrzebny, bo i właściwie po co?

Chociaż brzmi to wszystko absurdalnie i abstrakcyjnie, to jednak się dzieje. Skutki tego będą oczywiście opłakane, bo – jeśli nie wydarzy się nic niespodziewanego – to za chwilę będziemy mieli dwa równoległe Trybunały Konstytucyjne, z których jeden może i będzie nielegalny oraz bezprawny, ale za to będzie się cieszył uznaniem rządu, a jego „orzeczenia" znajdą się w Dzienniku Ustaw. O tym, że jest to dość prawdopodobny scenariusz, niech świadczy fakt, że najważniejsi przedstawiciele władzy już zapowiedzieli złożenie do niego skarg konstytucyjnych. Wszak lista orzeczeń do podważenia była gotowa już wcześniej.

To, co robi Donald Tusk, jest jednak na tyle „grube", że nawet przychylni mu prawnicy i środowiska publicznie go krytykują. Tymczasem zamiast zatrzymać się i poszukać rozwiązania, które nie pozostawiałoby tak zasadniczych wątpliwości, postanowiono działać dalej. Nic dziwnego. Władza się spieszy, a czas ucieka.

To, co wydarzyło się 30 października, przeszło już do najnowszej historii Polski. Wątków z tym związanych jest oczywiście wiele – od informacji o śledzeniu Bogdana Święczkowskiego, przez naruszenie nietykalności cielesnej prezydenta, aż po rozkazy dla policji. Być może rację ma Rafał Ziemkiewicz, który konsekwentnie twierdzi, że u władzy jest gang Olsena. Nawet jeśli tak jest, nie zmienia to faktu, że prokuratura po zmianie władzy powinna mieć pełne ręce roboty. Inaczej możemy zapomnieć o swoim państwie.

eprasa.pl 3bd0b6e5e8

Czekając na nowy świat...



Fot. Adobe Stock

Coraz głośniejszym echem odbijają się doniesienia o toczącej się międzynarodowej grze. Rozmowy prowadzone wokół wojny Rosji przeciwko Ukrainie przeradzają się w negocjacje o międzynarodowym układzie sił. Wiele wskazuje na to, że rozstrzygnięcia będą miały **realne znaczenie** także dla Polski, choć niestety większość kluczowych rozmów i negocjacji toczy się bez naszego udziału. Jaka rzeczywistość wyłoni się zza kurtyny?

Stanisław Żaryn

eprasa.pl 3bd0b6e5e8

Jesteśmy coraz częściej informowani przez media o powstawaniu nowej geopolitycznej układanki. Rozmowy i konfrontacja między USA, Chinami i Rosją, wojna z Iranem, sytuacja na Bliskim Wschodzie, ale przede wszystkim rozmowy o możliwym zakończeniu wojny Rosji przeciwko Ukrainie wchodzą w nową fazę, która skupia uwagę odbiorców międzynarodowych. Wymienione obszary, choć różnorodne i często dotyczące spraw oddalonych od siebie geograficznie, mają dziś sporo wspólnego. Międzynarodowa gra zazębia się dużo mocniej niż jeszcze kilka lat temu. I bez wątpienia będzie miała swoje wpływy na sytuację w Polsce. Bezpośrednio przypomniał o tym Władimir Putin, który kilka dni temu powtórzyć miał żądania wobec Zachodu, znane z grudnia 2021 roku. Wtedy Kreml zażądał od USA i NATO wycofania sił sojuszniczych, infrastruktury i obecności wojskowej do stanu sprzed 1997 roku. Moskwa stawiała przy tym ulimatum – albo realizacja oczekiwań, albo wojna przeciwko Ukrainie. Powtórzenie tych żądań dowodzi stałości celów rosyjskich – Kreml chce zniszczyć wiarygodność Sojuszu i jego struktury oraz utworzyć w Europie Środkowej rosyjską strefę oddziaływania. W 2021 roku odrzucenie oczekiwań skutkowało pełnoskalową wojną przeciwko Ukrainie, dlatego wiele osób zastanawia się, czym tym razem Rosjanie szachują Zachód. Bez wątpienia będą chcieli iść dalej w swojej polityce imperialnej. Wrogich tendencji nie wygasza ani przedłużająca się wojna, ani rosnące problemy gospodarczo-społeczne. Rosyjskie państwo kontynuuje agresję przeciwko Ukrainie oraz wojnę wywiadowczą przeciwko krajom NATO. System sankcyjny, pomoc Ukrainie, izolacja Rosji – nie przyniosły na ten moment na tyle silnych bodźców, by załamać rosyjskie możliwości kontynowania wojny. Nowy sposób oddziaływania na Rosję testuje od początku urzędowania prezydent Donald Trump. USA realizują scenariusz wprowadzania dylematów strategicznych w Rosji, sięgając jednocześnie po presję i system zachęt. Tworzy to niespójny obraz polityki amerykańskiej wobec Rosji. Decyzje, które osłabiają politycznie Rosję, jak uderzenie w prorosyjski reżim w Wenezueli, presja na Kubę, czy atak na Iran, przeplatane są ofertami ułożenia się na nowo z Moskwą. Ostatnio ten drugi wątek przybiera niestety na sile. Waszyngton kupił w Rosji ropę, a według medialnych doniesień jest również skłonny naciskać na Ukrainę, by zaprzestała ataków na konkretne cele rosyjskie oraz dogadała się z Kremlem ws. warunków zawieszenia broni. Coraz częściej dochodzi też do opinii publicznej przekaz o możliwych naciskach USA na Europę ws. przywrócenia współpracy enegetycznej z Rosją. Pojawiają się pomysły dotyczące kupowania gazu, budowy nowych gazociągów z Rosji na Zachód, a nwet odbudowy Nord Streamu. Wydaje się, że Ameryka liczy na ułożenie sobie relacji z Rosją na bezpiecznych z jej punktu widzenia warunkach. Stany Zjednoczone popełniają jednak błąd, który miał już miejsce wiele razy w przeszłości – nigdy nie udało się Rosji ucywilizować poprzez współpracę gospodarczą. I – biorąc pod uwagę politykę rosyjską – tym razem też się nie uda.

Amerykańskie działania, choć z punktu widzenia polskich interesów wydają się niejasne i niejednoznaczne, są logiczne w świetle amerykańskich zapowiedzi i planów. USA od dawna sygnalizują, że to Chiny, a nie Rosję traktują jako najważniejsze i najpoważniejsze zagrożenie dla swoich interesów. Amerykanie otwarcie mówią, że oczekują od Europy wzięcia odpowiedzialności za bezpieczeństwo na kontynencie, sami natomiast chcą swoje inwestycje w obszarze bezpieczeństwa przenosić na Wschód, do Azji. Skupienie się Amerykanów na chińskich zagrożeniach, a nawet rozmowy z Rosją, by pozyskać ją albo chociaż wypracować jej neutralność, nie są wykluczone. Rozpoczęcie negocjacji w sprawie wojny może być więc małym wycinkiem szerszego obrazu, co dowodzi, że dziś bezpieczeństwo Europy zależy także od rozmów i sytuacji na globalnej scenie politycznej. Co szczególnie niepokojące, rosnąca współpraca polityczno-wojskowa między Rosją i Chinami wiąże stan zagrożeń w Europie z potencjalnymi planami Pekinu wobec Tajwanu.

ROSNĄCA WSPÓŁPRACA POLITYCZNO-WOJSKOWA MIĘDZY ROSJĄ I CHINAMI WIĄŻE STAN ZAGROŻEŃ W EUROPIE Z POTENCJALNYMI PLANAMI PEKINU WOBEC TAJWANU.

eprasa.pl 3bd0b6e5e8

Sekretarz generalny NATO już kilkakrotnie zwracał bowiem uwagę na rosnący poziom współpracy strategicznej i operacyjnej między Rosją a Chinami i ostrzegał przed możliwością wytworzenia jednoczesnego zagrożenia w Europie oraz wokół Tajwanu. Ten scenariusz, szalenie niepokojący, odciągałby uwagę USA od Europy i zostawiał nas bez głównego sojusznika, który być może chciałby się skupić na swoim strategicznie ważnym azjatyckim kierunku. Sytuację komplikuje jeszcze przedłużająca się wojna przeciwko Iranowi, która skupia siły amerykańskie na Bliskim Wschodzie oraz przykuwa uwagę Waszyngtonu, wiążąc ręce Amerykanom w innych regionach świata. Było jasne od początku, że ten konflikt będzie miał duży potencjał destabilizacji sytuacji międzynarodowej. Swoje chce tu także ugrać Rosja, włączając się w rozmowy o charakterze globalnym i wciągając USA w negocjacje o układzie sił na świecie. Kremlowi zależy na budowie płaszczyzny porozumienia z Amerykanami, więc wykorzystuje destabilizację w różnych częściach świata, by zachęcać Stany do współpracy i współdziałania. Niestety w USA są środowiska, które nie wykluczają tego typu układów. Stany widzą dla siebie zyski związane z otwarciem współpracy gospodarczej z Rosją. Chcą rosyjskiej ropy do stabilizowania rynków międzynarodowych, a także białoruskich produktów azotowych potrzebnych do rodzimej produkcji. To wszystko sprawia, że w USA niektórzy patrzą z nadzieją, że Rosję da się ucywilizować i trzymać w bezpiecznych ramach. Wciąż nie jest jasne, czy w najbliższym czasie grupy te będą miały decydujący wpływ na politykę USA wobec Rosji. Wyniki wyborów połówkowych nie są na ten moment jednoznacznym sygnałem w tej sprawie. Ale wiadomo, że mocno skomplikują polityczną rzeczywistość wewnętrzną w Stanach Zjednoczonych. To również może rzutować na relacje między Warszawą i Waszyngtonem.

Doświadczenia z ostatnich lat wskazują, że współpraca Stanów Zjednoczonych z Rosją odbija się z czasem na interesach amerykańskich, a na pewno skutkuje zagrożeniem dla naszego regionu. Rosja pozostaje bowiem ofensywna wobec Europy Środkowej i sugeruje, że zamierza dalej ją destabilizować, by wzmocnić swoje oddziaływanie i interesy w regionie. Żeby do tego doszło, musi wytworzyć warunki do procesu, na który już wskazano – Kreml potrzebuje wypchnięcia państw sojuszniczych, przede wszystkim USA, z Europy Środkowej. To w sposób naturalny buduje napięcia w relacjach USA–Rosja, jeśli Waszyngton widzi swój interes w obecności w naszym regionie. Te dwa kraje są więc na kursie kolizyjnym choćby z uwagi na politykę energetyczną – dla Rosji Polska jest ważnym krajem przesyłowym i dużym państwem, które energetyką można próbować uzależniać i destabilizować. Dla USA jesteśmy rynkiem zbytu energii i wejściem na inne rynki w regionie. Ale to tylko jeden z obszarów politycznych, który wskazuje na sprzeczność interesów rosyjsko-amerykańskich. USA obecnie są poddawane rosyjskim manipulacjom, by wciągnąć je do współpracy, z czasem jednak sprzeczności wygrają. Wycofanie się polityczno-militarne Amerykanów nie tylko wypchnie ich interesy gospodarcze, ale także doprowadzi do poważnych skutków strategicznych. USA w Polsce blokują bowiem zarówno dominację rosyjską nad regionem, jak i naturalne od wieków tendencje, by budować rosyjsko-niemieckie porozumienia polityczno-gospodarcze, które zmienią układy sił w Europie. Spowodują także wzmocnienie RFN na tyle duże, że stanowić to będzie poważne zagrożenie dla interesów amerykańskich już nie tylko w Europie Środkowej, ale na całym Starym Kontynencie. Dla Polski amerykańskie wycofanie się jest więc szalenie niepokojące i będzie katalizatorem wzmocnienia rosyjskiego imperializmu wymierzonego w nasz kraj. Trwająca w Europie ewolucja ustroju UE i układanie po nowemu sił w Unii sprawia, że ten proces jest jeszcze bardziej ryzykowny także dla samych Amerykanów.

Dla Polski ryzykowna jest już sama wizja międzynarodowej układanki, która wiąże USA i Rosję.

USA W POLSCE BLOKUJĄ ZARÓWNO DOMINACJĘ ROSYJSKĄ NAD REGIONEM, JAK I NATURALNE OD WIEKÓW TENDENCJE, BY BUDOWAĆ ROSYJSKO-NIEMIECKIE POROZUMIENIA POLITYCZNO-GOSPODARCZE.

eprasa.pl 3bd0b6e5e8

Istnieje bowiem obawa, że Amerykanie mamieni przez Rosję, w poczuciu, że Kreml można trzymać w ryzach – będą gotowi na ustępstwa. One bardzo poważnie mogą uderzyć w Polskę. Co więcej, układ raz „dogadany", jeśli będzie korzystny w jakiś sposób dla USA, może być użyty do eskalowania i wymuszania kolejnych ustępstw. Dla Polski więc aktualny stan rozmów, brak zaproszeń do stołu negocjacyjnego dotyczącego wojny przeciwko Ukrainie oraz układów czy podziału sił w Europie jest szalenie ryzykowny. Może bowiem być katalizatorem zmian, które odcisną się na naszym poziomie bezpieczeństwa. Żeby do tego nie dopuścić, nie możemy stać bezczynnie. Powinniśmy realnie zabiegać o swoje miejsce i udział w negocjacjach międzynarodowych. Powinniśmy budować potencjał na arenie międzynarodowej, ale też potrafić używać różnych zasobów, jak choćby przewagi informacyjnej, do walki o swoje interesy w czasie międzynarodowych spotkań. Musimy wzmacniać pozycję Polski sojuszami regionalnymi, szukać podobnie myślących i zadbać o to, by mieć realny wpływ na rozstrzygnięcia dotyczące choćby pośrednio nas. Do tego potrzebne jest silne państwo, zdolne do dbania o własne interesy i stawiania na swoim w relacjach z innymi krajami, a jednym z głównych celów, jakie powinniśmy sobie postawić, jest dziś kwestia wzmocnienia relacji z USA, co wynika jasno z nakreślonej powyżej układanki. Dodatkowo do dziś Stany Zjednoczone są jedynym państwem NATO, które ma zdolność odstraszania Rosji. I jedynie do USA Rosja czuje na tyle duży respekt, że bierze pod uwagę ich reakcje i retorsje przy planowanych działaniach agresywnych wobec Zachodu. Biorąc to pod uwagę oraz analizując układankę międzynarodową, należy szukać szybkiego wzmocnienia relacji USA–Polska oraz obecności amerykańskiej.

Polska ma dziś sporo okazji, by o to walczyć. W tym zakresie kluczowy pozostaje obszar militarny. Stany Zjednoczone ogłosiły kilka dni temu, że duże centrum serwisowe dla amerykańskich rakiet PAC-3 do systemów Patriot powstanie w Polsce. Choć mowa o centrum serwisowym o ograniczonym zakresie usług, ma to duże znaczenie dla Polski. Jest bowiem wzmocnieniem współpracy polityczno-wojskowej i ma wpływ na poziom zabezpieczenia RP. Amerykańskie inwestycje i zakłady zbrojeniowe są bowiem wpięte w amerykański system ochrony i ostrzegania. Ulokowanie serwisu w Polsce oznacza więc nie tylko dodatkowe pieniądze, ale przede wszystkim współpracę w dziedzinie wymiany informacji oraz wykrywania i neutralizowania zagrożeń. Centrum serwisowe, choć jest inwestycją techniczną, ma więc także swoje znaczenie polityczne i wojskowe. Prawdziwym przełomem będzie jednak inny projekt, który jest w toku. Polska walczy od lat nie tylko o zwiększenie liczebności amerykańskiej w Polsce, ale o zmianę statusu obecności sojuszniczej. Stała baza USA w Polsce, na wzór tych funkcjonujących w Europie Zachodniej, byłaby przełomem stabilizującym nie tylko nasz kraj, ale całą wschodnią flankę NATO. Silna obecność amerykańska w formule rotacyjnej wpłynie korzystnie na polskie bezpieczeństwo, poziom odstraszania oraz zdolność do rozpoznawania zagrożeń. Ale stała baza, silna obecność amerykańskich żołnierzy z rodzinami, byłaby zupełnie nową rzeczywistością. Wprowadziłaby na wyższy poziom stopień ochrony, zabezpieczenia i odstraszania. Jeśli więc baza powstanie, będzie to duży skok w dobrą stronę. Pracuje na to prezydent Polski, wspierany – mimo obstrukcji – przez rząd. Sprawa jest kluczowa, szczególnie że USA prowadzą właśnie przegląd swojego zaangażowania na świecie i być może będą redukować niektóre bazy w Europie. W tej sytuacji wzmocnienie obecności w Polsce jest krytycznie ważne nie tylko dla nas, ale i całej europejskiej części NATO.

Od chwili powrotu Donalda Tuska do władzy kierunek amerykański nie jest jednak priorytetowo traktowany. Obstrukcja przy okazji rozmów o stałej bazie to wycinek szerszego problemu, który sugeruje stałą niechęć rządu do współpracy z Amerykanami. Sam premier Tusk konsekwentnie prowadzi prowokacyjną wobec USA komunikację i politykę, często sięgając po insynuacje i oskarżenia wobec prezydenta Donalda Trumpa. Sytuacja

MUSIMY WZMACNIAĆ POZYCJĘ POLSKI SOJUSZAMI REGIONALNYMI, SZUKAĆ PODOBNIE MYŚLĄCYCH I ZADBAĆ O TO, BY MIEĆ REALNY WPŁYW NA ROZSTRZYGNIĘCIA DOTYCZĄCE CHOĆBY POŚREDNIO NAS.

eprasa.pl 3bd0b6e5e8

między dwoma liderami jest tak napięta, że Donald Tusk nie ma wstępu do Białego Domu i raczej nie będzie miał okazji do bezpośrednich rozmów. Niechęć osobista Tuska wobec Trumpa przenosi się także na niezrozumiałe decyzje polityczne. Kwestia stałej bazy USA w Polsce, choć bardzo ważna dla polskiego bezpieczeństwa, stała odłogiem przez wiele miesięcy, a kolejne kroki w tej sprawie zawdzięczamy aktywności prezydenta Karola Nawrockiego. Rządzący albo nie przykładają do tego wagi, albo pozorują działania. Takie same oceny słychać przy okazji analizy budowy elektrowni atomowej, której partnerem strategicznym jest amerykańska spółka Westinghouse. Deklaratywnie rząd jest zainteresowany kontynuowaniem projektu, ale w rzeczywistości się ślimaczy, a do dziś nie mamy podpisanej głównej umowy wykonawczej na tę inicjatywę. W rezultacie kolejny strategiczny projekt na styku Polska–USA zaczyna się opóźniać i jest ofiarą bezczynności. Rządzący w Polsce obecnie stawiają publicznie na kontakty z europejskimi sojusznikami, co powoduje, że często widać dużą różnicę w podejściu do relacji z USA oraz Europą Zachodnią. Widać to też w polityce bezpieczeństwa. Donald Tusk przed wylotem na jedno z europejskich spotkań ws. wojny Rosji przeciwko Ukrainie wprost powiedział, że niedorzeczne jest, że Europa musi prosić Amerykanów o ochronę przed Rosją, potencjał Europy jest dziś bowiem dużo większy niż Rosji. Podobne przekazy Donalda Tuska niestety wskazują na niedorzeczną politykę rządu RP wobec nie tylko USA, ale i realnych ocen sytuacji międzynarodowej. Stany Zjednoczone są dziś traktowane przez polski rząd jako jeden z wielu partnerów, a czasem wręcz jako sojusznik gorszego sortu.

> JEDYNIE DO USA ROSJA CZUJE NA TYLE DUŻY RESPEKT, ŻE BIERZE POD UWAGĘ ICH REAKCJE I RETORSJE PRZY PLANOWANYCH DZIAŁANIACH AGRESYWNYCH WOBEC ZACHODU.

Nakreślona tu mozaika międzynarodowa wskazuje na zagrożenia i rafy polskiej polityki bezpieczeństwa i polityki zagranicznej. Polska znajduje się obecnie w samym centrum przeciągania liny między Waszyngtonem, Moskwą, Chinami. Jesteśmy świadkami wybuchania kolejnych zarzewi sporów i konfliktów. Wiele z tych zdarzeń będzie dotykało naszych interesów, ale nie jesteśmy w gronie decydentów. Co więcej, sami utrudniamy sobie działania poprzez nieustanne destabilizowanie sytuacji wewnętrznej w Polsce oraz niespójną i niekonsekwentną politykę wobec najważniejszego sojusznika, jakim są USA. Do dziś Stany Zjednoczone, choć prowadzą swoją politykę, nie zawsze korzystną dla nas, powinny być traktowane jako priorytetowy sojusznik, a wzmocnienie naszych relacji powinno być strategicznym celem rządu. Władza w Polsce powinna przede wszystkim wzmacniać nasze własne możliwości, musimy budować większą i mocniejszą armię, usprawniać system bezpieczeństwa narodowego i budować silne państwo. Nikt za nas tego nie zrobi. Sytuacja wewnętrzna w naszym kraju jednak nie napawa optymizmem. W czasie, gdy potrzeba dużej sprawczości na arenie międzynarodowej, wzmocnienia polskiego bezpieczeństwa sterowności i skuteczności w działaniu, w Polsce właśnie trwa spór o to... kto jest prawowitym prezesem Trybunału Konstytucyjnego. W tych warunkach zostaje nam czekać na to, czym dla Polski skutkować będzie nowy układ sił na świecie.

> ULOKOWANIE SERWISU AMERYKAŃSKICH RAKIET PAC-3 W POLSCE OZNACZA PRZEDE WSZYSTKIM WSPÓŁPRACĘ W DZIEDZINIE WYMIANY INFORMACJI ORAZ WYKRYWANIA I NEUTRALIZOWANIA ZAGROŻEŃ.

Autor jest prezesem Fundacji Instytut Bezpieczeństwa Narodowego.

eprasa.pl 3bd0b6e5e8

KARUZELA BLOGERAMI

SEAMAN

SCHIZOFRENIA NIEKONIECZNIE POLITYCZNA

Są rzeczy na niebie i na ziemi, a szczególnie w polityce, o których wyborcom się nie śniło. Raz po raz stajemy osłupiali w obliczu absurdalnych postulatów, niedorzecznych pomysłów oraz zwyczajnych kłamstw ze strony polityków. Szczęka opada, gdy spróbuje się traktować poważnie te brednie. Należy oczywiście w tym celu założyć, iż w polityce nie ma aktorstwa, propagandy ani innego łgarstwa. Brzmi zabawnie, ale taka konwencja jest konieczna.

Dysonans poznawczy

Zakładam więc, że poseł Roman Giertych mówi poważnie, a Waldemar Żurek jest odpowiedzialnym prokuratorem generalnym. Zatem mecenas Giertych na serio zostaje adwokatem szefa Zondacrypto, z kolei minister Żurek ściga tego Krala z całą mocą wymiaru sprawiedliwości, natomiast Donald Tusk jest autentycznie przekonany, iż „w 2022 roku rozpoczęła się wielka kariera tej firmy za pieniądze rosyjskiej mafii", jak to oświadczył z sejmowej mównicy w kwietniu 2026 roku. Zatem poseł z rządowej Koalicji Obywatelskiej broni ruskiej mafii, prokurator generalny z rządu KO ściga ruską mafię, a szef rządu z KO jednocześnie patronuje obu tym czynnościom. Krytyka tego dysonansu poznawczego nie powinna sprowadzać się do pobłażliwej konstatacji, iż mamy do czynienia z grą polityczną.

Spokojnie, to tylko zamach

Między licznymi kuriozami znajduje się ujawnienie próby zamachu na Donalda Tuska. Ujawnienie było szumne, odbyła się w tej sprawie narada ABW, policji oraz Służby Ochrony Państwa. Informacja o zamachu wpłynęła do służb drogą mailową, jak przystało w epoce informatycznej. Premierowi zgłoszono niebezpieczeństwo o 7 rano, sytuację uznano za niezwykle poważną. Tymczasem premier, niepomny śmiertelnego zagrożenia, zaledwie półtorej godziny później przemaszerował z willi na Parkowej do KPRM, radośnie gwarząc z reporterami po drodze. Mogliby to wyjaśnić tylko specjaliści od zachowań w sytuacjach ekstremalnych.

Tarcza w budowie

Jakieś drony do Polski wlatują i z niej wylatują, służby alarmują, ruscy prowokują. Tarcza Wschód, która według rządowych zapowiedzi ma być dla ruskich zaporą nie do przebycia, ciągle w budowie. Na pytanie, kiedy będzie gotowa, premier z głupia frant wypalił, że jej budowa nigdy się nie skończy. Słyszymy od niego, że wojna może nadejść za kilka miesięcy i sytuacja jest skrajnie niebezpieczna, by zaraz potem dowiedzieć się, że od ściany wschodniej jesteśmy dzisiaj bezpieczni bardziej niż kiedykolwiek. Zielonego pojęcia nie mam, jacy specjaliści mogą być pomocni w tej kwestii.

Schizofrenia polityczna

Mamy zatem polityka, który latami zarzeka się, wręcz ślubuje wyborcom, że całkowicie odpolityczni Trybunał Konstytucyjny. Wyborca żywi nadzieję, że jest traktowany poważnie, a przyszłość jawi mu się wtedy praworządna i jasna niczym wiosenny poranek. Tymczasem Donald Tusk zostaje szefem rządu i wysyła do TK ministra, swojego wieloletniego współpracownika, wręcz prawą rękę. Zanim zszokowany wyborca zdoła podjąć szczękę z podłogi, ten orędownik odpolitycznienia dotrzymuje słowa i wprowadza swoich sędziów do TK. Robi to przy pomocy policji uzbrojonej po zęby w broń do tłumienia rozruchów, bo tak rozumie liberalną demokrację. Ktoś uznał to za schizofrenię polityczną. No dobrze, ja zgodny jestem, a kompromis to moja druga natura. Niech już będzie ta schizofrenia. Ale czy na pewno polityczna? S

eprasa.pl 3bd0b6e5e8

Niepodległa Polska miała być państwem „odrodzonym”, a nie nowym

– Rzeczpospolita z 1918 r. to ta sama Rzeczpospolita, co w wieku XVIII, trwająca ciągle dzięki narodowi, tradycji, dziedzictwu. Piłsudski w telegramie z 16 listopada 1918 r. nie przypadkiem pisał, że Polska swą niepodległość „wznowiła” – mówi **Krzysztof Kloc** w rozmowie z **Antonim Opalińskim**.



Fot. arch.

eprasa.pl 3bd0b6e5e8

– Mówimy dziś często o I, II albo III Rzeczypospolitej. Tymczasem Pan w swojej ostatniej książce przypomina, że dla tamtego pokolenia to była po prostu „Odrodzona Rzeczpospolita". Czym dla ówczesnych Polaków była niepodległość?

– Dla nas „Druga Rzeczpospolita" to po prostu kolejny numer po pierwszej. Dla ludzi, którzy tę Polskę budowali, rzecz wyglądała zupełnie inaczej. Nie używali nigdy tego pojęcia, ono powstało dopiero po II wojnie światowej. Rzeczpospolita miała być w czasie jedna i niepodzielna, rozbiory zaś były aktem nielegalnym i zbrodniczym, podeptaniem prawa narodu do życia. Polska miała być państwem odrodzonym, a nie nowym. Rzeczpospolita z 1918 r. to ta sama Rzeczpospolita, co w wieku XVIII, trwająca ciągle dzięki narodowi, tradycji, dziedzictwu. Piłsudski w telegramie z 16 listopada 1918 r. nie przypadkiem pisał, że Polska swą niepodległość „wznowiła". Ciągłość i kontynuacja – to słowa klucze do drzwi, za którymi kryła się Polska roku 1918. Oczywiście jest w tym paradoks, i to niemały. Wacław Makowski pisał, że między Polską, która upadła końcem XVIII wieku, a tą, która powstała w wieku XX, zachodzi głęboka różnica – cały wiek przemian społecznych i politycznych. One objęły nie tylko tę Polskę, która się odrodziła w 1918 r., ale całość ziem polskich, całość Europy Środkowej i Wschodniej, z wszystkimi tego konsekwencjami: narodowościowymi, społecznymi, gospodarczymi. A niepodległość? Była ona, jak często powtarzam, wypłacana w systemie ratalnym, listopad 1918 r. trwał w istocie kilka lat. Jeden ze świadków ujął to wyśmienicie: w listopadzie dopiero „przystąpiono do realizacji niepodległości". Niech to wybrzmi mocno – przystąpiono do realizacji! Do tego dodałbym rzecz, o której mówimy niechętnie. Polacy przez cały wiek XIX z wolna wrastali w państwa zaborcze, germanizowali się i rusyfikowali, a wiek XX niósł państwom narzędzia, o jakich dawni zaborcy mogli tylko marzyć – szkołę powszechną, propagandę, radio. Niepodległość przyszła w ostatniej chwili, gdy sznur był już na szyi. Świętując listopad 1918 r., zapominamy o czerwcu 1914 r. Stąd ten niedyskutowany kult niepodległości i suwerenności, który przez całe dwudziestolecie był fundamentem każdej polskiej polityki. Polska była zakładnikiem niepodległości.

– Jak głębokie były różnice między zaborami i jak przebiegało ich scalanie?

– Żeromski pisał w „Przedwiośniu" o „trzech nierównych połówkach". Pięknie, tylko że gdy przyjrzymy się mapie, tych połówek robi się nam znacznie więcej. Górny Śląsk różnił się od Wielkiego Księstwa Poznańskiego tak, jak to ostatnie od Pomorza. Dwie właściwie były Galicje, osobny status miały Śląsk Cieszyński, Spisz i Orawa, a Królestwo Polskie to zdecydowanie coś innego niż Ziemie Zabrane. Albo te nieszczęsne 123 lata niewoli. Warszawa pozostawała pod formalnie obcym panowaniem 99 lat, Kraków 86, Lwów 146, a z większych ośrodków do podręcznikowej liczby pasuje właściwie tylko… Białystok. To nie jest arytmetyczna ciekawostka. Za tymi liczbami stoją inne szkoły, inne armie, inne urzędy, inne przyzwyczajenia i inne, by tak rzec, piętna. Weźmy prawo. W prawie cywilnym materialnym obowiązywało pięć systemów, w procesowym cztery, w karnym trzy. Anegdota o pociągu z Warszawy do Zebrzydowic, który w 1919 r. przejeżdżał kolejno przez obszar Kodeksu Napoleona, kodeksu niemieckiego i kodeksu austriackiego, wcale nie wzięła się znikąd. Albo pieniądz: marki niemieckie, korony austriackie, ruble, marki polskie, ostruble, hrywny, karbowańce i waluty lokalne. Ktoś złośliwie zauważył, że jedyne, co je łączyło, to postępująca inflacja. A jednak – i to zawsze zdumiewa – z tym spadkiem radzono sobie zaskakująco sprawnie. Tydzień po tygodniu, miesiąc po miesiącu. Stanisław Downarowicz trafnie odróżniał unifikację urządzeń państwowych, będącą kwestią lat, od unifikacji ogólnej, faktycznej, mentalnościowej, która może dokonać się dopiero przez pokolenia. Pierwszą w przeważającej mierze do 1939 r. przeprowadzono i był to ogromny sukces państwa polskiego. Najtrudniejszym egzaminem pozostawały różnice mentalnościowe, różne typy Polaków, różne modele polskości. Paradoksalnie ów bagaż różności, tak groźny przed 1914 r., we własnym państwie, z własną szkołą, wojskiem i administracją, okazywał się raczej wartością dodaną niż niebezpieczeństwem. Zabrakło

CIĄGŁOŚĆ I KONTYNUACJA – TO SŁOWA KLUCZE DO DRZWI, ZA KTÓRYMI KRYŁA SIĘ POLSKA ROKU 1918.

eprasa.pl 3bd0b6e5e8

czasu. A to, że go zabrakło, „zawdzięczamy" wyłącznie sąsiadom.

– Ilu było naprawdę świadomych Polaków? Jaki wpływ na ich świadomość miały różnice społeczne i majątkowe?

– Uczciwie odpowiem: nie wiem. I nie wie tego nikt. Spisy z 1921 i 1931 r. są punktem odniesienia, ale dalekie od ideału – w pierwszym pytano o narodowość, w drugim przyjęto głównie kryterium językowe. Język, poczucie przynależności i gotowość do ponoszenia ciężarów na rzecz państwa to przecież trzy różne sprawy. Zaryzykuję przy tym pytanie, być może dla wielu obrazoburcze: czy rusyfikacja w Królestwie Polskim z wolna nie zachodziła? Jak inaczej wyjaśnić prorosyjski entuzjazm sprzed 1914 r., gdy latem tego roku w Kieleckiem chaty wspominały „naszych ruskich" i nieufnie patrzyły na „Poloków" Piłsudskiego? Zbyt często na powszechną radość listopada patrzymy przez pryzmat Warszawy, Krakowa i Poznania. Na części Ziem Wschodnich, zwłaszcza na Polesiu, świadomość narodowa była słabo skrystalizowana. Witos niemal w przededniu zamachu majowego grzmiał, że ustawodawca z pełną naiwnością powierzył los państwa obywatelowi, który najczęściej nie wie, do jakiej narodowości należy, a Poleszuk z lasów i szuwarów decyduje o przyszłości Rzeczypospolitej na równi z profesorem uniwersytetu. Stanisław Posner powszechne prawo wyborcze skwitował zaś jednym słowem: idiotyzm! Co do różnic społecznych – tu główną rolę odgrywała wieś, ziemia, położenie chłopa, fabryk i położenie robotnika. W Królestwie przeciętne gospodarstwo chłopskie liczyło 2,75 ha, w Galicji 1,8–2 ha. W latach 30. obliczano, że ok. 12 mln ludzi żyło na gospodarstwach do 5 ha. Reforma rolna – jakże fałszywie kojarzona głównie z parcelacją – była w zamyśle przebudową całego ustroju agrarnego, a w debatach Sejmu Ustawodawczego miała wręcz wymiar dziejowego zadośćuczynienia, naprawiania ustroju Rzeczypospolitej z XVI w. Witos mówił, że utrwali ona po wieczyste czasy pewność narodowego posiadania. Dwudziestolecie miało przynieść „upaństwowienie" polskiego włościanina. Reforma rolna jednak, jak wówczas mówiono, przesuwała ciężar, ale nie zmniejszała ładunku. Władysław Grabski wiedział, co mówi, gdy pisał, że najlepszą reformą rolną jest dobre szkolnictwo. Postawiłbym więc obok pytania o świadomych Polaków pytanie drugie: ilu ludziom i w jakim stopniu państwo dało przez te dwadzieścia lat poczucie, że jest ich państwem?

TRZEBA BYŁO JEDNOCZEŚNIE TWORZYĆ WOJSKO, ADMINISTRACJĘ, WALUTĘ, PRZEPROWADZAĆ WYBORY, BIĆ SIĘ O GRANICE I ZAPEWNIĆ LUDZIOM OPAŁ I CHLEB.

– Jaki był stosunek mniejszości narodowych do Rzeczypospolitej?

– Polska Odrodzona – jak pisał Hans Roos – była państwem „wielonarodowym z jednonarodową ideologią". Nie endecki był to wymysł, lecz stała wykładnia i praktyka państwa. Przed 1926 r. i po nim. Na pytanie, jaki był stosunek ogółu Ukraińców, Żydów, Niemców czy Białorusinów do Rzeczypospolitej, odpowiedzi nie mamy i – obawiam się – mieć nie będziemy. Wnioskujemy z wypowiedzi elit mniejszościowych albo z historii anegdotycznej. Wiemy natomiast rzecz w gruncie rzeczy ważniejszą: z perspektywy polskiej, polskiego rządu, armii i administracji mniejszości w swej większości uważano za nielojalne, niepewne, obojętne bądź wrogie. I trzeba pamiętać o hierarchii zagrożeń. Sprawa żydowska, najczęściej dziś przywoływana i – bądźmy szczerzy – bardzo zwulgaryzowana, była problemem niemal wyłącznie wewnętrznym. Sprawa ukraińska i niemiecka łączyły się wprost z integralnością terytorialną państwa. Jerzy Tomaszewski miał rację, gdy pisał, że zbyt słabo uświadamiamy sobie, iż Ukraińcy znaleźli się w granicach Polski wbrew swej woli, w wyniku klęski wojennej. To, co dla Polaków jest historią mniejszości na Kresach, dla Ukraińców jest historią Ukrainy. Były koncepcje Piotra Dunin-Borkowskiego, był „eksperyment wołyński" Henryka Józewskiego, była pacyfikacja 1930 r. i burzenie cerkwi w 1938. Jerzy Stempowski pisał, że Kresy, nim zostały utracone w wyniku wojny, politycznie i narodowościowo w znacznej mierze utracono już przed 1939 r. Wśród Żydów mamy całą rozpiętość postaw. Był Lwowianin Wiktor Chajes, dla którego Polska i polski Lwów byli jak rodzice, a żydostwo jak bliższa rodzina, której się nie wypierał – a i tak jego polskość dla wielu była wysoce podejrzana. Był świat Nalewek, osobny i w pewnej mierze suwerenny. Była Łęczna opisana przez Wojciecha Wieczorka, gdzie dwie społeczności żyły obok siebie,

eprasa.pl 3bd0b6e5e8

całkowicie nieprzenikalne. W latach 30., wraz z narastaniem antysemityzmu, swą żydowskość odnajdywała na nowo zasymilowana inteligencja. Jakub Hoffman pisał, że Polska nigdy nie miała jakiejś polityki w sprawach mniejszościowych, a w odrodzonej Polsce nie było wprost czasu, aby ją wypracować. Asymilacja państwowa – lojalność wobec państwa przy zachowaniu odrębności – była bodaj jedyną realistyczną koncepcją, ale wymagała czasu, konsekwencji i zaufania. Zabrakło wszystkiego. Mamy tu przeto kwadraturę koła podwójną: skutek własnych zaniedbań i zaniechań, a zarazem strukturalną sprzeczność między ambicją państwa narodowego a realiami całej Europy Środkowo-Wschodniej po Wielkiej Wojnie.

– Czy polskie elity były przygotowane do budowania państwa?

– Lepiej, niż by się mogło wydawać po narodzie bez państwa przez ponad sto lat. Tyle że do niepodległości szło się różnymi drogami. Galicja doby autonomii to uniwersytety, szkoły, samorząd, polscy premierzy i ministrowie w Wiedniu, szkoła praktycznego parlamentaryzmu. Jarzy Giedroyc mawiał, że Wincenty Witos, przy wszystkich swoich wadach, jako jedyny z chłopów miał zalążki męża stanu – bo przeszedł dobrą szkołę w parlamencie austriackim. Wielkopolska wniosła solidność, pracę i szacunek dla prawa. Wojna wykształciła kadry wojskowe, a sprawa polska – ludzi umiejących poruszać się po salonach Paryża i Londynu. Odradzająca się Polska potrzebowała urzędników, nauczycieli, administratorów i w dużej mierze dostarczyła ich Galicja. Co nie znaczy, że przyjmowano ich z otwartymi ramionami. „Austriackie dziady", „Galileusze" – nasłuchali się sporo. Stanisław Grabski pisał, że to pokolenie rozpoczęło niepodległy byt bez dokładnej znajomości Polski, jak młodzieniec trzymany despotycznie w posłuszeństwie, który sam siebie nie zna, póki nie zacznie żyć własną wolą. Celne. Bo trzeba było jednocześnie tworzyć wojsko, administrację, walutę, przeprowadzać wybory, bić się o granice i zapewnić ludziom opał i chleb. Wszystkie partie, z wyjątkiem komunistów, będących konsekwentnie sowiecką agenturą, chciały własnego, suwerennego państwa. W chwilach decydujących – w Paryżu, w 1920 r. – potrafiono się porozumieć. Państwo zdało egzamin z „uruchomienia". Dalej to już po prostu historia polityczna Polski 1918–1939, bardzo różnie oceniana. Dmowski sam pisał, że w polskich antagonizmach jest za wiele pierwiastka osobistego, a ludziom często więcej zależy na tym, by być przeciw komuś, niż z kimś. Najważniejsze jednak, że elity przyzwyczaiły się i naród do tego, że Polska istnieje, że jest i że będzie istnieć. To było szalenie ważne w 1939 r. i w latach okupacji.

DOROBEK POLSKI ODRODZONEJ CAŁOŚCIOWO TO DLA MNIE PROCES NIE TYLE NIESPEŁNIONY, CO NIEDOKOŃCZONY. I TO NIE Z POLSKIEJ WINY.

– Jaki jest bilans osiągnięć i porażek Polski Odrodzonej, tak chętnie dziś krytykowanej?

– Nie lubię prostych rachunków, w których po jednej stronie stawia się Gdynię, a po drugiej wieś na Ziemiach Wschodnich podczas wielkiego kryzysu, i liczy, co przeważy. Ale spróbujmy. W kilkanaście lat Polska przeszła od pozaborowego chaosu do państwa zdolnego odpowiadać na największe wyzwania. Obroniła niepodległość w wojnie z Rosją sowiecką, uzyskała międzynarodowe uznanie granic, zunifikowała w zasadniczym stopniu struktury pozaborowe, reformy Grabskiego opanowały hiperinflację i dały złotego, poradzono sobie z wojną celną z Niemcami, zbudowano Gdynię, magistralę węglową, wreszcie COP. W dobie wielkiego kryzysu państwo zachowało kontrolę nad społeczeństwem, nie doszło ani do rewolucji, ani do masowych rozruchów. Jak

NIEPODLEGŁOŚĆ POLSKI, JEŚLI NIE MA BYĆ ZJAWISKIEM SEZONOWYM, MUSI SIĘ OPIERAĆ NA INNYCH ZAŁOŻENIACH NIŻ CHWILOWA NIEDYSPOZYCJA ROSJI I NIEMIEC.

eprasa.pl 3bd0b6e5e8

na realia Europy Środkowo-Wschodniej, położenie i punkt startu – poziom naprawdę bardzo wysoki. Najnowsze wyliczenia ekonomistów pokazują, że PKB per capita w 1938 r. było o 27% wyższe niż w 1913 r., a dystans do Francji, Włoch czy Czechosłowacji się zmniejszał. Porażki? Reforma rolna, która nie rozwiązała problemu wsi. Dogmatyczna polityka deflacyjna, obrona parytetu złotego za wszelką cenę w czasie kryzysu, która przyniosła recesję głębszą niż u porównywalnych sąsiadów. Modernizacja punktowa, „wyspowa", jak pisał Włodzimierz Mędrzecki. Utrzymujące się zacofanie Ziem Wschodnich. Polityka wobec mniejszości, która częściej pogłębiała poczucie krzywdy, niż budowała zaufanie. I wreszcie państwo, które zaczynało od szerokich praw obywatelskich, a w drugiej połowie swego istnienia coraz mocniej przykręcało autorytarną śrubę. Dorobek Polski Odrodzonej całościowo to dla mnie proces nie tyle niespełniony, co niedokończony. Powtórzę: niedokończony. I to nie z polskiej winy. Jakie państwo wyrosłoby z Polski Odrodzonej? Odpowiedź uczciwa brzmi: nie wiemy. Ileż takich pytań, skutkiem napaści Niemiec, na zawsze zawisło w powietrzu?

– Czy Polska była państwem sezonowym? Czy istniały alternatywy geopolityczne, które mogłyby uratować kraj przed katastrofą?

– „Saisonstaat" to wymysł niemiecki, pojęcie z arsenału propagandy, ale – i to jest ciekawe – występujące także w analizach poważnych polityków i mężów stanu. Niemcy, jak pisał Kazimierz Smogorzewski, podpisując traktat wersalski, uznały Polskę prawnie, ale nie ratyfikowały tego uznania psychologicznie. To zdanie więcej waży niż niejedna uczona rozprawa. Że tak samo było ze strony Sowietów, także po wojnie i po pokoju ryskim w 1921 r., to nikogo raczej przekonywać nie trzeba. Sezonowość rozumiem jako koniunkturę geopolityczną, swoiste okienko pogodowe, które otworzyło się w czasie Wielkiej Wojny, a w 1939 r. zostało brutalnie zatrzaśnięte przez współdziałanie Niemiec i Związku Sowieckiego. Juliusz Mieroszewski pisał w 1967 r., że gdyby ktoś w 1937 r. nazwał Polskę państwem sezonowym, oskarżono by go o zdradę, a przecież nasz byt zależał w całości od stosunków rosyjsko-niemieckich, na które nie mieliśmy wpływu. Co do alternatyw – zdanie „nie było alternatywy dla polityki Józefa Becka" jest paradoksalnie jedną z najmocniej ideologicznie obciążonych historii alternatywnych, bo udaje jedyną „niealternatywną" prawdę. Zaolzie i ultimatum wobec Pragi można zasadnie krytykować, choć trudno uciec od wrażenia, że Polska zbierała wówczas razy zamiast Paryża i Londynu. Ale z perspektywy pytania, czy Polska Odrodzona mogła przetrwać, cały ten spór jest w moim przekonaniu bezprzedmiotowy. Niemiecka oferta „całościowego rozwiązania" zawierała klauzulę konsultacyjną, która podporządkowywała polską politykę zagraniczną Berlinowi. Niech to wybrzmi głośno: przyjęcie tych propozycji oznaczałoby koniec Polski Odrodzonej, mimo dalszego istnienia państwa polskiego u boku Niemiec. Stanisław Ossowski notował jesienią 1939 r., że miesiąc wystarczył, by Polskę zlikwidować. To lekcja w polskim elementarzu, którą stale trzeba nam odrabiać, zwłaszcza gdy za naszą wschodnią granicą Rosja próbuje zniszczyć Ukrainę – w narracji Moskwy państwo przecież sezonowe. Niepodległość Polski, powtórzę to, co napisałem w konkluzjach mojej książki, „jeśli nie ma być zjawiskiem sezonowym, musi się opierać na innych założeniach niż chwilowa niedyspozycja Rosji i Niemiec. Potrzebujemy polityki ostrożnej i zarazem wizjonerskiej, siły własnego oręża, subtelnej dyplomacji i wewnętrznej spójności. Spójności – nie jedności, bo ta nigdy nie jest w pełni możliwa. Polska nie może być wiecznym tancerzem na linie".

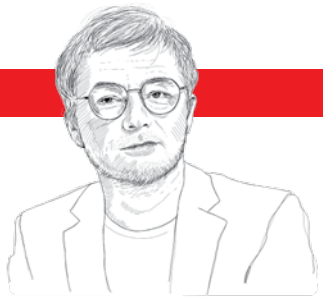
STANISŁAW OSSOWSKI NOTOWAŁ JESIENIĄ 1939 R., ŻE MIESIĄC WYSTARCZYŁ, BY POLSKĘ ZLIKWIDOWAĆ. TO LEKCJA W POLSKIM ELEMENTARZU, KTÓRĄ STALE TRZEBA NAM ODRABIAĆ.

Krzysztof Kloc – historyk, biograf i wydawca źródeł, profesor w Instytucie Historii i Archiwistyki Uniwersytetu Komisji Edukacji Narodowej w Krakowie. Zajmuje się historią Polski w XX wieku, zwłaszcza dziejami dwudziestolecia. Pisał m.in. o obozie piłsudczykowskiem, o przemianach polskiej inteligencji i o środowisku paryskiej „Kultury". Jego ostatnia książka to „Sezon na niepodległość. Czy Odrodzona Polska mogła przetrwać" (Prześwity, Warszawa 2026).

eprasa.pl 3bd0b6e5e8

ŚWIAT WEDŁUG WRÓBLA

Symetryzm jest słaby



Jan Wróbel

Prezydencki szef kancelarii, logiczny, że aż miło, Zbigniew Bogucki apelował do dziennikarzy, by w ocenach działań podjętych wobec Trybunału Konstytucyjnego „nie byli symetrystami". Mówił minister dziennikarzom: – Prawda leży tam, gdzie są fakty, tam, gdzie jest prawo zapisane w konstytucji RP i ustawach, a nie w różnego rodzaju zupełnie absurdalnych interpretacjach tworzonych na potrzeby chwili, potrzeby polityczne.

Poczułem się wywołany do tablicy. Dla jasności, jeżeli symetryzm miałby polegać na tym, aby na siłę widzieć równą odpowiedzialność stron w każdym konflikcie, to byłby tylko paranoją. Tak też jest w historii zgromadzenia ogólnego policji pod Trybunałem. Ktoś konkretny ją zgromadził, a nie „wszyscy uczestnicy politycznej gry". Dotyczy to także zgromadzenia ogólnego sędziów – nie sędziów, którzy nawet w sprawie arytmetyki powinni przed posiedzeniem rozwiązać kilka zadań z gatunku „pomaluj drwala".

Jednak jeżeli symetryzm jest po prostu umiejętnością dostrzegania całości zagadnienia oraz zasady, by najpierw myśleć, a dopiero potem zająć stanowisko, to daj nam, Panie Boże, symetryzmu naszego powszedniego, ile się tylko da.

Nie dziwię się ministrowi Boguckemu, że do takich analiz nie zachęca. Krótka pamięć służy politykom. Ktoś (a nie wszyscy uczestnicy sporu) zablokował, nie podając prawnie dobrych powodów, przyjęcie przysięgi od czterech sędziów. I ktoś konkretny mianował prezesem TK polityka, jakim jest Bogdan Święczkowski. I... tak dalej. Donald Tusk naprawdę dokonał zamachu na Trybunał – i nie zrobił tego PiS czy prezydent. Niemniej warto pamiętać, że zaatakowano Trybunał, który od dawna nie działa. I to „zwycięstwo" (nie działanie TK) ma wielu ojców. Niezależnego od polityków, sprawnego i uznawanego powszechnie za autorytet sądownictwa konstytucyjnego nikt, zdaje się, nie potrzebuje. W każdym razie nad Wisłą.

W dawnych czasach prezydent Warszawy Paweł Piskorski wymyślił hasło: „Metro + obwodnica = stolica". Kto by pomyślał, że się wszystko spełni? Mamy obwodnicę, mamy metro, a w całym kraju mamy bardzo wiele... wszystkiego. Już do nas nawet dotarło, że na tle wielu państw Europy wyglądamy dobrze, nieraz bardzo. Poziom bezpieczeństwa socjalnego i fizycznego jest bardzo wzruszający, przynajmniej dla tych, którzy pamiętają lata 90. Ba, nawet kierowcy jeżdżą spokojniej i bardziej kulturalnie niż kiedyś, a wszyscy wiemy, że po zachowaniach kierowców najszybciej możemy się zorientować, czy jesteśmy w Egipcie, czy w Danii.

> NIEZALEŻNEGO OD POLITYKÓW I SPRAWNEGO SĄDOWNICTWA KONSTYTUCYJNEGO NIKT NIE POTRZEBUJE.

Jednocześnie demokrację pogrążyliśmy. Walczyliśmy o nią, wywalczyliśmy ją, zbudowaliśmy, a teraz mamy ją popsutą. Gdyby ktoś podjął nagle decyzję, że zaorzemy autostrady, podniósłby się ogólnonarodowy bunt. Kiedy politycy orzą Trybunał, najbardziej ekscytują się liderzy polityczni oraz partyjny aktyw. Może dlatego, że symetryzm jest, niestety, słaby.

eprasa.pl 3bd0b6e5e8

ŚWIAT WEDŁUG KRASNODĘBSKIEGO



O co chodzi w walce o Trybunał Konstytucyjny?

Zdzisław Krasnodębski

Czy potrzebna jest sądowa kontrola konstytucyjności prawa? Kto ma stać na straży konstytucji? Czy na pewno sądy? A jeśli tak, to czy potrzebny jest specjalny Trybunał Konstytucyjny? Wydaje się oczywiste, że odpowiedź na te wszystkie pytania powinna być twierdząca. Ale tak jest dopiero od niedawna. Przed II wojną światową sądy konstytucyjne istniały tylko w Austrii (od 1919 r.), Czechosłowacji (od 1920 r.), Lichtensteinie (od 1921 r.), Grecji (od 1927 r.) i bardzo krótko (od 1931 r.) w Hiszpanii. Ich kompetencje były jednak najczęściej dosyć ograniczone. Po II wojnie Trybunały Konstytucyjne również istniały tylko w nielicznych krajach – początkowo jedynie we Włoszech, w Niemczech, a potem we Francji, w Hiszpanii, Portugalii i Belgii. Uderzające jest to, że prawie we wszystkich przypadkach chodziło o państwa niestabilne, nowo utworzone lub takie, które wyszły z endogennej dyktatury. Model ustrojowy, w którym Trybunały Konstytucyjne – mające możliwość kontroli konstytucyjności ustaw i innych aktów prawnych – uznawane są za niezbędny element demokracji, stał się dominujący dopiero po upadku realnego socjalizmu.

Kiedyś dwaj znani niemieccy teoretycy prawa Hans Kelsen i Carl Schmitt spierali się na ten temat. Austriak Kelsen był zwolennikiem utworzenia trybunału konstytucyjnego – został także jego sędzią. Uważał, że bez takiej kontroli konstytucja zostanie tylko katalogiem życzeń. Natomiast „Reichsdeutsche" Schmitt argumentował, że specjalny sąd, który miałby takie kompetencje, byłby nie instytucją prawną, lecz polityczną. Decyzja o tym, co w istocie głosi konstytucja, a co nie, musi być zawsze – ze względu na ogólność prawa konstytucyjnego dopuszczającego wiele interpretacji – decyzją polityczną, a nie prawną. Każdy autentyczny spór dotyczący konstytucji jest zawsze polityczny. Nie da się oddzielić kwestii prawnych od kwestii politycznych, dlatego sądził on, że bardziej uczciwie byłoby, żeby spory konstytucyjne rozstrzygała instancja polityczna, nie prawna. W przeciwnym razie zamiast jurydyzacji polityki dokona się polityzacja wymiaru sprawiedliwości.

Temat i wtedy był w Niemczech politycznie gorący, bo w Republice Weimarskiej konserwatywni prawnicy, którzy kiedyś – w czasach Cesarstwa – wypowiadali się przeciw temu, by sędziowie mogli sprawdzać konstytucyjność ustaw, zmienili zdanie, gdyż obawiali się parlamentu, który był zdominowany przez siły lewicowe. Natomiast lewica chciała uchronić ustawodawstwo parlamentarne przed wpływami wymiaru sprawiedliwości, który wówczas był nastawiony sceptycznie wobec parlamentaryzmu.

Schmitt jest owiany złą sławą, gdyż stał się zwolennikiem państwa totalnego i wspierał Hitlera. Jednak jego opinia została potwierdzona przez rzeczywistość – w rozwiniętej demokracji sądy w wielu krajach, poszerzając swoje kompetencje, zaczęły nie tylko twórczo intepretować, ale wręcz tworzyć prawo. A zatem przejęły wprost rolę polityczną – wyrokując także o tym, jak rozumieć podstawowe zasady konstytucyjne i wartości, jak mają być one wcielane w życie, stając się ośrodkami inżynierii społecznej zgodnej z tymi wartościami. Miały chronić prawo przed polityką, ale zaczęły podejmować decyzje polityczne. Dlatego niemiecki politolog Philip Manow zadał słuszne pytanie, kto chroni politykę przed prawem.

W Stanach Zjednoczonych już dawno pojawiła się świadomość, że prawa wybranej większości parlamentarnej do realizacji swojej polityki są podważane przez władzę sądowniczą. Pisano o tym jako o „counter-majoritarian difficulty", roztrząsając kwestię, dlaczego i na jakiej podstawie niewybierani sędziowie mogą legalnie przeciwstawiać się decyzjom demokratycznie wybranej większości. Nawet ci teoretycy prawa, którzy są gorącymi zwolennikami konstytucjonalizmu, przyznają, że występuje konflikt między demokracją, a więc decyzjami politycznymi, a uprawnieniami, których bronią sądy

eprasa.pl 3bd0b6e5e8

i Trybunały Konstytucyjne. „Demokracja może podważyć prawa. Prawa mogą przytłoczyć demokrację" – pisze niemiecki konstytucjonalista i były sędzia Federalnego Trybunału Konstytucyjnego Dieter Grimm. Uważa on, że fundamentalizm uprawnień prowadzi do uwiądu demokracji. Sędziowie uzurpują sobie prawo decydowania o zasadniczych kierunkach polityki, powołując się między innymi na prawa człowieka, nawet jeśli większość obywateli się temu sprzeciwia. Tak jest w przypadku polityki azylowej czy polityki klimatycznej.

Czy w Polsce TK był niezależny i apolityczny? Jak wiadomo, powstał on w roku 1986. Już wówczas jego sędziowie stali na straży konstytucji. Nie przypominam sobie jednak, by sprawiali jakikolwiek kłopot generałom Jaruzelskiemu i Kiszczakowi. A czy Andrzej Zoll, Marek Safjan lub Jerzy Stępień byli i są niezależni i apolityczni? W swojej politycznej zapiekłości i usłużnej partyjności przewyższają wielu polityków. To, że Polacy nie dostrzegali politycznej natury TK, wynikało po prostu z monopolu władzy. Jego orzecznictwo było zgodne z linią polityczną obozu rządzącego III RP. Wszystko zaczęło się zmieniać, gdy wyborcy zadecydowali o powierzeniu władzy obozowi politycznemu z zupełnie innym programem. W czasach rządów Zjednoczonej Prawicy powoływanie się na praworządność przez KE oraz środowiska prawnicze miało ograniczyć czy wręcz uniemożliwić działania rządu. To dlatego prawo i sądy, w tym przede wszystkim TK, stały się głównym polem bitwy politycznej. Obecnie role się odwróciły. Trybunał Konstytucyjny jest jedną z ostatnich zapór przeciw wszechwładzy Donalda Tuska. Przecież nikt nie ma złudzeń, że to on, a nie Anna Korwin-Piotrowska, kieruje całą akcją i że on będzie kierował TK, jeśli cała operacja się powiedzie.

TK jest niezwykle istotną instytucją systemu politycznego. Istotniejszą niż Senat. Może legitymizować lub delegitymizować decyzje polityczne – nawet takie, których naród nie chce. Obóz Tuska ignorował i marginalizował TK tak długo, jak długo liczył na to, że Rafał Trzaskowski zostanie prezydentem. Obecnie TK stał się niezbędny do pokonania oporu prezydenta i ulegitymizowania fundamentalnych decyzji, których nie dałoby się przeprowadzić drogą polityczno-demokratyczną.

W zdrowym państwie sędziowie są jednak częścią elity państwowej, mają poczucie odpowiedzialności za państwo i za słowo. Odpowiedzialni prawnicy ograniczają swoją aktywność i kreatywność, nie doprowadzają interpretacji do absurdu, wykorzystując cechy języka naturalnego.

Polska nie jest zdrowym państwem. Ogromna część prawników to ludzie owładnięci żądzą władzy, przekonani o swojej wyższości nad ludem. Stowarzyszenia „Iustitia" czy „Themis" to fanatyczne organizacje polityczne.

Podstawowa różnica nie polega więc na tym, że kiedyś TK był neutralny, niezależny, apolityczny, a teraz – powiedzmy od 2015 r. – stał się polityczny. Zasadnicza różnica polega na polityce, która wyraża się w orzeczeniach TK. Za czasów PiS bronił on nadrzędności konstytucji RP nad prawem unijnym. Demonstrujący przeciw zamachowi stanu słusznie obawiają się, że opanowany przez Tuska TK będzie legitymizował destrukcję państwa, uznając wyższość prawa europejskiego.

W przypadku Polski i innych krajów będących członkami UE konflikt między polityką a prawem staje się tym bardziej dramatyczny, że decyzje polityczne podejmowane są przez sądy zewnętrzne, poza naszym państwowym systemem prawnym, że dążą do porządkowania sobie prawa i sądownictwa w Polsce. Tak jest w przypadku TSUE. Jak pisał Dieter Grimm: „Chociaż traktaty europejskie są ze swej natury traktatami międzynarodowymi, Europejski Trybunał Sprawiedliwości od samego początku interpretował je nie jako prawo międzynarodowe, ale jako prawo krajowe". Swoimi orzeczeniami realizuje on program budowy państwa europejskiego. Znaczna część polskich sędziów i prawników uznaje ten cel i tę rolę TSUE.

Wydaje się, że w tak spolaryzowanym kraju jak Polska **konieczna** jest dodatkowa instancja kontrolna. Czy jednak powinna być obsadzona przez sędziów?

Dlatego musimy się w przyszłości zastanowić, czy w takiej formule TK jest nadal potrzebny. Wydaje się, że w tak spolaryzowanym kraju jak Polska konieczna jest dodatkowa instancja kontrolna. Czy jednak powinna być obsadzona przez sędziów? Panuje opinia, że sędziowie i prawnicy – w przeciwieństwie do polityków – mniej są uzależnieni od koniunktury politycznej, od nacisków opinii publicznej, że są mniej „polityczni" i bardziej „neutralni" i niezależni. Ostatnie lata pokazały, że to złudzenie.

W tej sytuacji należałoby w przyszłej konstytucji zastąpić TK Radą Stanu, w której powinny zasiąść osoby zaufania publicznego niebiorące udziału w walce partyjnej, na przykład byli prezydenci. Teraz jednak TK wymaga obrony, gdyż to jest nie tylko obrona demokracji i wolności, ale także polskiej państwowości i niepodległości. Ludzie, którzy gromadzą się w Alei Szucha, doskonale to rozumieją.

eprasa.pl 3bd0b6e5e8

GRY WOKÓŁ Nord Streamu

To miał być ostatni taniec cesarzowej Europy. Dyplomatyczny majstersztyk. **Efektowny akcent** wieńczący polityczne dzieło pani kanclerz i jej poprzedników. Potem można już było odejść, zostawiając następcom cały ten kierat bieżącego zarządzania „moralnym mocarstwem". Gdyby tylko ten Putin okazał choć trochę cierpliwości...

Antoni Opaliński



Fot. Adobe Stock

Do negocjowania z administracją Bidena amerykańskiej zgody na dokończenie Nord Stream 2 Angela Merkel skierowała najlepszych. Bezpośrednie rozmowy prowadzili jej dwaj niezwykle doświadczeni doradcy Jan Hecker i Lars-Hendrik Röller. Efekt, zawarte 21 lipca porozumienie nazwane zostało: Joint Statement of the United States and Germany on Support for Ukraine, European Energy Security, and our Climate Goals (Wspólne oświadczenie Stanów Zjednoczonych i Niemiec w sprawie wsparcia dla Ukrainy, europejskiego bezpieczeństwa energetycznego oraz naszych celów klimatycznych). Tak, to nie pomyłka. Dokument, który potwierdzał zawieszenie amerykańskich sankcji na NS2 i otwierał drogę do dokończenia inwestycji – zawierał w swojej nazwie wszystko poza istotą rzeczy. Ogłoszenie oświadczenia poprzedzone zostało spotkaniem pani kanclerz z prezydentom Bidenem. A przecież porozumienie dotyczyło trzech, a nie dwóch aktorów. I tak naprawdę było zapośredniczonym przez doświadczoną niemiecką polityk „dealem" między Ameryką i Rosją. Putin miał dostać swoją kasę za surowce i nie psuć interesów.

eprasa.pl 3bd0b6e5e8

Parę miesięcy później okazało się, że Putin nie potraktował dealu jako zaproszenia do biznesu, tylko jako kolejną oznakę słabości Zachodu. I poszedł po więcej. A Nord Stream 2? Ukończony we wrześniu 2021 r. nigdy nie rozpoczął pracy. A rok później „ktoś" wysadził go razem z wcześniejszym Nord Stream 1.

I właśnie dlatego teraz przed sądem w starym hanzeatyckim mieście Hamburg toczy się pewien bardzo ciekawy proces. Na ławie oskarżonych zasiada 50-letni Serhij K., były oficer ukraińskich sił zbrojnych, zatrzymany w sierpniu 2025 r. we Włoszech i następnie przekazany Niemcom.

Sześć bomb na dnie Bałtyku

Wokół wysadzenia Nord Stream narosło mnóstwo teorii. Mieli tego dokonać sami Rosjanie, Amerykanie, Ukraińcy. Niemiecka prokuratura przedstawia przed sądem swoją wersję zdarzeń.

Podczas jednej z ostatnich rozpraw w Hamburgu zeznawał ekspert niemieckiego Federalnego Urzędu Kryminalnego (BKA). Przedstawił wyniki analiz zdjęć, nagrań podwodnych i dokumentacji sporządzonej przez nurków. Według niego gazociągi zostały uszkodzone w sześciu miejscach, co wskazuje na użycie co najmniej sześciu ładunków wybuchowych. Nie była to operacja, którą można było przeprowadzić bez przygotowania. Trzeba było zdobyć materiały wybuchowe, znaleźć odpowiednich nurków, zorganizować transport i dotrzeć do gazociągów położonych na znacznej głębokości. A wszystko to zrobić w taki sposób, aby nie zwrócić uwagi służb monitorujących ruch na Bałtyku.

Pomysł, który powstał na imprezie

Jedną z najbardziej szczegółowych rekonstrukcji wydarzeń przedstawił Bojan Pancevski z „The Wall Street Journal". W sierpniu 2024 r. opublikował głośny artykuł o kulisach wysadzenia Nord Streamu. Powoływał się między innymi na rozmowy z wysokimi rangą ukraińskimi przedstawicielami wojska i służb, którzy mieli uczestniczyć w przygotowaniach albo posiadać bezpośrednią wiedzę o operacji. Według jego ustaleń pomysł zniszczenia gazociągów pojawił się w maju 2022 roku, podczas spotkania ukraińskich oficerów i przedsiębiorców świętujących powstrzymanie pierwszego rosyjskiego uderzenia na Kijów. W atmosferze patriotycznego uniesienia i po spożyciu alkoholu ktoś miał zaproponować uderzenie w Nord Stream.

Pancevski pisał, że przedsięwzięcie miało zostać sfinansowane przez prywatnych ukraińskich przedsiębiorców. Koszt operacji szacował na około 250–300 tysięcy dolarów.

Zełenski miał wiedzieć. Potem próbował zatrzymać operację

Najbardziej sensacyjna część ustaleń Pancevskiego dotyczyła roli najwyższych władz Ukrainy. Według źródeł dziennikarza prezydent Wołodymyr Zełenski początkowo zaakceptował plan zniszczenia Nord Streamu. Później jednak o przygotowaniach dowiedziała się CIA. Amerykanie mieli zażądać od Kijowa wstrzymania operacji. Pod ich wpływem prezydent wydał wówczas polecenie odwołania akcji. Rozkaz miał jednak zostać zignorowany przez ówczesnego naczelnego dowódcę ukraińskich sił zbrojnych, generała Wałerija Załużnego. Operacja była kontynuowana. Sam generał zdecydowanie zaprzeczył, jakoby miał wiedzę o takiej operacji. Również otoczenie Zełenskiego odrzucało doniesienia o udziale ukraińskich władz w sabotażu.

„Andromeda", czyli akcja za ćwierć miliona dolarów

W swojej książce „The Nord Stream Conspiracy: The Inside Story of the Explosions That Shook the World" opublikowanej w 2026 roku (polskie tłumaczenie ukazało się pod tytułem „Wysadzić Nord Stream. Sabotaż, który wstrząsnął światem") Pancevski rozwinął wcześniejsze ustalenia. W centrum operacji znalazł się jacht żaglowy „Andromeda" wynajęty w Niemczech. To właśnie nim grupa miała dotrzeć w okolice duńskiej wyspy Bornholm. Tam, na głębokości około 80 metrów, nurkowie mieli przymocować do gazociągów materiały wybuchowe wyposażone w zapalniki czasowe. Po wykonaniu zadania jacht wrócił do portu. 26 września 2022 roku nastąpiły eksplozje, które uszkodziły trzy z czterech nitek Nord Stream 1 i Nord Stream 2.

Niemieccy śledczy znaleźli później na „Andromedzie" ślady materiałów wybuchowych. Analizowali również dokumenty wynajmu jachtu, zapisy kamer, dane telefoniczne i ślady biologiczne.

PAROZUMIENIE USA–NIEMCY DOTYCZYŁO TRZECH, A NIE DWÓCH AKTORÓW. PUTIN MIAŁ DOSTAĆ SWOJĄ KASĘ ZA SUROWCE I NIE PSUĆ INTERESÓW.

eprasa.pl 3bd0b6e5e8

Ukraiński oficer przed sądem

A dziś przed niemieckim sądem odpowiada wspomniany Serhij K., były oficer ukraińskich sił zbrojnych. Proces rozpoczął się w październiku. Postawiono mu zarzuty: spowodowania eksplozji, zniszczenia infrastruktury i zakłócenia działalności przedsiębiorstw. Prokuratura oskarża go również o współudział w zbrodni wojennej polegającej na ataku na obiekty cywilne.

Podkreślmy to: niemiecki prokurator uważa wysadzenie instalacji Nord Streamu za zbrodnię wojenną.

W akcie oskarżenia pojawia się twierdzenie, że operacja została przeprowadzona na zlecenie ukraińskich struktur państwowych. Dzieje się to w tym samym czasie, gdy kanclerz Friedrich Merz pokazuje się na świecie jako największy sojusznik Ukrainy.

„Nie mogę mówić, bo obowiązuje mnie tajemnica wojskowa”

Pierwsze rozprawy przyniosły zaskakujący spór proceduralny. Obrońcy Serhija K. zażądali umorzenia procesu. Ich argumentacja była nietypowa: oskarżony jako były oficer ukraińskich sił specjalnych nie otrzymał zgody przełożonych na ujawnianie informacji o operacjach wojskowych. Adwokaci twierdzili, że w takiej sytuacji nie może się skutecznie bronić. Aby przedstawić własną wersję wydarzeń, musiałby złamać obowiązek zachowania tajemnicy.

Sąd odrzucił ten argument. Przewodnicząca składu sędziowskiego Anne Meier-Göring uznała, że z punktu widzenia niemieckiego prawa oskarżony ma możliwość składania wyjaśnień, a dokumenty wystawione przez jego dawnych przełożonych nie stanowią przeszkody do prowadzenia procesu.

Obrona przedstawiła również argumentację polityczno-prawną. Skoro Rosja wykorzystywała Nord Stream do finansowania wojny i wywierania presji na Europę, to zniszczenie gazociągów nie powinno być traktowane jako zbrodnia wojenna. Niemiecka prokuratura zakwestionowała wiarygodność tych wyjaśnień. Proces będzie kontynuowany.

Nie chodziło tylko o gaz

W znakomicie udokumentowanej książce „Nord Stream. Anatomia gazowego przymierza” dwaj polscy analitycy Bartosz Bieliszczuk i Ernest Wyciszkiewicz pokazują historyczne tło aktualnych wydarzeń. Dzieje współpracy Niemiec (i szerzej Zachodu) z Rosją na polu gazowo-energetycznym sięgają korzeniami czasów zimnej wojny. Pokazują też, jak często rachubom ekonomicznym towarzyszyły zarówno szerokie wizje geopolityczne, jak i lobbing oraz zwykła korupcja.

Również Nord Stream i Nord Stream 2 nie były nigdy tylko gazociągami. Przez lata stanowiły fundament polityki zakładającej, że współpraca gospodarcza może stabilizować stosunki między Rosją a Europą Zachodnią. To, że współpraca da Rosji mocne narzędzie do szantażu i równocześnie pozwoli na handel z Zachodem z pominięciem interesów najbliższych sąsiadów – było pomijane albo po cichu akceptowane.

Zbrodnia wojenna czy operacja przeciwko agresorowi?

Jednym z najważniejszych pytań, na które będzie musiał odpowiedzieć sąd w Hamburgu, pozostaje prawna ocena sabotażu. Niemiecka prokuratura uznaje Nord Stream za infrastrukturę cywilną. Jej celowe zniszczenie podczas konfliktu zbrojnego może – według oskarżenia – stanowić zbrodnię wojenną. Obrona wskazuje natomiast na strategiczne znaczenie gazociągów dla Rosji.

NIEMIECKI PROKURATOR UWAŻA WYSADZENIE INSTALACJI NORD STREAM ZA ZBRODNIĘ WOJENNĄ.

Dalej już kończy się prawo i zaczyna polityka.

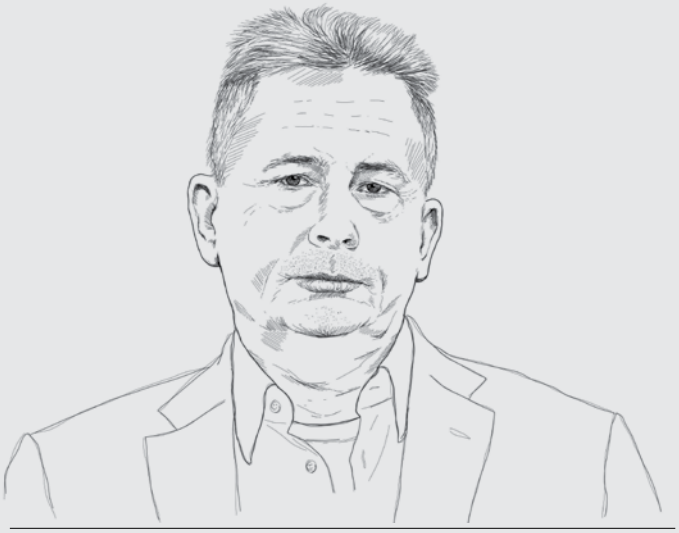
Gra toczy się dalej

Podczas wrześniowych wyborów do parlamentu krajowego w Meklemburgii najważniejsza rywalizacja toczyła się między AfD a SPD. Obie strony dzieli prawie wszystko – łączy przekonanie, że powrót do surowcowego handlu z Rosją jest oczywisty. Socjaldemokratyczna premier tego landu Manuela Schwesig była przecież twarzą promowania związków z Rosją ponad głowami połowy kontynentu. Dziś jest jednym z niewielu popularnych polityków SPD.

W tym samym czasie, gdy w Hamburgu ruszał proces, Agencja Reutera podała, że ludzie Trumpa mieli rozmawiać z Rosjanami o jakiejś formie uruchomienia gazociągów – tym razem z udziałem (i zyskiem) podmiotów amerykańskich. Pogłoski te zostały szybko zdementowane, co może świadczyć o wszystkim i o niczym. Zanim zaczniemy się oburzać na merkantylny pragmatyzm Kushnera czy Witkoffa, wróćmy do początku tego tekstu i przypomnijmy sobie, na co godziła się ekipa Bidena.

Jedno jest pewne – proces ukraińskiego oficera pewnego dnia się zakończy. Gra o suwerenność, władzę i pieniądze wokół rosyjskiego gazu zacznie się jeszcze nieraz.

eprasa.pl 3bd0b6e5e8



Piotr Skwieciński

Biedny Hamlet patrzy na dzika

Gdyby kiedyś ktoś mi powiedział, że dożyję czasów, w których największe emocje wśród Polaków będzie wywoływał dzik (czy raczej Dzik – metafizyczny symbol Dobra lub Zła, w zależności od wyznawanej wiary) – uznałbym takiego kogoś za szaleńca. A jednak stało się.

Ten tekst będzie właśnie o wyznawcach, a nie o samych dzikach, które jako takie nie wzbudzają we mnie ani paroksyzmów nienawiści, ani miłosnej ekstazy. Intuicyjnie życzyłbym im raczej dobrze, jak każdemu żywemu stworzeniu. Ale też bez przesady. Ważniejsi są ludzie, i dotąd wydawało mi się to oczywiste.

Sęk w tym, że ze zdumieniem dowiaduję się ostatnio, że nie dla wszystkich.

Wątpiącym polecam zagłębienie się w internet, w którym grasują (nomen omen) stada dzikofilów. Dzikofilów, którzy demonstracyjnie odrzucają wszelkie argumenty mówiące o tym, że te zwierzęta, podrażnione (a przecież w skali masowej nie da się uniknąć sytuacji niezamierzonego podrażnienia) mogą stanowić bezpośrednie zagrożenie dla ludzi, dzieci zwłaszcza. Że już powodują karambole samochodowe. I że jak tak dalej pójdzie, to tylko kwestią czasu jest pierwszy wypadek śmiertelny. Że w parkach wśród właścicieli psów panuje już psychoza.

Wszystko to są fakty oczywiste, ale dzikofile, jako się rzekło, od nich abstrahują. Argument ludzkiego życia lekceważą albo pomijają. Można odnieść wrażenie, że wręcz manifestacyjnie. I albo mówią wprost, albo przejrzyście sugerują: człowiek nie jest miarą wszechrzeczy. Dzikie zwierzę ma taką samą wartość. Zagraża człowiekowi? No to co. Niech sobie człowiek gdzieś pójdzie albo „nauczy się żyć" w świecie, w którym stada dzikich zwierząt mają takie same prawa jak on. Człowiek straci życie? Pewnie to przykre, ale widocznie się nie chciał nauczyć.

Modelowy pod tym względem jest okładkowy materiał ostatniego tygodnika „Polityka". Przebija z niego bezradność. Opisywany jest, mniej więcej obiektywnie, stan rzeczy. Ale co robić? Wydaje się, że zdaniem autora – nie można zrobić nic, bo przecież „dziki już są z nami". Trzeba się dostosować. O żadnym ich wybijaniu nawet wspominać nie wolno. To takie nieestetyczne. I sprzeciwią się temu „obrońcy zwierząt", a to przecież ostatecznie rozstrzyga sprawę.

Widać tu potężne zaangażowanie światopoglądowe. Można by je określić mianem ideologii antyludzkiej. Pokrewnej doktrynie antynatalizmu, zgodnie z którą człowiek (zwłaszcza biały, ale zasadniczo – każdy) jest gatunkiem do tego stopnia szkodliwym i chybionym, że tak naprawdę to powinien wymrzeć. Wtedy planeta odetchnie.

Nie, nie twierdzę, żeby takie myślenie było udziałem większości. Myślę, że jest to niewielka mniejszość. I że oczywistość zagrożeń spowoduje, że zdecydowana większość poprze eliminacje dzików również drogą odstrzału. Ale znakiem czasu jest to, że ta aktywna, antynatalistyczna mniejszość potrafi już w tej chwili stworzyć atmosferę psychicznej blokady, atmosferę narzucania tonu.

Istnieje też drugi obóz. Obóz, którego wyznawcy – najwyraźniej po to, żeby zrobić na złość dzikofilom – zaczęli demonstrować wobec dzików jakąś dziwaczną nienawiść. Eskalować, licytować się między sobą w manifestacjach twardzielstwa. Że jak to będzie fajnie wziąć flintę i walić do warchlaków. Bo przecież personifikacją prawicowego patrioty ma być typ w tyrolskim kapelusiku z piórkiem, starym peerelowskim moro i z dubeltówką.

Tymczasem ja naiwnie myślę sobie, ze dla normalnego człowieka ewentualna konieczność wybicia dzików to coś przykrego, nawet jeśli nieuniknionego. Namiętna tego żądza – to też patologia.

Tak więc teraz my, normalsi, musimy wybierać między patologią, której długofalowe konsekwencje budzą strach (dzikofilia), a inną, budzącą obrzydzenie (dzikofobia). Wobec takiej alternatywy stawia nas świat, który – parafrazując Hamleta – wyszedł z formy, a my musimy wracać go do normy.

eprasa.pl 3bd0b6e5e8

KULTURA

FILM



Fot. materiały dystrybutora

Wielkie pieniądze W KOSMICZNEJ DZIURZE

Ten film znany był już polskiej publiczności festiwalowej. Teraz koreańska superprodukcja „Witajcie w Hope” weszła do dystrybucji kinowej. W promocji tego obrazu na pewno pomaga **imponująca skala** przedsięwzięcia i wcześniejsze sukcesy Na Hong-jina, reżysera mającego na koncie choćby głośny dekadę temu „Lament”. „Hope” to jego najdroższy film. Czy najlepszy, to już rzecz mocno dyskusyjna.

Krzysztof Karnkowski

eprasa.pl 3bd0b6e5e8

Zacznijmy więc od pieniędzy. „Hope” ustanowił nowy rekord kosztów koreańskiego kina: produkcja pochłonęła około 70 mld wonów (46 mln dolarów), a według najwyższych szacunków wraz z promocją wydatki mogły sięgnąć 100 mld wonów (74 mln dolarów). Na koszty złożyły się przede wszystkim zaawansowane efekty komputerowe, animacja niektórych postaci, widowiskowe sceny akcji oraz międzynarodowa obsada, która wystąpiła w dość nieoczywisty sposób. Dokładnych wydatków na efekty i honoraria gwiazd nie ujawniono. Dla porównania wcześniejsze koreańskie superprodukcje „D-War” (2007) i „Alienoid” (2022) kosztowały odpowiednio 30 i 33 mld wonów. W Polsce rekordzistą pozostaje „Quo vadis” (2001) z budżetem 76 mln zł, podczas gdy „Chopin, Chopin!” (2025) pochłonął około 65–70 mln zł. „Hope” jest więc przedsięwzięciem finansowym o skali przekraczającej polskie rekordy plus minus czterokrotnie. Pieniądze w filmie widać, to fakt, zaryzykuję jednak stwierdzenie, że gdyby ich nie wydano... mielibyśmy do czynienia z dużo lepszym filmem. Paradoks? Niekoniecznie.

„HOPE” JEST PRZEDSIĘWZIĘCIEM FINANSOWYM O SKALI PRZEKRACZAJĄCEJ POLSKIE REKORDY PLUS MINUS CZTEROKROTNIE.

W pogoni

Zanim rozwikłam tę pozorną sprzeczność, spójrzmy na wcześniejszą karierę Na Hong-jina. Na Hong-jin (ur. 1974) należy do najciekawszych przedstawicieli współczesnego koreańskiego kina gatunkowego, choć w ciągu niemal dwóch dekad nakręcił zaledwie cztery pełnometrażowe filmy. Zadebiutował w 2008 roku brutalnym thrillerem „W pogoni” (tytuł międzynarodowy „The Chaser”), opowiadającym o byłym policjancie tropiącym seryjnego mordercę. Film zdobył liczne nagrody i przyciągnął do koreańskich kin około pięciu milionów widzów. Dwa lata później powstało „Morze Żółte”, ponura historia koreańskiego emigranta z Chin uwikłanego w świat przestępczy. To film wręcz przygniatający, lecz wart obejrzenia też dla jednej, na swój sposób komicznej sceny, w której dwa gangi walczą ze sobą, używając m.in. ogryzanych chwilę wcześniej z mięsa kości. Największe uznanie międzynarodowe przyniósł mu jednak „Lament” (2016), tak samo, jak „Morze Żółte” dostępny na polskich platformach streamingowych. „Lament” zaczyna się niczym kryminał, by stopniowo zmienić się w mocno osadzony w koreańskich tradycjach, wierzeniach i realiach prowincji horror. Film wpisał się w popularny wówczas nurt k-horroru, który po okresie westernizacji wszedł w modę na eksploatowanie i udane pokazywanie światu lokalności. W 2021 roku Na był producentem i autorem historii tajsko-koreańskiego horroru „The Medium”. Charakterystyczne dla jego twórczości są niezwykle sugestywna i intensywna przemoc, atmosfera narastającego zagrożenia, niejednoznaczność moralna oraz bohaterowie bezradni wobec wydarzeń, których czasem do samego końca nie potrafią zrozumieć. W większości jego filmów mamy też do czynienia z pewnym skrętem gatunkowym w trakcie. „Morze Żółte” przez kilkadziesiąt minut było bardziej dramatem społecznym niż ciężkim thrillerem. O „Lamencie” odchodzącym od intrygi kryminalnej na rzecz metafizyki już wspomniałem, „Hope” też nie jest tu tak naprawdę wyjątkiem.

Prowincjonalna apokalipsa

Nowy film, nakręcony po 10 latach przerwy, podzielić możemy na dwie części. Pierwsza to horror rozgrywający się w realiach koreańskiej, zapadłej prowincji w czasie bliżej nieokreślonym. Żadne daty nie padają, jednak budynki, auta, styl bohaterów wskazują na czasy sprzed wielkiego boomu gospodarczego, Koreę lat 80. i 90. Stylizacja ta obejmuje również sposób filmowania nawiązujący do kina gatunkowego sprzed kilku dekad. Wybór epoki nie jest przypadkowy. Na Hong-jin przyznał, że chciał przede wszystkim wyeliminować telefony komórkowe, których obecność utrudniałaby wiarygodne przedstawienie izolacji bohaterów. Istotniejszy wydaje się jednak kontekst polityczny. Akcja rozgrywa się w pobliżu strefy zdemilitaryzowanej, oddzielającej obie Koree, w atmosferze antykomunistycznej paranoi, podejrzliwości i nieustannego oczekiwania na zagrożenie ze strony Północy. To rzeczywistość, w której obecność uzbrojonych cywilów, lęk przed infiltracją i gotowość do gwałtownej reakcji znajdują historyczne uzasadnienie. Tajemnicze, dość długo skrywane przed bohaterami zagrożenie, tajemnicza siła mordująca zwierzęta i wprowadzająca chaos w tytułowym miasteczku początkowo jest łączona z komunistyczną Północą. Jednak ta nieokreśloność czasu ma też wymiar praktyczny: umieszczenie akcji w przeszłości pozostawia reżyserowi możliwość przeniesienia ewentualnej kontynuacji do czasów bardziej współczesnych. Archaiczne miasteczko staje się areną scen bardzo brutalnych, choć też komicznie przerysowanych – potężna siła, z jaką coś demoluje budynki i miota dobytkiem mieszkańców (i samymi mieszkańcami), początkowo nie daje traktować się do końca poważnie, lecz właśnie to ma w sobie dużo uroku. Tak jak wiele mają go

eprasa.pl 3bd0b6e5e8

poszczególne postacie: lokalny policjant, jego młodsza koleżanka, całe stado niezbyt zadbanych, mało lotnych, lecz na swój sposób sympatycznych prowincjuszy. Wszystko zmienia się, gdy wydaje się, że zło zostało pokonane, a nawet, do pewnego stopnia, zrozumiane. Niestety potem wchodzi cały wątek s.f., w którym amerykańscy aktorzy użyczają twarzy kosmitom przywodzącym na myśl swoich krewnych z „Awatara". Niestety o amerykanizacji świadczą nie tylko zachodnie rysy gwiazd kina, lecz także sama formuła. Obok pojedynku ludzi i obcych walczą ze sobą koreańska klasyka i zachodnie kalki. Trudno powiedzieć, kto wygrywa, ale wielu recenzentów narzeka na tę dalszą część „Witajcie w Hope". Pomimo kilku niezłych scen, jestem skłonny się z nimi zgodzić. Prowincjonalna opowieść o potworze wyszła Na lepiej niż światowa, a może nawet międzyświatowa superprodukcja. Niespecjalnie to zresztą dziwi, o ile bowiem koreańskie science fiction na ogół jest dość nudne, o tyle filmy o potworach wychodzą w tym kraju na ogół nieźle. W swoim czasie wielkim przebojem i rekordem kasowym był „The Host", w którym walka z toksycznym monstrum łączyła się z na wpół satyryczną krytyką koreańskiego społeczeństwa, przemian ustrojowych i geopolityki. Był to zresztą jeden z pierwszych filmów Bong Joon-ho, później znanego między innymi ze „Snowpiercera" i, przede wszystkim, „Parasite". Co więcej, na planie „Hosta" spotkali się Song Kang-ho, grający we wszystkich tych trzech filmach, i często pojawiająca się w głośnych produkcjach Bae Doona.

CHARAKTERYSTYCZNE DLA TWÓRCZOŚCI NA SĄ NIEZWYKLE SUGESTYWNA I INTENSYWNA PRZEMOC I ATMOSFERA NARASTAJĄCEGO ZAGROŻENIA.

Gwiazdy i pieniądze

Obsada „Hope" to niezwykłe połączenie gwiazd koreańskiego kina z aktorami znanymi z największych hollywoodzkich produkcji. W główną rolę miejscowego komendanta policji wcielił się Hwang Jung-min, jeden z najpopularniejszych koreańskich aktorów, znany m.in. z „New World", „Weterana" i wcześniejszego „Lamentu" Na Hong-jina, w którym grał szamana. Towarzyszą mu Zo In-sung, gwiazdor „Smugglers" i serialu „Moving", jako myśliwy Sung-ki, oraz Jung Ho-yeon, która zdobyła światową popularność dzięki „Squid Game", tutaj występująca jako młoda policjantka. Największą osobliwością obsady jest jednak udział zachodnich gwiazd w rolach kosmitów. Michael Fassbender („Wstyd", „Prometeusz", seria „X-Men"), laureatka Oscara Alicia Vikander („Ex Machina", „Dziewczyna z portretu"), Taylor Russell („Do ostatniej kości") i Cameron Britton („Mindhunter") użyczyli pozaziemskim istotom głosów, ruchów i mimiki dzięki technologii motion capture. Reżyserowi zależało przede wszystkim na oddaniu ich emocji, dlatego zamiast anonimowych wykonawców zatrudnił wybitnych aktorów dramatycznych, choć ich twarze zostały radykalnie przekształcone komputerowo. Ale w tym filmie grają nie tylko ludzie. To kolejny w ostatnim czasie, po zeszłorocznych „Bez wyjścia" kolejnej gwiazdy koreańskiej reżyserii Park Chan-wooka i artystycznym horrorze „Forte" Kim Bo-kima, obraz, w którym momentami pierwsze skrzypce przejmuje przyroda. Druga część, gdy akcja z miasta i otaczających je pól przenosi się do lasu, to przede wszystkim potężny zastrzyk zieleni.

Myślę, że ten film znajdzie swoich fanów, choć wielu krytyków narzeka na drugą, coraz mocniej odrywającą się od ziemskiej rzeczywistości połowę. Faktycznie, myślę, że gdyby Na Hong-jin ograniczył się do pokazania nierównej walki z niszczącym miasto tajemniczym stworem i lekko humorystycznej opowieści o mieszkańcach tej zapadłej dziury, opowieści wyszłoby to tylko na zdrowie. W filmie za wielką kasę najlepiej wypada to, co aż tak dużych pieniędzy nie potrzebowało. Ta świadomość i kierunek, w jakim Na poprowadził akcję, każą mi z niepokojem oczekiwać na nieuchronny sequel. O ile ten faktycznie powstanie, bo choć dziś wszystko na to wskazuje, mam w tyle głowy, że drugiej części „Hosta", choć pojawiała się w planach i zapowiedziach, nie zrealizowano przez 20 lat.

TAJEMNICZA SIŁA MORDUJĄCA ZWIERZĘTA I WPROWADZAJĄCA CHAOS W TYTUŁOWYM MIASTECZKU POCZĄTKOWO JEST ŁĄCZONA Z KOMUNISTYCZNĄ PÓŁNOCĄ.

„Witajcie w Hope", reżyser Na Hong-jin, dystrybucja: Monolith Films, produkcja Korea Południowa 2026.

eprasa.pl 3bd0b6e5e8

MIX PŁYT Bartosz Boruciak

DOMINIC FIKE – HOW TO QUIT SMOKING
WYD. COLUMBIA RECORDS



Dominic Fike na „How To Quit Smoking" godzi beztroskę z odpowiedzialnością dorosłości. Nowy album powstawał w trasie, między hotelowymi pokojami i garderobami, co słychać w jego szkicowej konstrukcji. Fike płynnie przechodzi od gitarowego indie popu i garażowego rocka do rapu oraz rozluźnionego R&B, bez jednej stylistycznej etykiety. „Pangea" i „Doomsday" łączą chwytliwe melodie z niepokojem, a „White Keys" jest jednym z przebojów. W tekstach artysta mierzy się z nałogami, ojcostwem, pieniędzmi i tęsknotą za domem. Nie wszystkie pomysły zyskują pełny kształt, a liczni goście nie zawsze pomagają zachować spójność. To szczery zapis twórcy w przełomowym momencie życia. Swoboda nagrań bywa atutem, ale czasem odbiera piosenkom kształt. Najlepiej wypadają chwile szczerej lekkości.

QUEENS OF THE STONE AGE – PERFECTH
WYD. MATADOR RECORDS



Na „Perfecth" Queens of the Stone Age zamieniają pustynny ciężar na intymność. Dziewięć kompozycji opowiada o tym, jak miłość, strata, błędy i szukanie spokoju kształtują ludzkie doświadczenia. „It's Only Love" otwiera całość niemal teatralnym, mrocznym walcem, a „Insignificant Other" uwodzi leniwym, bluesowym pulsem. Nie brakuje stylistycznych zakrętów: „Mono" zanurza się w niepokojącej psychodelii, „Sunday" flirtuje z tanecznym rytmem, „Easy Street" zaś rozjaśnia album przewrotną lekkością. Homme śpiewa subtelniej niż zwykle, odsłaniając skrywaną kruchość. Fani bezkompromisowych riffów mogą odczuć niedosyt, ale płyta udowadnia, że Queens wciąż potrafią zaskakiwać. Siłą całości jest nastrój, a nie ciężar gitar czy pogoń za przebojem. Warto poświęcić tej płycie uwagę.

EDITORS – SURFACE, ECHO & SOUND
WYD. PLAY IT AGAIN SAM



Editors wykonują na „Surface, Echo & Sound" zwrot ku gitarowym korzeniom. Po elektronicznym, industrialnym „EBM" zespół Toma Smitha stawia na organiczne brzmienie, akustyczne instrumenty i wspólne granie. Już „Call It In" i „The Rush" potwierdzają talent do pisania nośnych, melodyjnych piosenek. „Rescue" wnosi więcej światła, „Much Love" pulsuje charakterystycznym rytmem, a „The Hills We Died Upon" odsłania bardziej melancholijne oblicze grupy. Tom Smith nadal dysponuje głosem, który potrafi pogłębić emocje. Nie każda ballada utrzymuje napięcie, a zachowawczość odbiera całości pazur. To jednak przekonujący powrót do formuły, w której Editors brzmią najbardziej naturalnie. Gitarowe brzmienie nie oznacza jednak powrotu do przeszłości. Editors korzystają z doświadczenia. To dojrzała zmiana, która nie przekreśla dotychczasowej drogi zespołu. To jej wielka zaleta. Nadal.

NICKELBACK – EVERYTHING UNDER THE SUN
WYD. NICKELBACK II PRODUCTIONS



Nickelback na „Everything Under the Sun" trzymają się własnej formuły, ale korzystają z niej swobodniej. Jedenasty album Kanadyjczyków łączy sprawdzony post-grunge, potężne riffy i refreny stworzone z myślą o dużych scenach z mniej oczywistymi pomysłami. „Rattle the Cage", wzmocnione gitarą Johna 5, mocno otwiera zestaw, a „Chasin' Famous" przynosi zadziorność i tekstową ironię, rzadką u nich. „Technicolor Steamboat" zaskakuje psychodelicznym, sitarowym kolorytem, podczas gdy „If I Don't Go" skręca w stronę współczesnego country. Rozbudowanym gestem jest „Lift Somebody Up", w którym pojawia się liczni goście. Radiowych melodii i przewidywalności nie brakuje, lecz Nickelback brzmią pewnie i dojrzale. Całość ma przy tym odpowiednią dynamikę: od stadionowego otwarcia, przez bardziej eksperymentalny środek, po finał zbudowany na wspólnotowym przesłaniu. To solidna propozycja dla fanów zespołu!

eprasa.pl 3bd0b6e5e8

Czytam, chadzam, doradzam, odradzam

Wojciech Stanisławski



Dolnośląska kasza

Bolesne, głębokie rozszczepienie Polski, którego doświadczamy i które, jak twierdzi wielu, „już się nie sklei", dotyczy wprawdzie w pierwszej kolejności polityki, historii i aksjologii, dziwnie często przekłada się też jednak na sztuki piękne i literaturę: oba obozy posiadają pisarzy i malarzy „naszych" i „nie naszych". Przy czym, o ile, jak zauważają socjolodzy, tzw. lewica okazuje się znacznie mniej tolerancyjna politycznie i znacznie bardziej ochocza do pogardzania oponentami – o tyle tzw. prawica wydaje się znacznie bardziej zaciekła w niechęci do kojarzonych z „drugą stroną" artystów. Czasem toczą się jeszcze wojny podjazdowe (np. o Herberta), zazwyczaj jednak przebieg linii frontu jest ściśle ustalony.

Po drugiej stronie frontu już dawno znalazła się, jak się zdaje, Olga Tokarczuk; przy czym spora część osób demonstrujących swą niechęć dla noblistki ma jej, co prawda, za złe niefortunne wypowiedzi polityczne, ale swą irytację skupia na fryzurach; „ona nosi dredy" zwykle zamyka rozmowę o pisarstwie autorki „Biegunów" i „Empuzjonu".

Jest to posunięcie dość odważne w kraju (i w obozie politycznym), który chlubi się Mickiewiczem i Paderewskim, by wymienić dwóch tylko posiadaczy obfitych i niezbyt uporządkowanych koafiur; nie są zresztą wyjątkami wśród artystów, mając w pamięci kudły Marka Twaina, loki Kurta Vonneguta i brodę Lwa Tołstoja (by nie wspominać już nic o uczesaniach pisarzy, a zwłaszcza pisarek nowszej szkoły), doprawdy odpuściłbym OT dredy.

Zresztą odpuściłbym jej również tych kilka nieszczęsnych fraz o „polskim niewolnictwie" czy współudziale w Zagładzie, choć, doprawdy, wydaje mi się, że od czasu, gdy je wygłosiła, padło w Polsce wiele zdań gorszych. To jest, pamiętałbym o nich przy okazji rozważań o polityce. Pamiętałbym jednak również o legionie pisarzy posiadających zdumiewające, płytkie, niemądre, a nawet oburzające poglądy polityczne – i piszących przy tym fantastyczne wiersze oraz powieści. Taki to cech.

O powieściach OT rozmawiam znacznie chętniej; jedne cenię bardziej, inne mniej, dalece nie wszystkie wydają mi się „noblowskiego formatu" (co to jednak znaczy dziś „noblowski format"? O ile bardziej oczywiste było to w czasach Tomasza Manna lub Marcela Prousta, który notabene Nobla nie otrzymał!). Zwracam baczną uwagę na to, co nieraz umyka uwadze krytyków, a co może najmocniej wyróżnia pisarstwo Tokarczuk: rozbudowane i spójne filozoficzne, a właściwie metafizyczne tło jej powieści, bardzo osobne rozumienie życia jako bytu w gruncie rzeczy jednorodnego, a przynajmniej łączącego wszelkie stworzenia żywe, a także duchy, istnienia potencjalne, „byty nieludzkie"... To perspektywa osobna, niecodzienna i niełatwa do oswojenia.

Oprócz tego jednak Tokarczuk potrafi pisać o przeszłości – również na swój sposób, to jest, z upodobaniem splatając, jak zwykło się mówić, dziesiątki nici indywidualnych losów i skupiając się zdecydowanie nad doznaniami, losami i przemianami jednostek, traktując wszelkie „ponadosobowe" tożsamości jako w najlepszym razie wtórne i zewnętrzne. Dobrym przykładem takiego „gobelinu" były „Księgi Jakubowe". Rzeczywistość opisana w powieści o niewygodnym w odmianie tytule „Świata jest za dużo" może się okazać jednak znacznie bliższa współczesnym czytelnikom niż kresy i prowincja XVIII-wiecznej Rzeczypospolitej: najnowsza książka traktuje bowiem o Dolnym Śląsku w roku 1946 i kilku latach następnych, o zasupłaniu losów kilkudziesięciu osób, które trafiły do Wrocławia ze zsyłki w Kazachstanie, z okrwawionego Wołynia, z wysiedlanego Lwowa, ale też spod Radomia, z robót w Niemczech, z partyzanckiego lasu, a nawet z polskiej emigracji górniczej do Francji.

Nie jest to oczywiście pierwsza powieść, która usiłuje uporać się z fenomenem „Ziem Odzyskanych", gdzie przesiedlono i wysiedlono kilkanaście w sumie milionów osób, ciężko straumatyzowanych wojną, wrzuconych w zupełnie inny klimat,

eprasa.pl 3bd0b6e5e8

krajobraz i cywilizację życia codziennego, funkcjonujących w dodatku w warunkach powojennej niepewności, a niebawem potem – stalinowskiego terroru. Tokarczuk jednak z wyjątkową sprawnością odtwarza losy, doświadczenia i język każdego z rozbitków, którzy najpierw (to zgrabne zawiązanie powieści) szukają schronienia w ocalałej po walkach o Festung Breslau kamienicy, następnie zaś trafiają do kolejnych „miast na W", rzeczywistego Wałbrzycha i powieściowego Wygnanowa.

Oczywiście, w tej powieści, którą sama autorka uznała za swoją ostatnią (co, mam nadzieję, było pochopną deklaracją), „tokarczukizmów" jest pod dostatkiem: i wizji Życia, które przepływa jednym, ciepłym strumieniem przez ptaki, psy, grzyby, babcię, matkę i wnuczkę, i postmodernistycznego nawiązywania do innych dzieł literatury (w tym do legendarnej, zaginionej podczas wojny powieści Bruno Schulza), i mających chyba w zamierzeniu uwolnić opowieść od nadmiaru powagi żartów, i nieoczywistego narratora, i niewymuszonego, przyrodzonego chyba autorce dystansu do Kościoła.

Zarazem jednak, jeśli ktoś zechciałby przeczytać „Świata jest za dużo" jako „tradycyjną powieść historyczną" – nie będzie w żadnym razie rozczarowany, choć musi liczyć się ze wzruszeniami, jakich dostarcza sama opisywana epoka i materia. Olga Tokarczuk opisuje dramatyczne losy wracającej z sierocińca w rosyjskiej głubince Niny, ginących nad Nysą w niepotrzebnej bitwie żołnierzy II Armii, rozdzielonej zsyłką rodziny Horodeckich z brutalnym realizmem, ale też z ogromną delikatnością. Losy polskie, ale też „rusińskie", niemieckie, żydowskie, ba, greckie uderzają w tej powieści, której lekturę kończy się ze ściśniętym sercem i ze świadomością, że – jak śpiewał Przemysław Gintrowski – „wszyscy jesteśmy godni litości".

Olga Tokarczuk, „Świata jest za dużo", Wydawnictwo Literackie, Kraków 2026.



Agata Ingarden, „Pustelnik", 2026

Fot. Aurelienn Mole

Figle, liny, nadprzestrzenie

Rzeźba bywa uważana za najstarszą ze sztuk plastycznych – pewnie dlatego że najłatwiej o jej zachowanie. Paleolityczne grafiki, jeśli istniały, dawno obróciły się w popiół: figurki z Anatolii, gór Harzu i Bretanni cieszą nasze oczy. Potem zaś wiadomo: Egipcjanie, Sumerowie, Grecy, Rzymianie – i dwadzieścia kilka wieków posągów konnych i pieszych.

Można uznać, że po dwóch mileniach trochę się opatrzyły – i naprawdę trudno nie cieszyć się ze wszystkiego, co przyniósł w dziedzinie rzeźby awangardowy wiek XX, kwestionujący „realizm", sięgający po nowe kształty, materiały i perspektywy. Rozciągnięte wzdłuż zwierzęta Giacomettiego i owale Moore'a, abakany i smukłe głowy Brancusiego – cała „klasyka awangardy" XX wieku potrafi ucieszyć niejedno oko, w odróżnieniu od kolejnych wypełniających polskie miasta „ławeczek" z ludzkimi figurami naturalnej wielkości z patynowanego na mosiądz plastiku.

Czym można ucieszyć oczy na wystawie rzeźby najnowocześniejszej, otwartej w MSN w połowie października? Och, przede wszystkim rozszerzeniem „palety" (jaki jest odpowiednik „palety" w przypadku rzeźbiarstwa? Toolbox, „skład materiałów", róg obfitości?), substancji, po które sięgają artystki: fantastyczne mrożone szkło Gizeli Mickiewicz, fryz z blachy stalowej Zuzy Golińskiej, frapujące plandeki samochodowe, zaadaptowane przez Julię Crespo... Po wtóre zaś – wyobraźnia przestrzenna: „Tunelownica" Teresy Abboud naprawdę kapitalnie łączy ziarnistość oranżowej gliny ze stalowym korpusem, zaś „Pole napięć" Alexandry Hunts to ukryty, ale niewątpliwy hołd dla klasyka „kinetic art", Alexandra Caldera: stalowe liny i ceramiczne izolatory pozostają w stanie niepokojącej równowagi/napięcia. Równie chwiejna i postawiona na głowie (a właściwie na boku) jest spiralna klatka schodowa osnuta gazą, a „Pustelniki" Agaty Ingarden, zarazem „inżynieryjne" i organiczne, odsyłają i do Władysława Hasiora, i Józefa Szajny. „Fontanna piasku" Dominiki Olszowy to klasa sama dla siebie – paradoks przekazu, wyzwanie rzucone grawitacji – a w moich notatkach widzę też wykrzykniki przy „morskich szczątkach" Dominique White i „ukrzesłowieniach" Moniki Mays.

Jedna rada: proszę wstrzymać się z lekturą obszernych artystyczno-kuratorskich objaśnień, umieszczonych przy tych świetnych rzeźbach, albo przynajmniej pozostawić ją na drugie okrążenie zwiedzania. Z kilkudziesięciu rzeźb na wystawie do ekologii, kryzysu globalnego kapitalizmu, kolonializmu, queeru, wyczerpywania zasobów, łańcuchów dostaw, patriarchalizmu, przemocy symbolicznej, rasizmu i praw zwierząt nie odnoszą się dwie. A może trzy? Kartkuję notes: nie, jednak tylko dwie.

„Rzeźba po stabilności", Muzeum Sztuki Nowoczesnej, Warszawa, 16.10.2026 – 28.02.2027, kuratorzy Jagna Lewandowska, Szymon Maliborski.

eprasa.pl 3bd0b6e5e8



Wstyd jako antyteza WSTYDU

Proj. K. Karnkowski

Polska to kraj, w którym nie można się skompromitować – usłyszałam niedawno taką niepochlebną, acz boleśnie prawdziwą opinię o rodakach. Toteż nic dziwnego, że termin „wstyd” od co najmniej ćwierćwiecza **został wygumkowany** z naszego ogólnonarodowego słownika. A choć przecież emocja nie zniknęła, znaleziono na nią remedia. Kiedy proponowałam tekst o tym fenomenie, nie sądziłam, że – ze wstydem – wstrzelę się w najnowsze, najgorętsze wydarzenia w Polsce.

Monika Małkowska

Dawno już nikt nie rumieni się za nic, jednak wstyd istnieje. W mediach społecznościowych niezliczoną ilość razy nakłania się kogoś do odczuwania zażenowania za jakieś niezręcznie sformułowane zdanie, za obciachowy wygląd, za poglądy nie takie, jakie dane stado wyznaje. Ale żeby naprawdę ktoś się zawstydził z racji zrobienia czegoś naprawdę niestosownego, coś sobie uświadomił? Nic z tych rzeczy. Im bardziej łamiemy prawo moralne, tym bardziej idziemy w zaparte. Zanik odczucia wstydu dotyka coraz większej grupy osób, zwłaszcza tych na świeczniku. Ci pozycjonowani najwyżej na drabinie społecznej najrzadziej odczuwają zażenowanie, nawet przyłapani na łgarstwie, nepotyzmie czy malwersacji. Tak jakby wszelkie szwindle i wypaczenia, które naszych przodków przyprawiały o nieprzyjemne „wyrzuty sumienia” (a w ich konsekwencji uczucie wstydu), wygubiły swe negatywne konotacje i przeszły na jasną stronę mocy. Wszystko zależy od tego, jak co się zinterpretuje. Vivat relatywizm! Vivat nihilizm!

eprasa.pl 3bd0b6e5e8

Klęska, czyli sukces

To, co zdarzyło się pod, w i wokół Trybunału Konstytucyjnego w ostatni październikowy wieczór i noc poprzedzającą dzień Wszystkich Świętych, niektórzy obserwatorzy nazywają wstydem i hańbą. Nawet pomiędzy policjantami ściągniętymi z całego kraju do „zabezpieczania" akcji są tacy, którzy poczuli, że uniemożliwienie prezydentowi wstępu do budynku jest dla nich dyshonorem. Jednak nasi prominentni politycy, którzy doprowadzili do wiadomej konfrontacji, żadnego psychiczno-emocjonalnego dyskomfortu nie odczuwają. Czego to jest efekt? Po pierwsze, głębokiego „przeorania" etycznego, jakie dokonało się u nas w wyniku transformacji po 1989 r. W tym czasie nauczono nas metod przełamywania wstydu i przerabiania go na konstruktywne uczucia. Pracują nad tym całe rzesze coachów, shrinków, terapeutów i osobistych trenerów. Kierunek wskazał Fryderyk Nietzsche w „Zmierzchu bożyszcz" (1888), sugerując, że „co nas nie zabija, czyni nas silniejszymi". Taaa... tylko Nietzsche próbował dojść do tego, jakie zasady i obyczaje krępują prawdziwą, nową, „czystą" moralność. Tymczasem współczesna psychoterapia w ogóle neguje tradycyjną aksjologię. Stawia na egoizm, wygodnictwo i dbanie o własny interes. Przede wszystkim trzeba nauczyć się samoakceptacji, wytrenować asertywność i poszerzyć granice własnego (emocjonalnego) komfortu. Powtarzajcie za mną: byliśmy źli i słabi, ale przeszliśmy cudowną metamorfozę. Wstyd – bo to jest nasz dzisiejszy temat – nie jest ani dobry, ani zły. Jest po prostu potrzebny, żeby nauczyć się akceptować siebie i ukształtować wyłącznie pozytywną samoocenę. I każdy negatywny wstrząs można przekuć na sukces.

„Mefistofeles mógłby mu czyścić buty"

Powyższe zdanie to cytat z Joachima Brudzińskiego, który tak postrzegał Donalda Tuska już w 2020 r. Tusk bystrzejszy niż Mefisto? Już samo zestawienie wydaje się zbyt pochlebne dla naszego premiera. Upadły anioł (czy Tusk kiedykolwiek śmigał tak wysoko?) został rozsławiony w wielu dziełach literackich i dramatach, także w popkulturze (opera, film, komiks). Mefistofeles chce pociągnąć za sobą inne dusze, imając się najbardziej wyrafinowanych podstępów. Tusk apeluje do najniższych instynktów swych „wyznawców" – do strachu, chciwości, podatności na występek i... wyzbycie się wstydu. Krótko mówiąc, sam głęboko amoralny, demoralizuje otoczenie.

Zastanówmy się, kiedy, w jakich okolicznościach Tusk przyswoił sobie demoniczne cechy? Otóż w 2005 r., gdy przegrał wybory prezydenckie, zatrudnił psycholożkę i trenerkę umiejętności społecznych Natalię de Barbaro i poddał się sugestiom (czytaj: metodom manipulacyjnym) tejże trenerki psychologicznej. To ona sprawiła, że stał się bezwzględnym, nastawionym na cel i zadania politykiem. To ona go przekonała, że tylko głęboki społeczny podział, agresja i wzbudzanie nienawiści, a także bezczelne zaprzeczanie „oczywistym oczywistościom" dadzą mu zwycięstwo. To ona nakierowała go na wzbudzanie pogardy wobec tych, którzy nie maszerują w zwartym szyku „miliona serc". W wyniku tej „kuracji" Tusk nabrał przekonania, że nie ma polityków uczciwych i pracujących dla dobra Ojczyzny – a on w implementowaniu bezprawia musi być najlepszy.

> WSPÓŁCZESNA PSYCHOTERAPIA W OGÓLE NEGUJE TRADYCYJNĄ AKSJOLOGIĘ. STAWIA NA EGOIZM, WYGODNICTWO I DBANIE O WŁASNY INTERES.

Terminy zastępcze

Jak powiedziałam, współcześni terapeuci znaleźli sposoby, żeby „przepracować" wstyd, przełamać go, pokonać, a w końcu wyeliminować. Zauważmy – dziś powiedzieć komuś, że powinien się wstydzić, wcale danej osoby nie krępuje. Bardziej bolą określenia kolokwialne, lecz znaczeniowo mocniejsze: obciach, wiocha, siara, przypał, wtopa. Dlaczego te terminy chłoszczą dotkliwiej? Bo uderzają w ego, wstyd zaś ma konotacje moralne. Wstyd – ten tradycyjnie pojmowany, niedeklarowany na Facebooku czy X – może zwiększać samoświadomość, skłaniać do refleksji, uczyć szacunku do innych, rozwijać empatię. Może też mieć wartość moralną. Tylko... co to dziś znaczy? Jeśli Boga nie ma, to wszystko wolno – trwożył się Fiodor Dostojewski w „Braciach Karamazow". A jeśli kto Boga nie ma w swoim sercu, ten odrzuca porządek moralny – głosi Biblia. Tymczasem wyznawcy nowego, lepszego świata głoszą, że Boga nie ma, prawdy nie ma, grzechu nie ma, wstydu nie ma, śmierci nie ma... Tworzona jest iluzja rzeczywistości, w której każdy może bytować w dobrostanie, o ile wyzbędzie się takiej drobnostki jak sumienie.

eprasa.pl 3bd0b6e5e8

I zamieni tę „obsoletkę" na metafizyczną pustkę, nawet nie zauważając, że unieważnia w sobie ponad dwutysiącletnie aksjologiczne trudy wielu pokoleń, dążących do tego, żeby słowo „człowiek" brzmiało dumnie.

Dobrostan przez konflikt

Jest jeszcze jeden sposób, żeby zamiast wstydu ludzie poczuli satysfakcję ze swych nieprawych poczynań: wmówić im, że tak czy siak są tymi lepszymi. A pozostali to mierzwa, głupki, nikty. Tusk gra tym podziałem po mistrzowsku. Żadna nówka. Dziel i rządź – to starożytna rzymska maksyma polityczna. Stosowana przez wielu władców, podsycających rywalizację i ambicje wśród dworskich dostojników, dowództwa wojska, notabli, a także szeregu artystów. Rządy Tuska sprawiły, że w III RP zamieszkują dwa wrogie plemiona, bez szans na wywieszenie białej flagi nawet w obliczu zagrożeń. Żeby podtrzymywać stan wrzenia, naszym guwernerom potrzebne są instrumenty oddziałujące na zbiorowe emocje: mediaworkerzy. Dziennikarze zatrudnieni w mediach przejętych w grudniu trzy lata temu (też tuż przed świętami, stara sowiecka metoda) nie obawiają się tych, którzy zarzucają im służalczość. Idą w zaparte, bo wszyscy wiedzą, że „słowo przeciw słowu" stawia znak równości między prawdą a kłamstwem. To oni, redaktorzy-funkcjonariusze, są współodpowiedzialni za podział społeczeństwa. To oni współtworzą fałszywy obraz Polski, po PiS-owskiej zapaści „ratowanej" przez załogę Tuska. I tu mam do nich pretensję – choć podjęli się odpowiedzialnych propagandowych funkcji, noszą się jakby prywatnie. Według mnie w przełomowym czasie wszyscy dziennikarze „na służbie" powinni wizualnie manifestować swe przekonania. Byłoby to subtelne a czytelne nawiązanie do tradycji stanu wojennego, gdy ówcześni prezenterzy „Dziennika Telewizyjnego" nie wstydzili się strojem wyrazić afirmację dla generała Jaruzelskiego.

Murem za mundurem

Od 13 grudnia 1981 r. prowadzący rządowy „Dziennik Telewizyjny" (byli to tylko mężczyźni) pojawiali się na wizji przyodziani w mundury Ludowego Wojska Polskiego. Ideę tę zaimplementował w TVP redaktor Marek Tumanowicz. Inni przystali na to z entuzjazmem. Uniformy miały symbolizować zgodę na stan wojenny, rzekomo przywracający w kraju ład, rygor i porządek. Na taki pomysł Tumanowicz wpadł przed emisją pierwszego „Dziennika" w stanie wojennym i wówczas wydawał się znakomity. Już bardziej przypodobać się Jaruzelskiemu nie mógł, koledzy zaakceptowali tę wiernopoddańczą akcję, więc sukces! Niestety, widzowie byli odmiennego zdania. Prezenter dorobił się ksywki „tuman", a co więcej mundur wlókł się za nim przez długie lata. Po wyborach parlamentarnych 1991 Tumanowicz dostał wypowiedzenie w telewizji. Potem, jak inni „redaktorzy mundurowi", mierzył się z zawodowym ostracyzmem. Długo nie mógł znaleźć żadnej pracy, trzykrotnie był na zasiłku, aż w końcu zatrudnił się jako ochroniarz, a później stróż nocny.

Nieubrani

W jakich uniformach mogłyby występować medialni rządowi orędownicy? Trudno byłoby narzucić ujednolicony strój takim indywidualistkom jak Aleksandra Pawlicka, Renata Grochal, Dorota Wysocka-Schnepf, Justyna Dobrosz-Oracz, Eliza Michalik. Ale mam pomysł: białe koszulo-bluzki, krój dowolny. Moim zdaniem przypinka w kształcie konturu serca jest zbyt spauperyzowana. Radzę sięgnąć po czerwoną chustę lub krawat, ten najbardziej uniwersalny „paszport" w całym lewackim świecie. Tu przypomnę – w okresie największego komunistycznego wzmożenia w PRL-u (lata 1948–1956) oficjalnym strojem zetempowca-aktywisty, bezkrytycznie popierającego linię partii, była biała koszula zwieńczona jaskrawoczerwoną chustą bądź krawatem. Poza historycznym nawiązaniem, byłby to mocny sygnał psychologiczny. Obecnie wśród ludzi polityki i biznesu czerwony „zwis męski" (zwany „krawatem władzy") wyraża pewność siebie, determinację, dynamikę i charyzmę. Apeluję więc: nie wstydźcie się pokazać, w jakim kolorze macie serca. Bo po której stronie, to wiadomo.

POWIEDZIEĆ KOMUŚ, ŻE POWINIEN SIĘ WSTYDZIĆ, WCALE DANEJ OSOBY NIE KRĘPUJE. BARDZIEJ BOLĄ OKREŚLENIA KOLOKWIALNE, LECZ ZNACZENIOWO MOCNIEJSZE: OBCIACH, WIOCHA, SIARA, PRZYPAŁ, WTOPA.

eprasa.pl 3bd0b6e5e8

To ważne, żeby przekazywać dzieciom SWOJE WARTOŚCI

AUTORSKIE KOSZULKI ZWIĄZANE
Z TEMATYKĄ SOLIDARNOŚCI
LUB KOSZULKI Z LOGO ZWIĄZKU
ZNAJDZIESZ NA
WWW.SOLIDARNOSC.SKLEP.PL



WWW.SOLIDARNOSC.SKLEP.PL

eprasa.pl 3

HISTORIA

Kartka z kalendarza. **10 LISTOPADA** zdarzyło się:

1905 – car Mikołaj II Romanow wprowadził stan wojenny w Królestwie Polskim;

1980 – zarejestrowano NSZZ „Solidarność”;

1997 – na Białorusi organizacje opozycyjne ogłosiły tzw. Kartę'97.



Wojciech Kossak, „Orlęta – obrona cmentarza”, 1926 r.

Fot. Wikimedia Commons

LWÓW – zawsze wierne polskie miasto

Był 22 listopada 1920 r., gęsty tłum wypełniał okolice pomnika Adama Mickiewicza oraz pobliskie ulice. U stóp pomnika wieszcza odbyła się msza polowa, a po niej uroczyste nadanie orderu **Virtuti Militari** zawsze wiernemu miastu.

Sebastian Reńca

eprasa.pl 3bd0b6e5e8

Padły armatnie salwy, a Józef Piłsudski powiedział w czasie uroczystości: „Za zasługi położone dla polskości tego grodu i jego przynależności do Polski mianuję miasto Lwów kawalerem Krzyża Virtuti Militari”.

Kilka godzin później, w czasie uroczystego spotkania w ratuszu, Piłsudski powiedział w kierunku zebranych:

– Lwów! Któreż polskie serce nie drgnie na to miano.

Moje drga.

Na mieście strzały

Był poranek 1 listopada 1918 r. Wacław Lipiński, peowiak, legionista i piłsudczyk, został zbudzony gwałtownym dobijaniem się do drzwi mieszkania, w którym zatrzymał się po przybyciu do Lwowa. Jakiś mężczyzna krzyczał: „Panie kolego, panie kolego! Proszę natychmiast wstawać. Ukraińcy zajęli miasto!”. Lipiński wyskoczył z łóżka. Ubierając się, chłonął wieści z miasta wykrzykiwane przez łącznika: „W nocy zajęto ratusz, sejm, pocztę, na mieście samochody pancerne... Na mieście strzały, walka...”.

Na ulicach Lwowa pojawiły się plakaty z tekstem w języku polskim i niemieckim:

„Wolą ukraińskiego narodu utworzone zostało na ziemiach ukr. b. austro-węgierskiego państwa państwo ukraińskie.

Najwyższą władzą państwową ukr. państwa jest ukraińska rada narodowa. Z dniem dzisiejszym ukr. rada narodowa objęła władzę w stołecznym mieście Lwowie i na całym terytorium ukraińskiego państwa.

Dalsze zarządzenia wydadzą cywilne i wojskowe organa ukr. rady nar. Wzywa się ludność do spokoju i posłuchu tym zarządzeniom. Pod tym warunkiem bezpieczeństwo publicznego porządku, życia i majątku, jak też zaopatrzenie w żywność poręcza się w zupełności”.

Tekst podpisała Ukraińska Rada Narodowa.

Ukraińska Rada wsparta przez żołnierzy zajęła gmachy publiczne, dworzec kolejowy, gmach pocztowy, ratusz. Dostępu do budynków broniło uzbrojone wojsko, a na ich dachach wywieszono żółto-niebieskie flagi. Na mieście stanęły tramwaje. Patrole ukraińskich żołnierzy rozbrajały Polaków. Ukraińcy również zaczęli strzelać do tych, którzy ich ignorowali, byli zabici i ranni.

Tego dnia wieczorem jedynie tylko lwowskie śródmieście było oświetlone, boczne ulice tonęły w cieniach. Wieczorem ruch we Lwowie ustał. Ulice opustoszały, a w oknach nie palono świateł. Od czasu do czasu ciszę przerywały strzały karabinowe.

Ataman Dmytro Witowski, mianowany przez ukraińską Radę komendantem miasta, ogłosił we Lwowie stan oblężenia, a to oznaczało zakaz zgromadzeń, godzinę policyjną od godz. 18. Ponadto Ukraińcom należało oddać wszelką broń. Polacy broniący swego miasta jej nie oddali...

GDY USTAŁY WALKI, MATKA SZUKAŁA SYNA PRZEZ DWA MIESIĄCE. NAGIE ZWŁOKI SYNA ZNALAZŁA W KOŃCU W ZBIOROWEJ MOGILE, SKĄD PRZENIESIONO EMILA KUHNA NA CMENTARZ OBROŃCÓW LWOWA.

Dworzec jak Termopile

Dworzec kolejowy opanowany przez Ukraińców był jednym z kluczowych miejsc we Lwowie. Po pierwsze, miały się tam znajdować ogromne zapasy wszystkiego, co było potrzebne obrońcom miasta, którzy przeciwstawili się ukraińskim uzurpatorom. Po drugie, mając dworzec, można było słać pociągi na zachód, a stamtąd na wschód, chociażby z posiłkami.

W nocy z 2 na 3 listopada rozpoczęły się walki z Ukraińcami o strategiczne kolejowe miejsce, toczone przez porucznika Jana Schramma i jego garstkę ludzi. Dworzec lwowski to labirynt korytarzy, pokojów, schowków oraz torów i wagonów. Trzeba walczyć z wrogiem na bliską odległość. Dlatego Polacy atakowali, nie tylko strzelając do wroga, ale również rażąc go granatami, a miejscami walka szła na bagnety. „Ukraińcy przez trzy dni i trzy noce nie ustawali w kontratakach, gwałtownych wypadach, lecz garstka rozjuszonych obrońców trzymała się zajadle. Szły stamtąd nieustanne łomoty ręcznych granatów, trzask karabinów maszynowych, nieregularny gruchot zwykłego ognia” – wspominał Wacław Lipiński w książce zatytułowanej „Wśród lwowskich orląt”.

Schrammowi trzeba było iść z pomocą. Lipiński znalazł się wśród tych, którzy wsparli polskich obrońców dworca. W drodze na dworzec trzeba było biec skokami, od kamienicy do kamienicy, od bramy do bramy, a pociski karabinowe łomotały o mury, rozsypując tynk i fragmenty cegieł. W końcu Lipiński i reszta wpadli do budynku, w którym „rozbite szkło zgrzyta pod nogami. Powyrywane ramy okienne, potrzaskane długie lady bufetowe, połamane wysiedziane kanapy. Drobna zieleń rozsypanych biletów, jakieś papiery, bezładem pośpiechu porozrzucane, szeleszczą na kamiennych, zbrukanych posadzkach”. Co jakiś czas słychać było pojedynczy strzał lub serię. Ktoś gdzieś przemknął niespodziewanie.

eprasa.pl 3bd0b6e5e8

Obrońcy dworca z radością przyjęli posiłki, bo walki z Ukraińcami nie były łatwe, nawet dla ludzi obeznanych z wojną, czyli dla byłych legionistów, tych, co walczyli na frontach rosyjskim czy włoskim. Jednak

Gdy ustały walki, matka szukała syna przez dwa miesiące. Nagie zwłoki syna znalazła w końcu w zbiorowej mogile, skąd przeniesiono Emila Kuhna na Cmentarz Obrońców Lwowa.

ANTOŚ PETRYKIEWICZ, URODZONY W ROKU 1904, POLEGŁ W STYCZNIU 1919 R., JAK INNE ORLĘTA – DZIECIAKI, KTÓRE CHWYCIŁY ZA BROŃ, BY WALCZYĆ O SWOJE MIASTO.

Ukraińcom nie udało się przełamać oporu Polaków, którzy obsadzili dworzec kilkoma plutonami dysponującymi karabinami maszynowymi i miotaczami min. Dworzec stał się niezdobytą twierdzą. W tym momencie – jaki pisał Lipiński – „zapał obrońców Lwowa zestokrotniał".

Zapał Polaków zestokrotniał, a nienawiść Ukraińców do nich jeszcze bardziej urosła. Bo to nie było też tak, że Ukraińcy strzelali, bronili się, atakowali. Im to nie wystarczyło, również mordowali...

Emil Kuhn był żołnierzem od 1914 r. Miał 17 lat, gdy wstąpił do Legionu Wschodniego, a gdy trzeba było bronić Lwowa, zaczął przerzucać do miasta tych, którzy chcieli go bronić. Ktoś go wsypał i trafił w łapy Ukraińców. „Przetrzymany całą noc w celi więziennej, stanął przed komisją śledczą, podczas badania katowano go okrutnie, następnie wyprowadzono na podwórze, ustawiono pod ścianą; padł strzał, skazaniec osunął się na ziemię, a żołnierz ukraiński dobił go wystrzałem z rewolweru" – czytamy w księdze „W obronie Lwowa i Kresów Wschodnich" z 1926 r.

Polskie Orlątka

Kiedy w mglisty i chmurny niedzielny poranek, 10 listopada 1918 r., o godzinie 7 na Dworzec Wiedeński w Warszawie wtoczył się specjalny, jednowagonowy pociąg z Berlina z Józefem Piłsudskim, we Lwowie trwały walki... Kiedy dzień później po Warszawie rozeszła się wiadomość o powrocie Józefa Piłsudskiego z Magdeburga, we Lwowie trwały walki...

W tamten poniedziałek Piłsudski, widząc przez okno tłumy, wyszedł do nich na balkon i przemówił:

– Obywatele! Warszawa wita mnie po raz trzeci. Wierzę, że zobaczymy się niejednokrotnie w szczęśliwszych jeszcze warunkach. Zawsze służyłem i służyć będę życiem swoim, krwią ojczyźnie i ludowi polskiemu. Witam was krótko, gdyż jestem przeziębiony – bolą mnie gardło i piersi.

JERZY BITSCHAN WYSZEDŁ Z DOMU, NAPISAŁ LIST: „KOCHANY TATUSIU! IDĘ DZISIAJ ZAMELDOWAĆ SIĘ DO WOJSKA. CHCĘ OKAZAĆ, ŻE ZNAJDĘ NA TYLE SIŁ, BY MÓC SŁUŻYĆ I WYTRZYMAĆ".

Gdy ludzie słuchali, co do nich mówi przyszły naczelnik i marszałek, we Lwowie trwały walki... Kiedy w Warszawie, Krakowie i innych miastach Polacy rozbrajali swoich zaborców i świętowali niepodległość, we Lwowie trwały walki...

Bo to nie było tak, że 11 listopada 1918 r. Polska odzyskała niepodległość i niczym w bajce wszyscy żyli długi i szczęśliwie. Nie, tamta bajka, w której odradza się Polska po ponad 100 latach niewoli, tylko się zaczęła, ale jeszcze nie skończyła. Przed nami były jeszcze powstania w Wielkopolsce i na Śląsku, wojna z bolszewicką Rosją, która chciała przejść na zachód „po trupie białej Polski", by nad Wisłą, Szprewą i Sekwaną rozpętać pożogę. W końcu trzeba było się jeszcze bić o Wilno, jedno z dwóch arcypolskich miast, bez których nie wyobrażano sobie odrodzonej Rzeczypospolitej. Tym drugim arcypolskim miastem był oczywiście „semper fidelis" Lwów.

Tak, to miasto było wierne, dlatego ta łacińska maksyma musiała znaleźć się na cmentarzu tych, którzy bronili miasta przed Ukraińcami. Na tej świętej polskiej nekropolii spoczywa m.in. Antoni Petrykiewicz. „Szeregowiec Petrykiewicz, uczeń II klasy gimnazjalnej, zgłosi się w pierwszym dniu walk do mego Oddziału. Niestrudzony obrońca Góry Stracenia przedziera się częstokroć przez linie nieprzyjacielskie, przynosząc pewne wiadomości wywiadowcze. We wszystkich walkach ulicznych bierze udział. Zginął w bitwie pod Persenkówką, osłaniając w tylnej straży prawe skrzydło

eprasa.pl 3bd0b6e5e8

własnego Oddziału” – napisał jego dowódca major Roman Abraham we wniosku o odznaczenie małego żołnierza orderem Virtuti Militari. To było 6 listopada 1920 r.

Piętnaście lat później Abraham, wspominając na łamach „Polski Zbrojnej” obronę Lwowa w 1918 r., pisał nie tylko o Antosiu, urodzonym w roku 1904, a poległym w styczniu 1919 r., ale również o innych Orlętach. Dzieciakach, które chwyciły za broń, by walczyć o swoje miasto. To właśnie był patriotyzm, to była odwaga.

Abraham zobaczył ich u zbiegu ulic Leona Sapiehy i św. Teresy, gdy przedzierał się lwowskimi zaułkami ze swymi żołnierzami w kierunku ulicy Gródeckiej. Żołnierze rzucili się na pomoc trzem chłopcom w uczniowskich mundurkach. W pewnym momencie major Abraham zobaczył, że ciężarówka ostrzeliwana przez Orlęta zatrzymała się, a z szoferki wyskoczył kierowca. Ukraińscy żołnierze siedzący do tej pory na pace, gdy zrozumieli, że znaleźli się pod ostrzałem, zaczęli zeskakiwać na ulicę i chować się w bramach.

„Trudno opisać uczucie, jakie mnie wówczas przejęło na widok zwycięskich uczniów – tych młodziutkich bojowców lwowskich, zdobywających samotrzeć ukraiński samochód i pędzących przed sobą wielokrotnie liczniejszego przeciwnika”. Pisał to frontowiec, oficer, który w armii austro-węgierskiej walczył na frontach: francuskim, rumuńskim, rosyjskim, serbskim i włoskim. Pisał to mężczyzna, który miał łzy w oczach na tamto wspomnienie. Zanim 20 listopada 1918 r. Jerzy Bitschan wyszedł z domu, napisał list: „Kochany tatusiu! Idę dzisiaj zameldować się do wojska. Chcę okazać, że znajdę na tyle sił, by móc służyć i wytrzymać. Obowiązkiem też moim jest iść, gdy mam dość sił, a wojska braknie ciągle dla oswobodzenia Lwowa. Z nauk zrobiłem już tyle, ile trzeba było. Jerzy”. Jerzyk miał tyle samo lat, co Antoś. Ten uczeń zgłosił się na ochotnika do służby na moście kulparkowskim i poszedł w bój... Pierwszy i ostatni.

Pociski wystrzelone przez ukraińskiego uzurpatora dosięgły małego Jurka na Cmentarzu Łyczakowskim. Tam polscy obrońcy trafili pod krzyżowy ogień. Pociski zaczęły przecinać powietrze, rozbijać nagrobki, wwiercać się w stare drzewa, trafiać obrońców miasta, nie ominęły również Orlątka. Jerzyk skulił się za jednym z pomników, ale to nic nie dało. Został trafiony w obie nogi. Ukraiński ogień był tak silny, że nie dało się go stamtąd wyciągnąć. Jeden z żołnierzy próbujący to zrobić, zginął, a drugi został ranny. Polacy się wycofali, uprzednio okrywając ciało czternastolatka płaszczem.

Na drugi dzień ojciec odnalazł zwłoki syna. Jerzy Bitschan został pochowany przy salwie z armat i karabinów. Po ekshumacji jego szczątki zostały złożone w krypcie katakumby III na Cmentarzu Obrońców Lwowa.

SĄ TYLKO DWA POLSKIE MIASTA UHONOROWANE ORDEREM VIRTUTI MILITARI: WARSZAWA – ZA OBRONĘ STOLICY W 1939 R. PRZED NIEMCAMI, I LWÓW – ZA OBRONĘ MIASTA PRZED UKRAIŃCAMI W ROKU 1918.

Warszawa i Lwów

Są tylko dwa polskie miasta uhonorowane orderem Virtuti Militari: Warszawa – za obronę stolicy w 1939 r. przed Niemcami, i Lwów – za obronę miasta przed Ukraińcami w roku 1918.

Teraz rozumiecie, dlaczego Cmentarz Orląt został zdewastowany w czasach sowieckiej Ukrainy? Dopiero na przełomie XX i XXI wieku można go było odbudować, choć nie do końca tak, jak życzyłaby to sobie strona polska. Dlatego czasami robiono to, omijając ukraińskie wytyczne. Sam byłem tego świadkiem w czerwcu 2005 r., gdy widziałem, jak nasi konserwatorzy zakrywali gipsem polskie napisy. W momencie uroczystego otwarcia odbudowanej nekropolii, z udziałem prezydentów Polski i Ukrainy, nie było ich widać, ale później, po pierwszym deszczu...

Nie przez przypadek dokładnie 10 lat temu Ukraińcy zabudowali ordynarną dyktą lwy stojące przed Łukiem Chwały, bo mają „antypaństwowy charakter”. Przez sześć lat polskie lwy były schowane. Płyty wiórowe zdemontowano dopiero w 2022 r., już po ataku Rosji na Ukrainę.

Jednak Łyczaków to nie tylko Cmentarz Orląt, to tysiące grobów świadczących o polskiej przeszłości i historii Lwowa. Każdy, kto był na tym cmentarzu, widział na własne oczy, ile nagrobków jest zdewastowanych. Ani wiatr, ani grad nie zrywają polskich napisów, ale robią to ludzie, a mówiąc dokładniej – wredna ukraińska dłoń uzbrojona w młotek i przecinak.

eprasa.pl 3bd0b6e5e8

CO W ZWIĄZKU

NSZZ Solidarność

MARCIN KRZESZOWIEC

Solidarność czuwa pod Trybunałem



Fot. M. Żegliński

Miasteczko namiotowe przed siedzibą Trybunału Konstytucyjnego przy alei Szucha powstało 12 września. Protestujący zaczęli gromadzić się tam w obawie przed siłowym przejęciem Trybunału Konstytucyjnego. Do przedstawicieli m.in. Klubów Gazety Polskiej, Ruchu Obrony Granic i Wolnych Republikanów dołączyli 15 października członkowie NSZZ „Solidarność”. Związkowcy z Solidarności od niemal czterech tygodni dyżurują codziennie pod siedzibą TK.

Do przesilenia doszło 30 października, gdy wybrana przez Sejm na sędziego TK Anna Korwin-Piotrowska wydała zarządzenie o natychmiastowej przerwie w czynnościach sędziego prezesa Bogdana Święczkowskiego i wiceprezesa Bartłomieja Sochańskiego, a także ogłosiła, że to ona teraz kieruje pracami Trybunału, zastępując jego prezesa.

Na terenie TK pojawiła się wówczas policja, a prezydent Karol Nawrocki przerwał swoją podróż do Senegalu. Po powrocie do kraju prezydent wszedł do siedziby Trybunału. Do budynku Policja nie wpuściła jednak prezesa TK Bogdana Święczkowskiego.

– Wiedzieliśmy, że przyjdzie ten dzień, w którym druga strona będzie parła do konfrontacji – mówił wówczas pod TK przewodniczący Solidarności. – I dzisiaj właśnie nastał ten dzień, dzień próby. My tę próbę musimy wygrać – zaznaczył. W związku z tymi wydarzeniami Solidarność wzmocniła dyżury pod Trybunałem Konstytucyjnym.

W zeszłym tygodniu do stolicy przyjechali działacze Solidarności m.in. z Regionów Rzeszowskiego, Toruńsko-Włocławskiego, Łódzkiego czy Małopolskiego. Pod TK byli też związkowcy z Gdańska z przewodniczącym Krzysztofem Dośla, który mówił, że członkowie Solidarność szykują się już na kolejny wyjazd do Warszawy 11 listopada.

– Dopiero wczoraj formalnie ogłosiliśmy, że zbieramy chętnych na wyjazd na Marsz Niepodległości do Warszawy, a już od południa rozdzwoniły się telefony od osób, które chcą z nami pojechać. Jest zapał – podkreślił.

Solidarność w tym roku – po raz pierwszy oficjalnie i pod własnymi flagami – weźmie udział w Marszu Niepodległości i przeprowadzi tam zbiórkę podpisów pod referendum ws. Zielonego Ładu.

eprasa.pl 3bd0b6e5e8


Fot. M. Żegliński

„Ludzie chcą przyjechać do Warszawy, być tu i wesprzeć protestujących przed Trybunałem, bo to tu jest teraz Polska”.

Piotr Duda, szef „S”, o Marszu Niepodległości, wPolsce24.pl, 4 listopada br.

SĄDOWE ZABEZPIECZENIE DZIAŁA

Przewodnicząca Organizacji Oddziałowej NSZZ „Solidarność” w Kaufland Polska Markety – Region Śląsk Opolski uzyskała sądowe zabezpieczenie umożliwiające jej powrót do pracy – przekazała opolska Solidarność.

Związkowcy poinformowali, że w wydanym postanowieniu sąd wskazał na bezzasadność zwolnienia przewodniczącej Janiny Książek.

To ważna wiadomość nie tylko dla samej przewodniczącej, ale również dla całej naszej solidarnościowej wspólnoty. Potwierdza, jak istotne jest konsekwentne dochodzenie swoich praw oraz wsparcie osób zaangażowanych w działalność związkową – napisano na stronie Regionu Śląsk Opolski NSZZ „Solidarność”.

Warto przypomnieć, że wprowadzenia przepisów dotyczących zabezpieczenia sądowego domagała się Solidarność. W czerwcu 2023 roku przewodniczący „S” Piotr Duda i ówczesny premier Mateusz Morawiecki podpisali porozumienie, które zakładało wprowadzenie takich zmian w Kodeksie postępowania cywilnego. Zwiększona ochrona pracowników szczególnie chronionych przed zwolnieniem zaczęła obowiązywać we wrześniu 2023 roku.

SOLIDARNOŚĆ PAMIĘTA

Parę dni przed Dniem Zadusznym wiceprzewodniczący Solidarności Grzegorz Adamowicz zapalił znicze i złożył kwiaty na grobach „Inki” i „Zagończyka” – Żołnierzy Niezłomnych, których ciała spoczywają na Cmentarzu Garnizonowym w Gdańsku. Udał się także na Cmentarz Srebrzysko, na którym pochowana jest Matka Solidarności Anna Walentynowicz, do Bazyliki Świętej Brygidy – na miejsce pochówku ks. prałata Henryka Jankowskiego – oraz do Kościoła Mariackiego, w którym spoczął były marszałek Sejmu Maciej Płażyński.

NOWI CZŁONKOWIE

W ostatnich tygodniach do związku zawodowego Solidarność dołączyły nowe organizacje związkowe. W Rudzie Śląskiej do Związku zapisali się pracownicy spółki LEIBER Poland GmbH. W szeregi „S” wstąpiło już blisko 20 procent załogi. Wcześniej nie działał tam żaden związek.

– Do tej pory mieliśmy jedynie przedstawicieli załogi, ale ten model nie do końca się sprawdzał. Wprawdzie udało się kilka lat temu wynegocjować podwyżki, ale była też taka sytuacja, w której przedstawiciele pracowników nie zgodzili się na rozwiązania proponowane przez pracodawcę, a one i tak weszły w życie. Reprezentacja pracowników nie ma takiej siły przebicia, jak związek zawodowy – powiedział Piotr Kurek, lider „S” w zakładzie, cytowany przez śląsko-dąbrowską „S”.

Z kolei w Regionie Środkowo-Wschodnim Solidarność zawiązała się w firmie Modern-Expo. To międzynarodowe przedsiębiorstwo technologiczne projektujące i produkujące systemy wyposażenia dla handlu detalicznego i logistyki ostatniej mili. Oferuje m.in. regały magazynowe, boksy kasowe, terminale paczkowe czy wyposażenie chłodnicze.

– Szczególnie cieszy fakt, że po pierwszych spotkaniach z pracodawcą zapowiada się harmonijna współpraca oparta na partnerskich zasadach. Otwarcie na dialog społeczny zawsze pozytywnie wpływa na rozwój przedsiębiorstwa i zadowolenie pracowników – skomentował przewodniczący Regionu Ireneusz Pszczoła.

M.K.

Kalendarium

Solidarności

10.11.1980 – NSZZ „Solidarność” zostaje zarejestrowana przez Sąd Najwyższy (w drodze kompromisu przyjęto oryginalny statut z aneksem zawierającym fragmenty konwencji Międzynarodowej Organizacji Pracy oraz zapis o kierowniczej roli partii);

10.11.1983 – w rocznicę rejestracji „S” przed Sądem Wojewódzkim w Warszawie odbywają się demonstracje;

15.11.1989 – Lech Wałęsa przemawia w Kongresie USA. Swoje wystąpienie rozpoczął słowami: „My, naród...” zaczerpniętymi z preambuły konstytucji USA.

eprasa.pl 3bd0b6e5e8

Co jest grane w „Bogdance”?

Związkowcy z lubelskiej kopalni chcą wiedzieć, co czeka pracowników i ich rodziny po likwidacji „Bogdanki”. Odpowiedzi na to pytanie domagają się od szefa Ministerstwa Aktywów Państwowych, dlatego **pod koniec października rozpoczęli protest** w siedzibie Zarządu firmy. – Nie chcemy już słuchać obietnic. Chcemy konkretu na piśmie i to popartego działaniem rządu – mówi nam Mariusz Romańczuk, przewodniczący Solidarności w „Bogdance”.

Marcin Krzeszowiec

Kopalnia Lubelski Węgiel „Bogdanka” to perła gospodarcza Lubelszczyzny. W zeszłym roku wydobyto tu 7,6 mln ton węgla kamiennego, który trafił niemal całkowicie do energetyki zawodowej, czyli dużych podmiotów, takich jak elektrownie w Kozienicach i Połańcu.

Fedrowanie może potrwać tu nawet do 2049 roku – taka data widnieje w umowie społecznej dla górnictwa węgla kamiennego podpisanej 5 lat temu przez rząd, związki zawodowe, gminy górnicze i zarządy spółek górniczych.

Lubelska kopania należąca do Grupy Enea jest jednym z największych pracodawców w województwie – żyje z niej 6 tys. pracowników, nie licząc firm zewnętrznych. Stąd tak silne obawy o przyszłość zakładu i postępującą transformację energetyczną. Górnicy i ich rodziny zastanawiają się, czy w przyszłości, gdy zabraknie „Bogdanki”, uda się im znaleźć równie dobrze płatne miejsca pracy w regionie.

Protest związków

Od 26 października cztery związki zawodowe, w tym NSZZ „Solidarność”, prowadzą protest w siedzibie Zarządu „Bogdanki”. Liderzy organizacji związkowych przebywają cały czas w sali konferencyjnej i domagają się spotkania z ministrem aktywów państwowych. Sam minister Wojciech Balczun zapowiedział na antenie RMF FM, że w najbliż-



Fot. Press Kit | Bogdanka S.A.

eprasa.pl 3bd0b6e5e8

szym czasie przyjedzie do kopalni, i uspokajał: „Nie zrobimy krzywdy «Bogdance»”.

No dobrze, ale dlaczego związkowcy chcą fatygować biednego ministra z Warszawy do Lublina? O co im właściwie chodzi?

– Nie chcemy już słuchać obietnic. Chcemy konkretu na piśmie i to popartego działaniem rządu. Nas satysfakcjonowałoby to, aby nam w końcu powiedziano, jaki jest pomysł na „Bogdankę”? Jeżeli kopalnia ma być zlikwidowana – a wiele teraz na to wskazuje, że stanie się to szybciej, niż przewidują zapisy umowy społecznej – to chcemy wiedzieć, kiedy to nastąpi i co będzie z pracownikami. Dziś z Bogdanki żyje osiem powiatów. Aby zastąpić kopalnię, trzeba stworzyć kilkanaście tysięcy nowych miejsc pracy – powiedział nam Mariusz Romańczuk, szef Solidarności w LW „Bogdanka”.

> ***Dziś z „Bogdanki” żyje osiem powiatów. Aby zastąpić kopalnię, trzeba stworzyć kilkanaście tysięcy nowych miejsc pracy.***
>
> **MARIUSZ ROMAŃCZUK**
> **szef Solidarności w „Bogdance”**

Związkowiec nadmienił, że w lubelskiej kopalni po cichu likwiduje się etaty, a w ciągu ostatniego roku ubyło ich 200. – Zjeżdżamy powoli po tej pochylni, ale za chwilę te zwolnienia mogą przyspieszyć. I my chcemy wiedzieć, jak to będzie wyglądało, bo jak na razie to nie mamy pewnych informacji, możemy się tylko domyślać. Chcemy mieć coś na papierze – podkreślił.

Sprawiedliwa transformacja

Protest w Bogdance spowodowany jest polityką Zielonego Ładu, która zakłada odejście od paliw kopalnych, a co za tym idzie – transformację regionów, w których ludzie wciąż żyją z kopalni i elektrowni węglowych. Narzędziem, które ma złagodzić skutki tego procesu, jest Fundusz Sprawiedliwej Transformacji, z którego dla Polski wygospodarowano 3,85 mld euro. Środki mają wspomóc tworzenie nowych firm, inwestycje produkcyjne w małych i średnich przedsiębiorstwach, rekultywacje terenów pogórniczych, produkcję czystej energii czy przekwalifikowanie pracowników.

Aby skorzystać z tych pieniędzy, samorządy musiały przygotować Terytorialne Plany Sprawiedliwej Transformacji, które określają kierunki i cele transformacji. Ostatecznie środki z Funduszu przyznano pięciu regionom Polski: dolnośląskiemu, łódzkiemu, małopolskiemu, śląskiemu i wielkopolskiemu.

Lubelszczyzna nie otrzymała pieniędzy, ponieważ uznano, że działania planowane w tym województwie nie wspierają zielonej transformacji i celu neutralności klimatycznej. Wykluczono też powiat zgorzelecki, w którym działa kompleks Turów.

– W tym planie dla województwa lubelskiego firma doradcza Ernst & Young określiła, że w przypadku zamknięcia „Bogdanki” z naszego regionu wyemigruje ponad 30 tysięcy ludzi w wieku przed- i produkcyjnym, czyli rodzin z dziećmi tak naprawdę. To będzie pustynia gospodarcza – ocenił przewodniczący Romańczuk.

Związkowiec podkreślił, że „Bogdanka” jest kołem zamachowym regionalnej gospodarki i żyje z niej wiele firm usługowych i logistycznych. – Sami pracownicy – podatki, które odprowadzają, i pensje, które wydają na miejscu, to jest ponad 1 miliard złotych rocznie. Nie mówiąc już o pracownikach z firm zewnętrznych, które przy kopalni się utrzymują – nadmienił.

Scenariusz na przyszłość

Górnicy z Lubelszczyzny na pewno przełknęliby gorzką pigułkę łatwiej, gdyby wiedzieli, że czekają na nich dobrze płatne miejsca pracy w innych zakładach.

Obecnie w „Bogdance” zarabia się średnio ponad 13 tys. złotych brutto miesięcznie, podczas gdy średnia w województwie lubelskim to 8 tys.– a w kraju 9,2 tys. zł. Pauperyzacja tysięcy pracowników „Bogdanki” i ich rodzin to zatem realny scenariusz.

Dziś gołym okiem widać, że energetyka przenosi się na północ kraju. To w Choczewie na Pomorzu powstaje pierwsza elektrownia jądrowa, to na Bałtyku buduje się farmy wiatrowe, a w Gryfinie na Pomorzu Zachodnim zbudowano największą w kraju elektrownię gazową. Na Lubelszczyźnie trudno szukać tak popularnych inwestycji. Na pewno ważna jest modernizacja portu kolejowego w Małaszewiczach i budowa fabryki amunicji 155 mm w zakładzie Mesko w Kraśniku, ale to nie ta sama skala. I dlatego warto pytać rządzących: „Co po «Bogdance»?”.

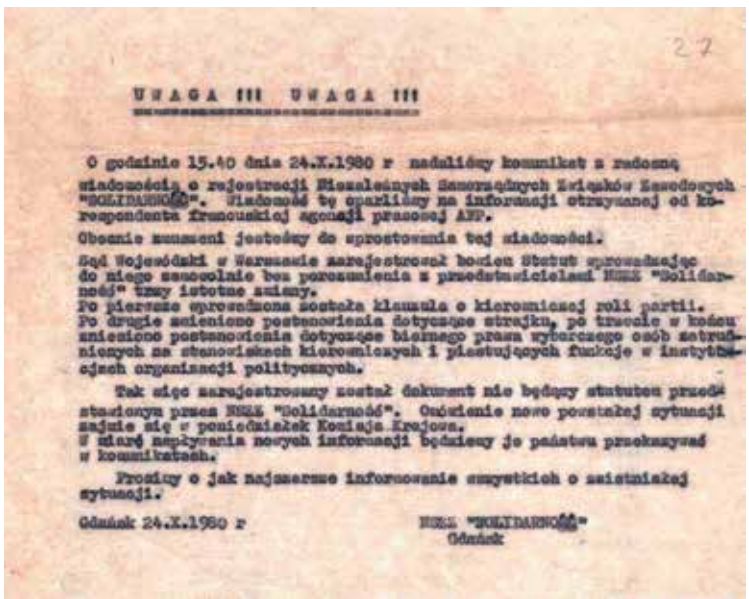
W „Bogdance” zarabia się średnio ponad **13 tys. zł brutto miesięcznie**, podczas gdy średnia w województwie lubelskim to 8 tys. zł.

eprasa.pl 3bd0b6e5e8

Spór o statut. Droga Solidarności do rejestracji

10 listopada 1980 r. Sąd Najwyższy zakończył spór o rejestrację NSZZ „Solidarność”. Uchylił zmiany **narzucone statutowi** przez Sąd Wojewódzki w Warszawie. Do dokumentu dołączono jednak uzgodniony załącznik zawierający m.in. fragment Porozumienia Gdańskiego dotyczący kierowniczej roli PZPR w państwie. Rozstrzygnięcie poprzedziły odwołanie prawników Związku, przygotowania do strajku generalnego oraz rozmowy z władzami.

Joanna Lewandowska



UWAGA !!! UWAGA !!!

O godzinie 15.40 dnia 24.X.1980 r nadeszły komunikat z radosną wiadomością o rejestracji Niezależnych Samorządnych Związków Zawodowych "SOLIDARNOŚĆ". Wiadomość tę opatrzony na informacji otrzymanej od korespondenta francuskiej agencji prasowej AFP.

Obecnie zezwoleni jesteśmy do sprostowania tej wiadomości.

Sąd Wojewódzki w Warszawie zarejestrował bowiem Statut wprowadzając do niego samowolnie bez porozumienia z przedstawicielami NSZZ "Solidarność" trzy istotne zmiany.

Po pierwsze wprowadzona została klauzula o kierowniczej roli partii.

Po drugie zniesiono postanowienia dotyczące strajku, po trzecie w kodeksie zniesiono postanowienia dotyczące biernego prawa wyborczego osób zatrudnionych na stanowiskach kierowniczych i pełniących funkcje w instytucjach organizacji politycznych.

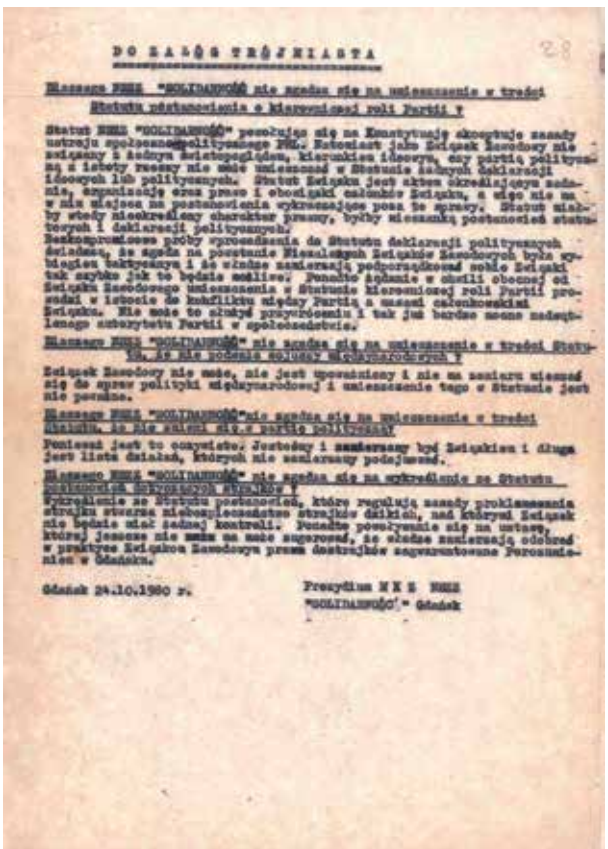
Tak więc zarejestrowany został dokument nie będący statutem przedstawionym przez NSZZ "Solidarność". Całkowicie nowo powstałej sytuacji zajmuje się w poniedziałek Komisja Krajowa.

W miarę napływania nowych informacji będziemy je państwu przekazywać w komunikatach.

Prosimy o jak najszersze informowanie załogi o zaistniałej sytuacji.

Gdańsk 24.X.1980 r

NSZZ "SOLIDARNOŚĆ"
Gdańsk



DO RAD TRÓJMIASTA

Prezydium NKK NSZZ "SOLIDARNOŚĆ" - Gdańsk

Gdańsk 24.10.1980 r.

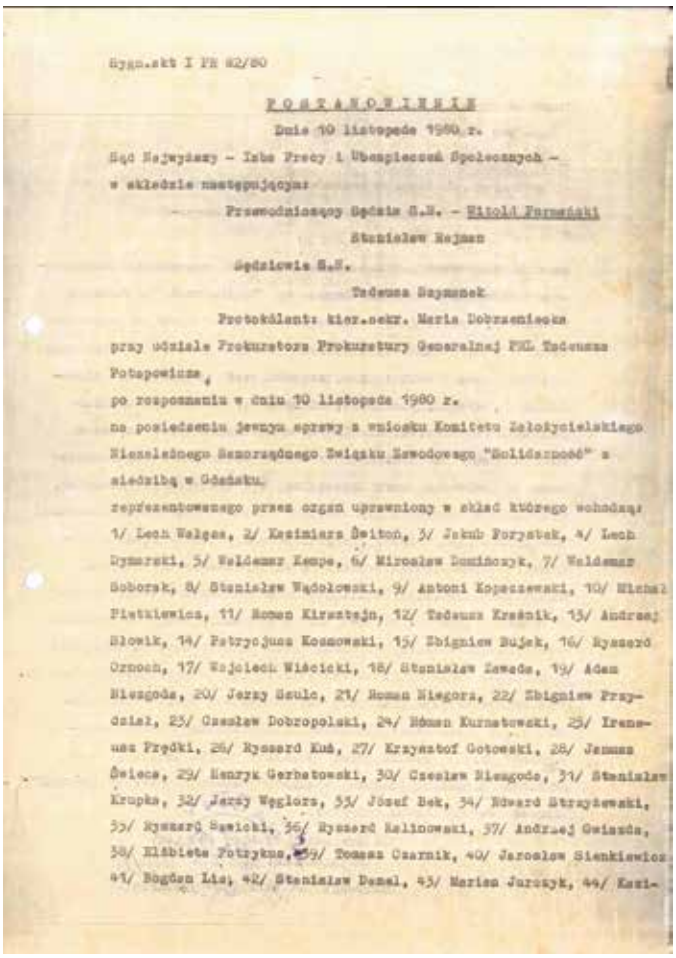
Źródło: Archiwum Historyczne Komisji Krajowej NSZZ „Solidarność” w Gdańsku (8)

Ulotki informujące społeczeństwo o zmianach wprowadzonych przez sąd do statutu NSZZ „Solidarność”

17 września 1980 r. przedstawiciele międzyzakładowych komitetów założycielskich zgromadzeni w Gdańsku podjęli decyzję o utworzeniu jednego ogólnopolskiego Niezależnego Samorządnego Związku Zawodowego „Solidarność”. Przyjęli zasadę organizowania Związku przede wszystkim według kryterium terytorialnego, z silnymi strukturami regionalnymi. Powołali także Krajową Komisję Porozumiewawczą z Lechem Wałęsą na czele. Rozstrzygnięcie to wyznaczyło kierunek dalszych prac nad statutem i rejestracją organizacji.

Jeszcze kilka tygodni wcześniej taki finał nie był przesądzony. Porozumienia Sierpniowe otworzyły drogę do tworzenia niezależnych związków zawodowych, nie określały jednak, że powstanie jedna organizacja obejmująca cały kraj. We wrześniu w różnych ośrodkach tworzyły się związki i międzyzakładowe komitety założycielskie. Dyskutowano, czy powinny połączyć się w federację, czy utworzyć wspólny związek, a także czy jego podstawą

eprasa.pl 3bd0b6e5e8



Sygn.akt I PR 62/80

POSTANOWIENIE

Dnia 10 listopada 1980 r.

Sąd Najwyższy – Izba Pracy i Ubezpieczeń Społecznych –

w składzie następującym:

Przewodniczący Sędzia S.N. – Witold Fornalski

Stanisław Rojan

Sędziowie S.N.

Tadeusz Szymanek

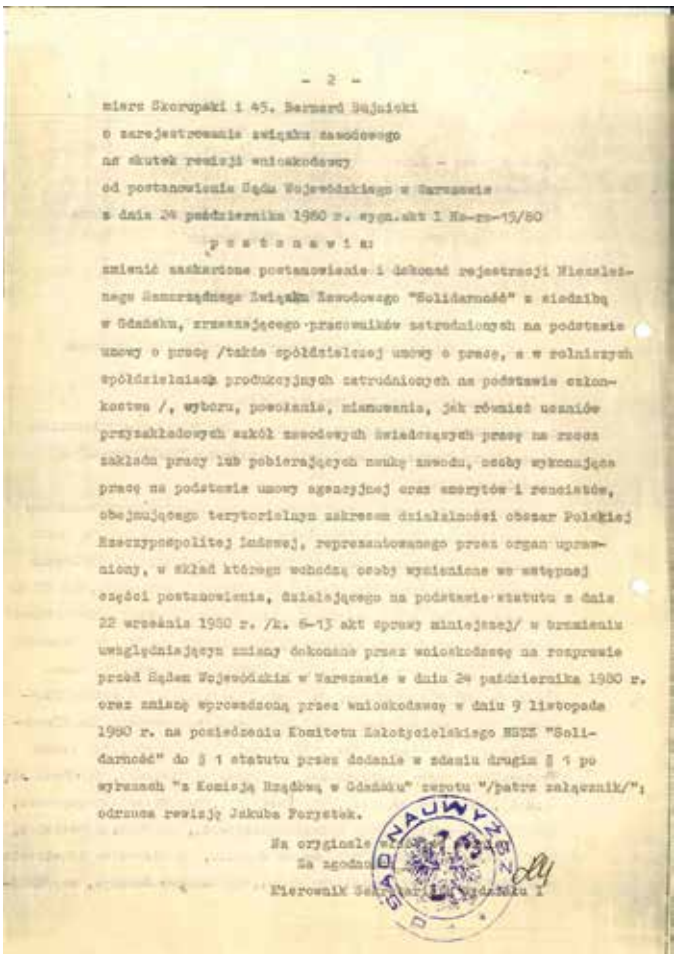
Protokolant: sekr.sąd. Maria Dobrzeniecka

przy udziale Prokuratora Prokuratury Generalnej PRL Tadeusza Potapowicza,

po rozpoznaniu w dniu 10 listopada 1980 r.

na posiedzeniu jawnym sprawy z wniosku Komitetu Założycielskiego Niezależnego Samorządnego Związku Zawodowego "Solidarność" z siedzibą w Gdańsku,

reprezentowanego przez organ uprawniony w skład którego wchodzą: 1/ Lech Wałęsa, 2/ Kazimierz Świtoń, 3/ Jakub Forystek, 4/ Lech Dymarski, 5/ Waldemar Kempa, 6/ Mirosław Dominczyk, 7/ Waldemar Goborzyk, 8/ Stanisław Wądołowski, 9/ Antoni Kopaszewski, 10/ Michał Piekłowicz, 11/ Roman Kirsztejn, 12/ Tadeusz Kreśnik, 13/ Andrzej Słowik, 14/ Patrycjusz Kosmowski, 15/ Zbigniew Bujak, 16/ Ryszard Ornoch, 17/ Wojciech Wiścicki, 18/ Stanisław Zawada, 19/ Adam Wiesgoda, 20/ Jerzy Gesle, 21/ Roman Niegora, 22/ Zbigniew Przydział, 23/ Czesław Dobropolski, 24/ Roman Kurnatowski, 25/ Ireneusz Prędki, 26/ Ryszard Kuś, 27/ Krzysztof Gotowski, 28/ Janusz Świeca, 29/ Henryk Gerbatowski, 30/ Czesław Wiesgoda, 31/ Stanisław Krupka, 32/ Jerzy Węglorz, 33/ Józef Bek, 34/ Edward Strzyżewski, 35/ Ryszard Sawicki, 36/ Ryszard Kalinowski, 37/ Andrzej Gwiazda, 38/ Elżbieta Potrykus, 39/ Tomasz Czarnik, 40/ Jarosław Sienkiewicz, 41/ Bogdan Lis, 42/ Stanisław Domel, 43/ Mariusz Jurczyk, 44/ Kazi-



- 2 -

mierz Skorupski i 45. Bernard Bajnicki

o zarejestrowanie związku zawodowego

na skutek rewizji wnioskodawcy

od postanowienia Sądu Wojewódzkiego w Warszawie

z dnia 24 października 1980 r. sygn.akt I Ns-rs-15/80

p o s t a n a w i a:

zmienić zaskarżone postanowienie i dokonać rejestracji Niezależnego Samorządnego Związku Zawodowego "Solidarność" z siedzibą w Gdańsku, zrzeszającego pracowników zatrudnionych na podstawie umowy o pracę /także spółdzielczej umowy o pracę, a w rolniczych spółdzielniach produkcyjnych zatrudnionych na podstawie członkostwa /, wyboru, powołania, mianowania, jak również uczniów przyzakładowych szkół zawodowych świadczących pracę na rzecz zakładu pracy lub pobierających naukę zawodu, osoby wykonujące pracę na podstawie umowy agencyjnej oraz emerytów i rencistów, obejmującego terytorialnym zakresem działalności obszar Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, reprezentowanego przez organ uprawniony, w skład którego wchodzą osoby wymienione we wstępnej części postanowienia, działającego na podstawie statutu z dnia 22 września 1980 r. /k. 6-13 akt sprawy niniejszej/ w brzmieniu uwzględniającym zmiany dokonane przez wnioskodawcę na rozprawie przed Sądem Wojewódzkim w Warszawie w dniu 24 października 1980 r. oraz zmiany wprowadzone przez wnioskodawcę w dniu 9 listopada 1980 r. na posiedzeniu Komitetu Założycielskiego NSZZ "Solidarność" do § 1 statutu przez dodanie w zdaniu drugim § 1 po wyrazach "z Komisją Rządową w Gdańsku" zwrotu "/patrz załącznik/";

odrzuca rewizję Jakuba Forystek.

Na oryginale [illegible]

Za zgodność

Kierownik Sekretariatu Wydziału I

Uwierzytelniona kopia postanowienia Sądu Najwyższego w sprawie rejestracji NSZZ „Solidarność”

ma być struktura branżowa, czy terytorialna.

Nad ostatecznym kształtem statutu pracowali m.in. Wiesław Chrzanowski, Jan Olszewski i Andrzej Stelmachowski. Według relacji Andrzeja Rozpłochowskiego Andrzej Stelmachowski i Wiesław Chrzanowski nanosili poprawki do wcześniejszego projektu. 22 września Krajowa Komisja Porozumiewawcza zatwierdziła dokument, a dwa dni później wniosek o rejestrację wraz ze statutem złożono w Sądzie Wojewódzkim w Warszawie. Na podstawie uchwały Rady Państwa z 13 września 1980 r. właśnie ten sąd prowadził rejestr nowo powstających związków zawodowych.

Rejestracja szybko okazała się czymś więcej niż formalnością. Władze oczekiwały, że statut będzie zawierał deklaracje odnoszące się do konstytucji PRL i kierowniczej roli PZPR w państwie. Solidarność broniła natomiast niezależności oraz prawa swoich członków do określania zasad działania organizacji. Spór o treść dokumentu dotykał zatem samej istoty Związku, który miał być niezależny od władz państwowych i partyjnych.

Na początku października sędzia prowadzący postępowanie Zdzisław Kościelniak przedstawił zastrzeżenia do statutu. Stały się one przedmiotem rozmów prawników Solidarności z przedstawicielami sądu. Część rozbieżności udało się ograniczyć, ale w najważniejszych kwestiach nie osiągnięto porozumienia.

Kościelniak i narzucone poprawki

Zdzisław Kościelniak był sędzią Sądu Wojewódzkiego w Warszawie i członkiem PZPR. Jak wynika z ustaleń historyka Andrzeja Friszkego, pozostawał w ścisłym kontakcie z kierownictwem partii, a sposób postępowania w sprawie Solidarności konsultowano z przedstawicielami władz PZPR.

Najprawdopodobniej to prof. Jerzemu Bafii, ówczesnemu ministrowi sprawiedliwości, należy przypisać autorstwo koncepcji, aby w razie braku porozumienia sąd samodzielnie wprowadził do statutu zmiany oczekiwane przez władze. Bafia uczestniczył w przygotowaniu sposobu zakończenia postępowania. Przewidywał, że jeśli podczas posiedzenia 24 października nie uda się uzgodnić poprawek ze stroną

eprasa.pl 3bd0b6e5e8



Plakaty z żądaniem usunięcia zmian wprowadzonych do statutu NSZZ „Solidarność" przez Sąd Wojewódzki w Warszawie

związkową, sąd dokona rejestracji wraz z narzuconymi zmianami. Miał przy tym świadomość, że uprawnienie do takiego działania nie wynikało wprost z obowiązujących przepisów. Koncepcję zaakceptowało kierownictwo PZPR, a Kościelniak ją zrealizował.

24 października Sąd Wojewódzki w Warszawie ogłosił postanowienie o rejestracji NSZZ „Solidarność". Sama wiadomość początkowo wywołała zadowolenie obecnych na sali. Szybko jednak okazało się, że sąd jednocześnie zmienił statut bez zgody Komitetu Założycielskiego. Wprowadził treści odnoszące się do politycznych podstaw ustroju PRL, w tym kierowniczej roli PZPR w państwie. Dokonał również zmian zapisów dotyczących prawa do strajku.

Przedstawiciele Związku nie zaakceptowali takiego rozstrzygnięcia. Chodziło o więcej niż o brzmienie kilku paragrafów: o to, kto ma prawo określać zasady działania niezależnej organizacji. Przyjęcie narzuconych poprawek oznaczałoby uznanie, że władza państwowa może ingerować w statut bez zgody założycieli. Uderzało to w zasadę samorządności, którą Solidarność miała zapisaną już w swojej nazwie, i podważało sens wywalczonej w sierpniu niezależności.

Krajowa Komisja Porozumiewawcza zapowiedziała odwołanie do Sądu Najwyższego. Oświadczyła zarazem, że Związek będzie posługiwał się statutem w brzmieniu przyjętym przez jego założycieli. Rozpoczęto szeroką akcję informacyjną: w zakładach pracy wyjaśniano znaczenie ingerencji sądu, wydawano komunikaty i biuletyny, domagano się rejestracji bez narzuconych zmian. Sprawa statutu stała się jednym z głównych tematów publicznych ostatnich dni października. Towarzyszyły jej przygotowania do protestu.

Odwołanie i gotowość strajkowa

Odwołanie przygotowane przez prawników Solidarności, przede wszystkim Wiesława Chrzanowskiego i Jana Olszewskiego, opierało się na zasadniczym zarzucie: sąd rejestracyjny przekroczył swoje kompetencje. Mógł badać zgodność statutu z prawem, dokonać rejestracji albo jej odmówić, nie miał natomiast uprawnienia do samodzielnego przeredagowania dokumentu. Treść statutu określali założyciele Związku, a nie organ państwowy rozpatrujący ich wniosek.

Argumentacja odwoływała się zarówno do uchwały Rady Państwa z 13 września regulującej postępowanie rejestracyjne, jak i do Konwencji nr 87 Międzynarodowej Organizacji Pracy ratyfikowanej przez rząd PRL w 1958 r. Gwarantowała ona organizacjom pracowniczym prawo do samodzielnego tworzenia statutów i określania zasad działania. Prawnicy przenosili zatem ciężar sporu z politycznej oceny dopisków na kwestię granic władzy sądu. Niezależnie od treści proponowanych zmian nie mógł on zastępować założycieli w stanowieniu reguł obowiązujących ich organizację.

Solidarność rozpoczęła też rozmowy z władzami, dążąc do rozwiązania kryzysu. Po decyzji z 24 października KKP uznała, że nie wystarczy oczekiwać na wynik postępowania odwoławczego. Domagała się spotkania delegacji związku z przedstawicielami rządu. Negocjacjom towarzyszyła zapowiedź akcji strajkowej, gdyby nie udało się osiągnąć porozumienia. Związek równolegle korzystał więc z drogi prawnej i z siły społecznego nacisku.

Pod koniec października w Warszawie odbyły się rozmowy delegacji Solidarności z przedstawicielami rządu. Jednym z ich podstawowych tematów pozostawała rejestracja. Ustalono m.in., że Sąd Najwyższy rozpozna odwołanie do 10 listopada. Nie oznaczało to jeszcze zakończenia kryzysu: Związek nadal przygotowywał się do strajku generalnego, którego rozpoczęcie przewidywano na 12 listopada.

Kompromis w sprawie załącznika

W pierwszych dniach listopada Solidarność prowadziła z władzami dalsze rozmowy, które miały umożliwić zakończenie konfliktu. Strona związkowa nie godziła się na zmiany statutu narzucone przez sąd. Władze oczekiwały natomiast potwierdzenia deklaracji odnoszących się do politycznych realiów PRL. Należało znaleźć rozwiązanie pozwalające utrzymać samodzielność Związku przy stanowieniu statutu, a zarazem akceptowalne dla strony rządowej.

eprasa.pl 3bd0b6e5e8

Ostatecznie uzgodniono dołączenie załącznika zawierającego postanowienia Konwencji nr 87 i 98 Międzynarodowej Organizacji Pracy oraz część Porozumienia Gdańskiego. W tym ostatnim dokumencie znajdowało się stwierdzenie, że tworząc nowe niezależne związki zawodowe, strajkujący uznają określone w konstytucji PRL zasady ustrojowe, w tym kierowniczą rolę PZPR w państwie. Odwoływano się więc do treści zaakceptowanej już podczas sierpniowych negocjacji.

Dla Solidarności zasadnicze znaczenie miało zachowanie wpływu na treść własnego statutu. Zapis dotyczący kierowniczej roli partii w państwie miał znaleźć się w załączniku jako fragment zawartego wcześniej porozumienia, a nie jako deklaracja dopisana jednostronnie przez sąd. Kompromis nie usuwał politycznego wymiaru sprawy, ale pozwalał odrzucić narzucone poprawki. Uzupełnienia dokumentu dokonano decyzją strony związkowej.

9 listopada wyniki rozmów przedstawiono Krajowej Komisji Porozumiewawczej, która zaakceptowała uzgodnione rozwiązanie. Tego samego dnia Komitet Założycielski dokonał zmiany polegającej na umieszczeniu w statucie odesłania do załącznika. Następnego dnia, na początku rozprawy przed Sądem Najwyższym, pełnomocnik Solidarności Wiesław Chrzanowski poinformował o tej decyzji i przedłożył treść załącznika. Sąd rozpoznawał więc sprawę już po wypracowaniu kompromisu i po dokonaniu odpowiedniego uzupełnienia przez sam Związek.

Formański i rozstrzygnięcie Sądu Najwyższego

Odwołanie trafiło do Izby Pracy i Ubezpieczeń Społecznych Sądu Najwyższego. Składowi orzekającemu przewodniczył Witold Formański będący zarazem sprawozdawcą. Obok niego orzekali Stanisław Rejman i Tadeusz Szymanek.

Formański miał inną drogę życiową i zawodową niż Kościelniak. Wywodził się z Pomorza, dzieciństwo spędził w Pelplinie i pozostawał bezpartyjny. Przez wiele lat pracował w sądownictwie, a w Sądzie Najwyższym zajmował się m.in. prawem pracy i ubezpieczeniami społecznymi. Po wprowadzeniu stanu wojennego nie zdecydował się na dalsze orzekanie w tej instytucji.

10 listopada Sąd Najwyższy uwzględnił odwołanie Komitetu Założycielskiego. Zmienił postanowienie Sądu Wojewódzkiego, usuwając poprawki narzucone 24 października, w tym zmiany zapisów dotyczących prawa do strajku. Rejestracja opierała się na statucie przyjętym przez założycieli, uzupełnionym o zaakceptowany przez nich załącznik. Z punktu widzenia Związku zasadnicze znaczenie miało odrzucenie jednostronnej ingerencji sądu w treść dokumentu.

W wydanej w 1996 r. książce „Meandry legalizacji NSZZ «Solidarność»" Formański przedstawił własną relację z tych wydarzeń. Opisywał atmosferę towarzyszącą rozpoznawaniu sprawy i starania, by odizolować skład orzekający od wpływów zewnętrznych. Ograniczał kontakty, unikał rozmów o postępowaniu, a domowe telefony odbierała jego żona. Podkreślał, że orzeczenie było wynikiem samodzielnej analizy prawnej przeprowadzonej wspólnie z pozostałymi członkami składu.

Relacja ta jest ważnym świadectwem postawy sędziego, wymaga jednak uwzględnienia perspektywy autora. Powstała kilkanaście lat po wydarzeniach i koncentruje się na postępowaniu przed Sądem Najwyższym. Nie przedstawia szerzej równoległych rozmów związkowców ze stroną rządową, które doprowadziły do kompromisu w sprawie załącznika. Opis sądowego rozstrzygnięcia nie wyczerpuje zatem historii zakończenia kryzysu.

Trudno jednoznacznie ustalić, co w największym stopniu przesądziło o wyniku sprawy. Sąd Najwyższy rozpatrywał odwołanie oparte na mocnym zarzucie przekroczenia kompetencji przez Sąd Wojewódzki. Znaczenie miała postawa Formańskiego i pozostałych sędziów. Jednocześnie jeszcze przed rozprawą wypracowano rozwiązanie polityczne: Solidarność zaakceptowała załącznik, a władze odstąpiły od żądania wpisania deklaracji bezpośrednio do zasadniczego tekstu statutu.

> Sąd rejestracyjny **przekroczył swoje kompetencje**. Nie miał uprawnienia do samodzielnego przeredagowania statutu „S".

Oba procesy należy rozpatrywać łącznie. Sam fakt osiągnięcia politycznego kompromisu nie wystarcza, aby zakwestionować relację Formańskiego o samodzielności składu orzekającego. Nie można też na podstawie wspomnień sędziego pomijać znaczenia rozmów prowadzonych poza sądem.

10 listopada zakończył się proces rejestracyjny NSZZ „Solidarność", a Krajowa Komisja Porozumiewawcza odwołała gotowość strajkową. Od decyzji o utworzeniu jednego związku do ostatecznego rozstrzygnięcia upłynęło niespełna osiem tygodni. W tym czasie spór o statut stał się próbą obrony niezależności organizacji wobec państwa. O wyniku zadecydowały działania prawników, mobilizacja członków Związku, negocjacje z władzami oraz rozstrzygnięcie Sądu Najwyższego. Rejestracja była zakończeniem konkretnego postępowania, ale zarazem potwierdzeniem, że zasady działania Solidarności muszą być określane z udziałem i za zgodą jej założycieli.

eprasa.pl 3bd0b6e5e8



GŁOS REGIONU

Rozmowy, których brakuje: granice niepodległości, czyli wolność zaczyna się o siódmej rano

Paweł Wysocki, Region Jeleniogórski NSZZ „Solidarność”

ZBLIŻAJĄCY SIĘ 11 LISTOPADA TO DZIEŃ, W KTÓRYM PRZESTRZEŃ PUBLICZNĄ wypełniają biało-czerwone flagi, wojskowe asysty i podniosłe przemówienia o odzyskaniu państwowości. Przyzwyczailiśmy się myśleć o niepodległości w kategoriach granic państwowych, traktatów i militarnych zrywów. Jako związkowcy powinniśmy jednak w tym szczególnym momencie zapytać samych siebie o coś znacznie bardziej intymnego i codziennego: co to wielkie słowo „wolność” oznacza dla człowieka, który w poniedziałek o świcie odbija kartę na zakładowym czytniku?

Prawdziwe ograniczenie wolności nie potrzebuje dziś drutu kolczastego. Działa znacznie sprytniej – przez psychiczny szantaż. Zaczyna się od tego, że boisz się odezwać na zebraniu, gdy kierownik rzuca absurdalny pomysł. Kończy się na tym, że odbierasz maile o dwudziestej pierwszej, leżąc w łóżku, bo paraliżuje cię myśl, co powie szef, jeśli nie odpiszesz natychmiast. Boisz się iść na chorobowe, gdy rozkłada cię gorączka, bo wisisz na trzymiesięcznej umowie.

Czy to jest wolność? Nie, to jest dobrowolny powrót do pańszczyzny, tylko przypudrowany ładną nazwą stanowiska i ekspresem do kawy w korytarzu. Najgorsze jest to, co robimy z tym po wyjściu za bramę. Wracasz do domu wyzuty z energii, podminowany, z zaciśniętą szczęką. Wyładowujesz frustrację na partnerze, nie masz cierpliwości dla dzieci, a w niedzielę od szesnastej boli cię żołądek na myśl o poniedziałku. Zakładowy strach zatruwa twoje życie prywatne. Nie jesteś wolnym człowiekiem w domu, jeśli przez osiem godzin dziennie ktoś tresuje cię w posłuszeństwie.

Wolność w pracy to nie żaden luksus ani kaprys roszczeniowego pracownika. To elementarne prawo do bycia traktowanym podmiotowo: prawo do nieodbierania telefonu po godzinach, do jawnych zasad premiowania, do powiedzenia: „tego nie zrobię, bo to zagraża bezpieczeństwu”, bez paniki, że jutro wylądujesz na bruku.

System korporacyjny i współcześni pracodawcy świetnie wiedzą, jak tę wolność dawkować. Rzucą owocowy czwartek, zorganizują imprezę integracyjną, ale gdy zapytasz o realny wpływ na organizację pracy, natychmiast pokazują ci twoje miejsce w szeregu. I wielu z nas na to przystaje, kupując pozory bezpieczeństwa za cenę własnego kręgosłupa. Wolimy milczeć w kącie, niż zaryzykować choćby cień konfliktu.

Przed 11 listopada warto spojrzeć w lustro i zadać sobie twarde pytanie: ile w twoim życiu zostało prawdziwej niezależności, a ile to tylko ciche podporządkowanie się korporacyjnej machinie? Niepodległość nie kończy się na granicach państwa – ona zaczyna się w twojej głowie i na twoim stanowisku pracy.

Związek zawodowy powstał po to, żeby żaden pracownik nie musiał kłaniać się w pas przed prezesem czy kierownikiem działu. Zapisujesz się do Solidarności nie dla legitymacji, ale po to, żeby mieć za plecami twardą siłę, która przypomni każdemu zarządowi, że pracownik to człowiek z prawami, a nie własność firmy. Chcesz być naprawdę wolny? Przestań bać się we własnym zakładzie. Zacznij rozmawiać z kolegami i wspólnie postawmy tamę bezdusznemu dyktatowi. Prawdziwa niepodległość zaczyna się wtedy, gdy przestajesz prosić o szacunek, a zaczynasz go egzekwować. Ramię w ramię.

Rubryka „Głos Regionu” ukazuje się cyklicznie w „TS”. Zapraszamy inne regiony NSZZ „Solidarność” do nadsyłania własnych propozycji.

eprasa.pl 3bd0b6e5e8

PRAWO

FAŁSZYWE NAGRANIE

– prawdziwe konsekwencje. Deepfake wkracza do szkół i domów

Zobaczyłem w internecie film, na którym mój znajomy mówi i robi rzeczy, których nigdy by się nie dopuścił. Okazało się, że nagranie zostało stworzone za pomocą sztucznej inteligencji. Film zdążył już jednak trafić do grupy szkolnej, a później do kolejnych osób. Czy można **ponieść odpowiedzialność** za stworzenie takiego materiału? A co z tymi, którzy go udostępniają, tłumacząc, że przecież tylko przesłali dalej coś, co znaleźli w sieci?

Tomasz Oleksiewicz, radca prawny

JESZCZE NIEDAWNO PODOBNE SYTUACJE KOJARZYŁY się przede wszystkim z filmami i zaawansowanymi technologiami. Dziś przygotowanie realistycznego nagrania z wykorzystaniem cudzego wizerunku lub głosu jest znacznie łatwiejsze. Wystarczy mieć kilka zdjęć, próbkę głosu i odpowiednie narzędzie. Problem polega na tym, że odbiorca często nie potrafi odróżnić prawdziwego materiału od fałszywego. W szkole taki film może stać się narzędziem ośmieszania, zastraszania albo zemsty na rówieśniku. W domu może natomiast posłużyć do szantażu lub próby wyłudzenia pieniędzy. Czy samo stworzenie deepfake'a jest przestępstwem? Nie ma na to pytanie jednej odpowiedzi, ponieważ znaczenie ma przede wszystkim treść nagrania, sposób jego wykorzystania i skutki, jakie wywołało. Jeżeli materiał przedstawia kogoś w kompromitującej sytuacji, narusza jego dobre imię, prywatność lub inne dobra osobiste, pokrzywdzony może domagać się ochrony prawnej. Kodeks cywilny przewiduje między innymi możliwość żądania zaniechania naruszeń, usunięcia ich skutków, a w określonych przypadkach również zadośćuczynienia lub odszkodowania. W zależności od okoliczności mogą wchodzić w grę także przepisy karne, na przykład dotyczące gróźb, uporczywego nękania czy bezprawnego rozpowszechniania określonych materiałów. Nie oznacza to jednak, że każda przeróbka zdjęcia lub każdy żart z wykorzystaniem sztucznej inteligencji automatycznie prowadzi do odpowiedzialności karnej. Liczy się kontekst. Czym innym jest wyraźnie satyryczny film, a czym innym realistyczne nagranie, które ma przekonać odbiorców, że konkretna osoba zrobiła coś, czego w rzeczywistości nie zrobiła. Szczególnie poważna może być sytuacja, gdy materiał służy do poniżania ucznia, wywierania na nim presji albo rozpowszechniania fałszywych oskarżeń. Warto również wiedzieć, że od 2 sierpnia 2026 r. stosowane są obowiązki dotyczące przejrzystości treści generowanych lub modyfikowanych przez sztuczną inteligencję, wynikające z unijnego aktu o sztucznej inteligencji. W określonych przypadkach osoby wykorzystujące systemy AI do tworzenia deepfake'ów muszą poinformować odbiorców, że materiał został sztucznie wygenerowany lub zmieniony. Przepisy przewidują wyjątki i szczególne zasady, między innymi dla niektórych utworów artystycznych i satyrycznych. Nie oznacza to jednak, że samo oznaczenie filmu jako wygenerowanego przez AI legalizuje naruszenie cudzych praw.

A co z osobą, która tylko udostępniła nagranie? Samo przesłanie filmu dalej nie przesądza automatycznie o odpowiedzialności karnej, ale nie oznacza też, że zawsze pozostaje bez konsekwencji. Znaczenie mogą mieć świadomość charakteru materiału, cel działania i okoliczności rozpowszechniania. Dlatego przed udostępnieniem kompromitującego nagrania warto zastanowić się, czy nie uczestniczymy w krzywdzeniu drugiego człowieka.

PYTANIA DO EKSPERTA

Pytania do naszego eksperta prosimy słać na adres **redakcja@tygodniksolidarnosc.com** (w tytule wiadomości należy wpisać „**prośba o poradę prawną**") lub listownie na adres: „Tygodnik Solidarność", ul. Prosta 30, 00-838 Warszawa. Redakcja zapewnia anonimowość nadawcy.

Pytanie powinno być napisane w sposób zwięzły i dotyczyć jednego problemu.

eprasa.pl 3bd0b6e5e8

RYSUNEK NA KONIEC KRYSZTOPA



Nasi autorzy

Krzysztof Karnkowski (Z Marszem..., s. 16),
doktor socjologii, publicysta, współpracownik „Tygodnika Solidarność", wokalista punkrockowego zespołu Spirit of 84, twórca internetowy.

Zdzisław Krasnodębski (O co chodzi..., s. 44),
jeden z najważniejszych współczesnych polskich socjologów, wieloletni profesor Uniwersytetu w Bremie. W latach 2014–2024 poseł do Parlamentu Europejskiego. W latach 2018–2019 jego wiceprzewodniczący. Jego najnowsza książka to wydana w 2023 roku „Kurtyna podniesiona" (Ośrodek Myśli Politycznej).

Monika Małkowska (Wstyd..., s. 56),
jest krytyczką sztuki, projektantką mody, dziennikarką i publicystką kulturalną. W przeszłości związana m.in. z „Rzeczpospolitą", radiową Trójką i PR24, Tok FM czy TVP Kultura. W 2014 wywołała burzę tekstem „Mafia bardzo kulturalna", w którym obnażyła szereg patologicznych zjawisk i układów rządzących polskim życiem artystycznym.

Sebastian Reńca (Lwów..., s. 60),
pisze dla nas od roku 2024. Jego najnowsza powieść „Wykidajło" ukazała się w roku 2025 (wydawnictwo Prozami). Jest to to historia pełna zwrotów akcji, w której wojna wdziera się wszędzie – w życie, sumienie i codzienność. Druga książka „Szuler", wydana w 2025 r. (wydawnictwo Arcana), to reportaż historyczny o „królu" Mojżeszu Merinie i jego poddanych żyjących w gettach Zagłębia Dąbrowskiego podczas niemieckiej okupacji.

Stanisław Żaryn (Czekając..., s. 32),
pierwsze publicystyczne kroki stawiał w „Tygodniku Solidarność". Później był zastępcą ministra koordynatora służb specjalnych i pełnomocnikiem rządu Mateusza Morawieckiego do spraw bezpieczeństwa przestrzeni informacyjnej RP, doradcą prezydenta RP Andrzeja Dudy. Jest prezesem Fundacji Instytut Bezpieczeństwa Narodowego.

PRENUMERATA NA 2027 ROK

Prenumeratę „Tygodnika Solidarność" można zamówić na dwa sposoby:

1) bezpośrednio w redakcji „TS":
ul. Prosta 30, 00-838 Warszawa, tel. 22 882 27 80,
e-mail: prenumerata@tygodniksolidarnosc.com,
numer konta: mBank 44 1140 1065 0000 7461 0100 1001.
Prenumerata przyjmowana jest na dowolny okres i w dowolnym momencie;

2) w wersji elektronicznej przez: **Tysol.pl** (w zakładce „Prenumerata").

Prenumerata krajowa

- I kwartał – 128,70 zł (13 wydań)
- II kwartał – 128,70 zł (13 wydań)
- **I półrocze – 257,40 zł (od nr. 1 do 26)**
- III kwartał – 128,70 zł (13 wydań)
- IV kwartał – 118,80 zł (12 wydań)
- **II półrocze – 247,50 zł (od nr. 26 do 51/52)**

Roczna prenumerata – 504,90 zł

Prenumerata zagraniczna

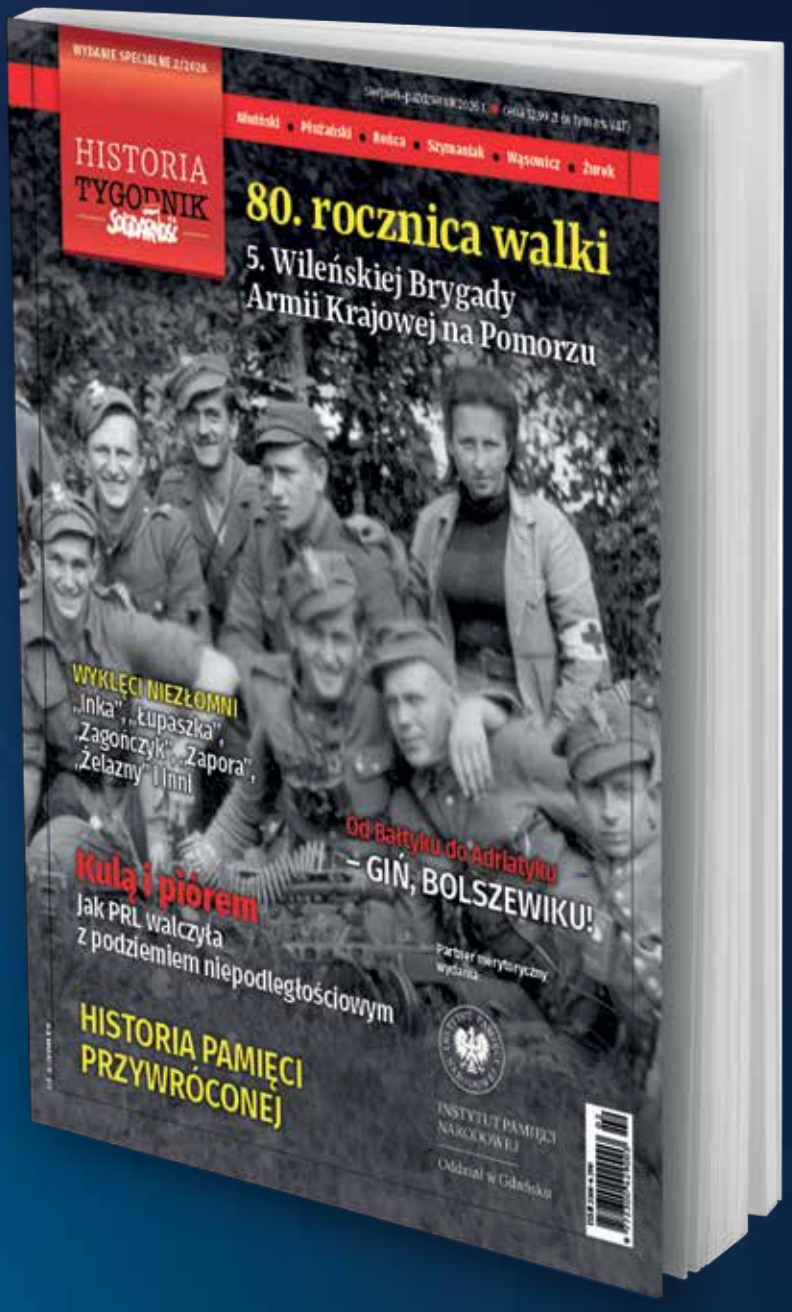
- Roczna prenumerata – 281 euro – przesyłka priorytetowa

Więcej na:
www.tysol.pl/s6-Prenumerata-tygodnika-solidarnosc
Przy większych zamówieniach cena podlega negocjacji.
Koszty wysyłki ponosi wydawca.

eprasa.pl 3bd0b6e5e8

WYDANIE SPECJALNE

ŻOŁNIERZE WYKLĘCI



DO KUPIENIA NA WWW.SOLIDARNOSC.SKLEP.PL,
W EMPIKACH I W WYBRANYCH SALONACH PRASOWYCH

eprasa.pl 3bd0b6e5e8

FUNDACJA PROMOCJI SOLIDARNOŚCI ZAPRASZA NA

Koncert Pieśni Patriotycznych



ZESKANUJ I DOŁĄCZ
DO WYDARZENIA!

11 LISTOPADA
GODZ. 18:00
MUZEUM SALI BHP
WSTĘP BEZPŁATNY

SALA BHP

Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego

Fundacja
Promocji
Solidarności

INSTYTUT
DZIEDZICTWA
SOLIDARNOŚCI

eprasa.pl 3bd0b6e5e8